

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/396

1980



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. ŻYCHIEWICZ :

KONSTANTYNOPOL, MOSKWA, UNIA, PAPIEŻ

J. CZAPSKI : **ZBRODNIA I KARA**

W. LEDOCHOWSKI :

AFRYKA POŁUDNIOWA NA ZAKRĘCIE

Z. KOZŁOWSKI : **ROLNICTWO PRL NA ŚLEPYM TORZE**

SPIS RZECZY

Tadeusz Żychiewicz:	<i>Konstantynopol, Moskwa, Unia, Papież</i>	3
OBSERWATORIUM		
Józef Czapski:	<i>Zbrodnia i kara</i>	27
WIERSZE		
Czesław Miłosz:	<i>Gwiazda Piotun. — Piosenka</i>	30
Światosław Karawanskyj:	<i>Nazbyt ostrożnym. — Rozmyślanie przed całopaleniem</i>	31
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Włodzimierz Ledóchowski:	<i>Afryka Południowa na zakręcie</i>	34
B r u k s e l e z y k :	<i>Widziane z Brukseli</i>	44
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	55
K R A J		
Witold Bardzki:	<i>Nowy list z Warszawy</i>	61
Zygmunt Kozłowski:	<i>Rolnictwo PRL na ślepych torze</i>	64
Jerzy Jankowski:	<i>Francuski minister kultury w Warszawie</i>	75
—	<i>Ostatnie wiadomości</i>	77
SĄSIEDZI		
Benedykt Heydenkorn:	<i>Rozmowa ze Światosławem Karawanskyj</i>	81
Andrzej Koraszewski:	<i>Rozmowa z Natalią Małachowską</i> ..	85
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	90
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	98
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Szeptycki:	<i>Polonia Amerykańska</i>	101
KRONIKA KULTURALNA		
Krzysztof Zawrat:	<i>Przemiany w kulturze polskiej</i>	107
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>Szczekanie aż po Sekwanę</i>	116
POLEMIKI		
Barbara Toporska:	<i>W obronie Orłosia</i>	121
KSIĄŻKI		
Janina Katz Hewetson:	<i>Aby podnieść różę...</i>	124
Aleksander Matejko:	<i>Wspomnienia socjologa</i>	135
Sally Boss:	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	138
—	◆ <i>Wydarzenia miesiąca</i>	140
—	◆ <i>Noty</i>	148
Zofia Hertz:	◆ <i>Humor krajowy</i>	150
K. A. Jeleński, J. Nowak, T. Strzyżewski, W. Su- kiennicki, J. Szygowski, P. Wandycz, B. Buccia- relli:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
—	<i>Dalszy ciąg Wpłat</i>	157
Redakcja:	<i>Do Prenumeratorów i Czytelników „Kultury”</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1980

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Eva M. Buch, Libertyville, Ill. (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00	F. 32,50
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 48-y — \$ 52,30	F. 214,20
Rita Kłoszewska, Los Angeles, Cal. (USA) — w pierwszą bolesną rocznicę śmierci Józefy z Kłoszewskich Tyczynskiej, zmarłej w Warszawie 9.9.1979 — \$ 10,00	F. 40,50
A. Komarnicka, Londyn — pamięci Stefana Komarnickiego w piątą rocznicę śmierci — Żona — £ 15,00	F. 147,00
Andrzej Koraszewski, Lund (Szwecja) — kwotę zebraną na stoisku Twa Przyjaciół Kultury w Lund — K.S. 69,00	F. 69,00
Alicja i Aleksander Kotliccy, Effretikon (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela Luejana Szulkina, zmarłego 2.7.1980 w Sztokholmie	F. 50,00
Prof. Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 5-ty	F. 129,00
Prof. Magnus J. Kryński, Durham, N.C. (USA) — pamięci Zygmunta Hertza — \$ 50,00	F. 205,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz 32-gi	F. 100,00
Józef Lebenbaum, Lund (Szwecja) — K.S. 260,00	F. 260,00
T. Lisicki, Heathfield, Sussex (W. Brytania) — £ 10,00	F. 98,00
Prof. Edward Możejko, Edmonton, Alta (Kanada)	F. 41,10
Irena M. Orska-Przeworska, New York — pamięci Tadeusza Orskie-Przeworskiego w piątą rocznicę śmierci — Żona — \$ 50,00	F. 205,00
Klara Rozner, Potomac, Md. (USA) — dla uczczenia pamięci Hanny i Aleksandra Yaxa-Kwiatkowskich — \$ 50,00	F. 205,00
Zygmunt Shumelda, Pacific Grove, Cal. (USA) — 25 % kwoty zebranej przez kolegów na tradycyjny prezent dla kolegi przechodzącego na emeryturę — \$ 32,00	F. 129,60
Genowefa Sobkiewicz, Winnetka, Ill. (USA), po raz 2-gi — \$ 50,00	F. 205,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło 37 w Waszyngtonie, DC — \$ 150,00	F. 608,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 33-ci	F. 100,00
Anonimowo z USA	F.3.124,00
Bezimiennie z Canberry, po raz 5-ty	F. 248,55
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na pomoc dla wydawnictw krajowych, wychodzących poza cenzurą, wpłaty miesięczne za lipiec i sierpień 1980 — \$ 100,00 — \$ 200,00	F. 820,00
Adam Zalewski, Stockholm — comiesięczna pomoc dla opozycji w kraju za okres marzec-wrzesień 1980 — K.S. 350,00	F. 350,00
Zebrane przez Delegaturę A.K. oraz przez Barbarę na spotkaniu „Studium” w Los Angeles — dla rodzin ofiar brutalności Bzpieki — \$ 58,00	F. 235,00

DZIEKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Danuta i Stanisław Buchcie, Hamilton, Ont. (Kanada) — \$c. 10,00	F. 35,00
Prof. Stanisław Baczek, Genewa	F. 500,00
Jerzy Boniecki, Rose Bay, NSW (Australia)	F.5.000,00
Bezimiennie z Holandii	F. 50,00
Andrzej J. Chylecki, Kolonia (RFN) — DM. 250,00	F. 575,00
Koło Pań przy Stowarzyszeniu Domu Polskiego w Seattle, Wash. (USA) — \$ 100,00	F. 410,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 157-ej)

Konstantynopol, Moskwa, Unia, Papież

... „W imię Boga w Trójcy Jedynej, na cześć i chwałę Jego i dla ludzkiego zbawienia, a wiary chrześcijańskiej umocnienia i podwyższenia:

Wszystkim, którym to wiedzieć będzie należało, my w Bogu tu na tym Synodzie porządnym w Brześciu Litewskim roku Pańskiego 1596 dnia 9 Oktobra wedle starego kalendarza, w cerkwi św. Mikołaja zebrani Mitropolit i Władcykowie obrządku Greckiego niżej podpisani, oznajmujem na wieczną pamiątkę, iż my, bacząc jako monarchia Kościoła Bożego w Ewangeli i usty Pana i Boga naszego Jezusa Chrystusa fundowana jest, aby na jednym Piotrze jako opoce Kościół Chrystusów mocno stojąc od jednego rządzony i sprawowany był; aby u jednego ciała jedna głowa, a w jednym domu jeden gospodarz i szafarz obroków Bożych nad czeladką postawiony rząd i dobro wszystkich obmyślał, i tak ten rząd Kościoła Bożego od czasów apostołskich zaczęty trwał po wszystkie wieki; iż wszystkie patriarchie do jednego się potomka Piotra świętego, Papy Rzymskiego zawždy w nauce wiary i braniu mocy duchowej i w sądach biskupich i w apelacjach uciekały. Jako się to z Soborów i kanonów abo prawideł Ojców świętych pokazuje i nasze słowiańskie pisma z Greckiego ze starodawna przełożone dostatecznie to oznajmują i starzy święci Ojcowie Wschodniej Cerkwi to świadczą, którzy tę Piotra świętego stolicę i zwierzchność, a władzę jej nad biskupy wszystkiego świata znają.

Niemniej też carogrodzcy patriarchowie, od których ta strona ruska swoją wiarę wzięła, tę zwierzchność Stolicy Rzymskiej Piotra świętego długo znali i jej podlegali, i od niej błogosławieństwo brali. Od której wielekroć odstępowali, ale się zaś z nią jednali i do posłuszeństwa jej wracali, a ostatnio na

Concilium albo Soborze Florenckim roku Pańskiego 1439 przez Józefa Patriarchę i cesarza Carogrodzkiego Jana Paleologa zupełnie się do tego posłuszeństwa wrócili; wyznawając, iż Rzymski Papa ojcem jest i mistrzem, i sprawcą wszystkiego chrześcijaństwa, i prawym Piotra świętego następcą. Na którym też Florenckim Soborze był nasz Kijowski i wszej Rusi Mitropolit Isidorus, który to zjednoczenie patrijarchiej Carogrodzkiej i wszystkich Kościołów do niej należących przyniósł i te kraje ruskie w tymże posłuszeństwie i zwierzchności Kościoła Rzymskiego utwierdził. Zaczem królowie polscy, a mianowicie Władysław Król Polski i Węgierski i inni dali przywilej duchowieństwu Obrządku Greckiego, którym na walnym sejmie wolności im Kościoła Katolickiego nadali. Od którego zjednoczenia kościelnego gdy patrijarchowie carogrodzcy odstąpili, a za taki grzech swój odszczepieństwa i rozerwania jedności kościelnej w moc pogańską i Turecką wpadli, zaczem wiele błędów i złych postępów ich, i zaniechanie dozoru prawego tych krajów ruskich i wiele brzydkiego świętokupstwa nastąpiło, iż się herezje rozsiały, prawie wszystką Ruś opanowały, cerkwie pustosząc i chwałę Bożą psując —

My, nie chcąc być uczestnikami grzechu tak wielkiego i nievolstwa pogańskiego, które za tym przyszło carogrodzkich patriarchów, i nie chcąc im odszczepieństwa i rozerwania jedności kościelnej pomagać, i zabiegając spustoszeniu Cerkwi i zgubie dusz ludzkich przez herezje, które się teraz podniosły, mając o to sumienie i niebezpieczeństwo zbawienia swego i trzody nam od Boga poruczonej — roku przeszłego wyprawiliśmy do Ojca Świętego Klemensa VIII Papy Rzymskiego posły nasze przewielebne: Hipacego prototrona, Władykę Włodzimierskiego i Brzeskiego, i Cyryla Terleckiego, Władykę Łuckiego i Ostrońskiego, za wiadomością i przyzwoleniem i przyczyną Króla Jegomości Polskiego Zygmunta Trzeciego, Pana pobożnego, któremu daj Boże szczęśliwe i wieczne królowanie — prosząc, aby nas do swego posłuszeństwa jako Najwyższy Pasterz Kościoła Powszechnego Katolickiego przyjął i od zwierzchności patriarchów carogrodzkich wyzwolił i rozgrzeszył, zachowując nam obrządki i ceremonie Kościołów Wschodnich Greckich, a żadnej odmiany w Cerkwiach naszych nie czyniąc. Co iż uczynił i na to przywilej i pisma posłał...” etc., etc.

Były to obszerne fragmenty tekstu Unii Brzeskiej, w roku 1596 zawartej pomiędzy Kościołem Rzymskokatolickim i Ruskim Kościołem Greckim. W wyniku osiągniętego porozumienia podpisani na akcie Unii hierarchowie prawosławni oraz podległy

im kler i wierni przyjmowali katolickie brzmienie wyznania wiary, postanowienia doktrynalne wszystkich Soborów Kościoła Katolickiego oraz zwierzchność Papieża. Kościół ze swej strony gwarantował Cerkwi Unickiej zachowanie własnej, odrębnej hierarchii i organizacji kościelnej, własny obrządek wedle rytu św. Jana Chryzostoma i własną liturgię, zachowanie własnego, odrębnego (juliańskiego) kalendarza liturgicznego, a na koniec zachowanie nienaruszonych obyczajów cerkiewnych łącznie z wyświęcaniem na kapłaństwo żonatych diakonów; gdyż wedle obyczaju greckiego kler diecezjalny mógł być żonaty z wyjątkiem biskupów, którzy winni być dobierani spośród celibatariuszy zakonnych. Jak widać więc — idea Unii zakładała pełną jedność we wierze przy równoczesnym zachowaniu autonomii, różnorodności i swobody tych wszystkich elementów, które do depozytu wiary nie należą.

Dawna historiografia rosyjska, a także i część historiografii polskiej, skłonne były rozpatrywać Unię w kategoriach intrygi rzymskiej, a w jej ramach zwłaszcza przebiegłych knowań Jezuitów, która to intryga zbiegła się z pewnymi koncepcjami polskiej polityki państwowej; koncepcjami — jak oceniano — błędnymi. W świetle tychże tez Unici jawili się przede wszystkim jako obałamuceni przez paru ambitnych hierarchów ofiara gry obcych sił.

To prawda, że Rzym pragnął zjednoczenia. Różny mógł być stopień zainteresowania tymi sprawami, różne też koncepcje i sposób widzenia, ale przez całe wieki historii nie było ani jednego papieża, który nie czyniłby wysiłków w kierunku jedności. I nader często czynił to nawet ponad głowami rządów i państw, narażając na szwank dobre z nimi stosunki. Tak było np. przed ostatnią wojną u nas w Polsce, kiedy to rząd był mocno zainteresowany w stopniowej polonizacji terenów białoruskich, zaś Rzym na przekór rządowi, z którym miał konkordat, forsował na tych terenach obrządek bizantyńsko-słowiański, który od strony liturgii, obrzędów, obyczajowości i prawodawstwa był najczystszy prawosławiem — tyle tylko, że głoszącym rzymskie *Credo*, podanym Rzymowi i modlącym się za Wsielenskawo Archijereja Naszewo, Papu Rimskowo, jeśli wolno tu użyć języka rosyjskiego nie całkiem słusznie, bo w rzeczywistości modlono się raczej po białorusku. Przed wojną ufundowano w Polsce już około pięćdziesięciu parafii tegoż obrządku (a także i osobne Seminarium duchowne), dziś została po polskiej stronie już tylko jedna, w Kostomłotach nad Bugiem, jako relik. Rząd nie bez podstaw oskarżał Watykan o popieranie białoruskiego języka i odrębności kulturowej białoruskiej, a więc też o przekroczenie postanowień

konkordatu, który regulując sprawy Cerkwi Greckokatolickiej, o obrzędzie bizantyńsko-słowiańskim (zwanym też neo-unia) nie mówił nic. Rzym jednak nie dał się odciągnąć od popierania obrządku bizantyńsko-słowiańskiego, widząc w nim perspektywy przygotowywanego zjednoczenia z prawosławiem.

Jeśli starania takie określa się mianem „intrygi”, stawia się tym samym na porządku dziennym problem intencji, z natury rzeczy nierozwiązalny. Jest takie rosyjskie powiedzenie: „*do-kazi, szto ty nie wierblud*”; udowolnij, że nie jesteś wielbłądem. Śmieszna rzecz, lecz tego nie da się zrobić. W podobny sposób nie da się udowodnić, że nikt z nas nie ukradł złotego zegarka — ani też, że intencje Rzymu były czyste. Bo niby jak to zrobić? Jednakże warto sobie uprzytomnić, warto o tym zawsze pamiętać, że podejrzania takie bywają najczęściej wyłączną kwestią apriorycznych założeń. Jeżeli ma się kogoś za złodzieja, to naturalną kolejną rzeczą oskarża się go o złodziejskie poczynania.

Jezuici... Tak się jakoś składa, że w skomplikowanych sytuacjach najprostszą i najbardziej kuszącą jest zawsze interpretacja magiczna. Kiedy staje się przed jakimś nie najprostszym problemem, najprościej jest powiedzieć, że winna jest jakaś mafia, ponieważ orzeczenie takie z punktu zwalnia nas od rozpatrywania rozwiązań podejrzanych z tytułu swej prostoty. Nikt jakoś nie ma ochoty na przyjęcie takiej właśnie prostej możliwości: że w tamtych czasach Jezuici byli bardzo młodym i bardzo prężnym zakonem o wojskowym typie dyscypliny, który to zakon miał predyspozycje do wyławiania sobie tęgich głów i wędrowania tam, gdzie ich nie posiano, a Ojciec Święty wysłać zamierzył. Uprzytomnijmy sobie, że jest to czas jezuickich misji w Indiach i Chinach, i że nawet w Konstantynopolu, podwójnie wrogim, bo i tureckim i prawosławnym, powstawały jezuickie szkoły dla prawosławnych chłopców. Prawosławie greckie bardzo nie lubiło katolików. Jeżeli pomimo to posyłano dzieci do katolickich szkół, musiały istnieć ku temu przyczyny. I były takie przyczyny. Pierwszą był bardzo wysoki poziom tych szkół, a drugą — symboliczne tylko opłaty. Trzecią zaś była zdumiewająca okoliczność, że Jezuici nie nawracali swoich wychowanków. Jeżeli byli chytry, to trzeba rzec, że cholernie chytry: oni nie zyskiwali nic, poza życzliwością prawosławnych oraz faktem, że ich wychowankowie miewali głowy mimowoli w połowie łaćkańskie, chociaż pozostawali prawosławnymi ortodoksami. Jeżeli była to gra, to w każdym razie gra liczona na bardzo długi dystans, gra nie małostkowa. Jeżeli kto bardzo chce, może to uznać za intrygę.

Byłoby bardzo dziwne, gdyby Jezuici trafili do Chin, a nie trafili do spraw Unii i na Ruś. Jasne, że trafili. Ale w ich

działalności trudno jakoś dopatrzeć się konsekwencji niezbędnej dla „knowań”. Niektórzy, jak ks. Piotr Skarga czy ks. Stanisław Warszewicki, istotnie byli bardzo gorącymi promotorami i zwolennikami Unii. Innych natomiast oskarżano o działanie na jej szkodę, a to przez przeciąganie znacznej szlachty ruskiej na obrządek łaćkański. Cóż więc zrobimy z Jezuitami? Zwyczajnie: nie należy ich ani angelizować, ani też demonizować. Był to po prostu młody, bardzo aktywny zakon skupiający zdolnych i inteligentnych ludzi, który to zakon w owym czasie kipiał od nadmiaru sił i starał się być wszędzie tam, gdzie działo się coś ciekawego i ważnego.

Czy Unia leżała w interesie polskim?

Twierdzono, że nie. Twierdzono, że wprowadziła ona rozbićcie wśród ruskiej ludności i przyczyniła Rzeczypospolitej wielu ciężkich kłopotów. Osobiście sędzę, że są to dowodzenia ogromnie krótkowzroczne. Myślę też, że aby uczciwie odpowiedzieć na zapytanie przed momentem postawione, należy uprzytomnić sobie to, co świetnie wiedziała polska kancelaria królewska już w wieku XVI. A mianowicie: czym naprawdę jest prawosławie rosyjskie. Dlaczego rosyjskie? Ano, po prostu dlatego, ponieważ po ustąpieniu fali mongolskiej centrum zupełnie jednoznacznie przesunęło się na północ, z Kijowa do Moskwy. Już w wieku XVI jedynym znaczącym władcą prawosławnym był Wielki Książę Moskiewski. Rzeczpospolita miała przed sobą prawosławie przede wszystkim rosyjskie.

Ogromnie łatwo jest wymówić te dwa proste słowa: „prawosławie rosyjskie” — a przecież kryje się za nimi sprawa ogromnie skomplikowana, podobna do olbrzymiej budowli pełnej labiryntów, jasnych sal, mrocznych korytarzy, tajemnych przejść. Zapadni też.

Prawosławie rosyjskie stworzyło wielką architekturę cerkiewną, pełną głębokich znaczeń ideowych i złote kopuły cerkiewne jarzyły się nad rosyjskimi równinami podobne płonącym kandelabrom Bożej chwały. Dopiero późny wiek XIX począł rozszyfrowywać tajemnice tej architektury. Religijny geniusz rosyjskiego ludu potrafił też wyciosować z drewna cerkiewki przynależne baśni. W zapadłych osadach puszczańskich wędrowni mnisi malowali ikony bajecznie finezyjne; a co najbardziej zdumiewające — były one przyjmowane, były akceptowane i rozumiane przez niepiśmiennych oraczów, cieśli, myśliwych i smolarzy. Mistrzowie ikon nie umieli malować perspektywy ani światłocienia. Umieli za to malować ból, radość, rozpacz, świętość, uwielbienie. I prości ludzie umieli to odczytywać. W tych ludziach były wielkie i głębokie pokłady wiary. Kiedy w początkach wieku

XVIII car Piotr rozrzucił Patriarchat Moskiewski i postawił na czele Cerkwi Oberprokuratora, świeckiego urzędnika carskiego, którego nikt nawet i nie pytał — wierzy on, czy nie wierzy — zdawało się, że koniec z Cerkwią, utonie w pijaństwie i chórach. Lecz pod koniec wieku XIX i na przełomie XX wybuchł niespodziewanie renesans rosyjskiej myśli religijnej i zajarzyło się od wielkich nazwisk, które świecą do dziś. Martwa Cerkiew nie byłaby zdolna do odrodzenia. Trzeba być człowiekiem ślepy, głuchym i złej woli, aby tych wielkich spraw nie widzieć.

Równocześnie jednak prawosławie rosyjskie stworzyło w sztuce jedyny w swoim rodzaju schemat ikonograficzny, niby *signum* mrocznych zapadni: *Spas Jaroje Oko*. Zbawiciel Straszliwe Oko, Zbawiciel Przeróżającego Spojrzenia. Jest to wyobrażenie Chrystusa o kamiennej twarzy z przenikliwymi, ciężkimi, tygrysy żółtymi źrenicami. O ile mi wiadomo, żadna inna Cerkiew Prawosławna nie znała tego schematu. A przecież i on także nie narodził się z powietrza.

Polska nie zamykała drzwi ani przed Rosją, ani przed prawosławiem. Stary Jagiełło mówił także i po białorusku, jego syn spoczął w wawelskiej katedrze pod namiotem z ruskich, prawosławnych fresków zachowanych do dziś, toż samo się działo w sandomierskiej katedrze, czy w Lublinie na zamku. Lecz kancelaria królewska — zwłaszcza nieco później, w wieku XVI i XVII — musiała oczywiście patrzeć na sprawy szerzej, nie tylko w perspektywie sztuki. Musiała także i od całkiem innej strony badać gmach rosyjskiego prawosławia.

Prawosławie przyszło na Ruś z Bizancjum. A jak to wszystko wyglądało w Bizancjum?

Patriarcha Carogrodu był bardzo wielką osobistością, kimś w rodzaju najwyższego kapłana, ale nigdy tym, czym był Papież na Zachodzie. Głową prawosławnej *oikoumene*, społeczności prawosławnej, a także żywym zastępcą Boga na ziemi był cesarz. Prawosławie bizantyńskie było demokratyczne w tym sensie, że cesarz nie mógł się obyć bez tłumów, często też bywał zrzucany przez tłum, zaś Cerkiew bardzo dbała o swoją autokefalię, o swoją samodzielność. Język grecki nie zna odpowiednika łacińskiego terminu *auctoritas*. Nie ma takiego słowa w języku greckim. Równocześnie jednak cały Wschód patrzył ze zgorzeniem i przyganą na średniowieczny Kościół Zachodni, gdzie władza papieska była czymś bardzo rzeczywistym, sięgającym często ponad głowy królów i cesarzy. Na Wschodzie było to czymś całkowicie niemożliwym. Patriarchę wybierał Synod, ale godność tę nadawał mu cesarz. Zauważmy nader charakterystyczną wymowę formu-

Do roku 1261 formuła nadania godności brzmiała tak: „Łaska Boża i pochodzący od niej Nasz Majestat wynosi najpobożniejszego (...) na stanowisko Patriarchy Konstantynopola”. Po roku 1261 mówiono już inaczej: „Święta Trójca mocą przekazanej Nam władzy wynosi cię do godności biskupa Konstantynopola czyli Nowego Rzymu, i ekumenicznego Patriarchy”. W wieku XV cesarz, choć słaby już, stał formalnie tak wysoko, że w czasie ceremonii nawet się już nie odzywał, a formułę wygłaszał jego urzędnik: „Nasz Wielki Święty Synod wzywa Waszą Świątobliwość na najwyższy tron Patriarchy Konstantynopola”. O Panu Bogu już się nawet nie wspomina, zaś imieniem Synodu występuje urzędnik cesarski.

Koronacji cesarskiej dokonywał Patriarcha, lecz koronacja nadawała cesarzowi pewne kapłańskie uprawnienia i pozdrawiano go tytułami *pontifex*, *sacerdos* albo *biereus*, Hierarcha. Cesarz mógł zmieniać prawa cerkiewne, zaś piętnastowieczna ugoda pomiędzy cesarzem Janem Paleologiem i Patriarchatem stanowiła, że cesarz mianuje metropolitów, przenosi biskupów i powołuje ich na wyższe stanowiska, a także zmienia zasięg terytorialny biskupstw. Zauważmy: przecież wszystko to były uprawnienia ściśle cerkiewne! a dierżył je cesarz, nie zaś Patriarcha. Cesarz nie mógł też podlegać ekskomunice, a bez jego zgody nie można też było obłóżyć ekskomuniką członka senatu. Z drugiej zaś strony biskup był prawnie zobowiązany odmówić poparcia każdemu, kto mógłby być przeciwny polityce cesarskiej. Nie „takiemu, który się sprzeciwił”, lecz takiemu, który tylko *mógł* się sprzeciwić. Jeśli się zna te sprawy — wiadomym też jest, dokąd sięgnął Oberprokurator cara Piotra Wielkiego wydając ukaz, na mocy którego tajemnica spowiedzi w Cerkwi Rosyjskiej nie obowiązywała, gdy w grę wchodził grzech przeciwko carskiej władzy i carskiej woli.

Cesarstwo bizantyńskie upadło, lecz koncepcja ustroju cerkiewnego oraz uprawnień władcy prawosławnego w oczywisty sposób przeszła do Moskwy. Patriarcha Carogrodu pod okupacją turecką był *de nomine* zwierzchnikiem Cerkwi całej Rusi, lecz już w wieku XV Wielki Książę Moskiewski zaczął się zastanawiać, czy aby przypadkiem nie jest prawym spadkobiercą Cesarza Carogrodu i głową całej chrześcijańskiej *oikoumene* prawosławnej. Ostatnim z mianowanych przez Konstantynopol był Izydor, Metropolita Kijowski. Było to jeszcze przed upadkiem Konstantynopola. Izydor za Patriarchą Carogrodzkim przyjął i ogłosił Unię z Rzymem, podpisaną na Soborze Florenckim. Moskwa uznała, że Izydor i Bizantyńczycy zdradzili prawosławie i umocniła się w przekonaniu, że jest jedyną już matką i opiekunką

prawosławia. Nie jest przypadkiem, że herbem dynastii Romanowych stanie się później dwugłowy czarny orzeł, który pierwotnie był godłem Cesarstwa Bizantyńskiego. Rosyjski car naprawdę czuł się spadkobiercą cesarzy bizantyńskich.

Polska kancelaria królewska musiała przecież znać wszystkie te fakty. Już w 1492 metropolita Zosim pisał tak: „Cesarz Konstantyn założył Nowy Rzym, to jest Konstantynopol, ale władca i samodzielnca wszystkiej Rusi, Iwan Wasyliewicz, ów nowy Konstantin, założył podwaliny nowego miasta Konstantynowego, czyli Moskwy”. Tytuł cara czyli cesarza przybrany przez Iwana III oznaczał, że monarcha moskiewski jest w obliczu Boga głową wszystkich prawosławnych, to jest całego świata prawdziwie chrześcijańskiego. „Prawosławie” znaczy dosłownie „prawidłowy sposób sławienia Boga”; „prawy (tj. uczciwy) sposób oddawania chwały Bogu”; „prawdziwa wiara”. I tak też stawiało sprawę prawosławie rosyjskie: że jest to jedyna prawdziwa i rzetelna wiara chrześcijańska. Tendencje te przybierały czasem nawet i dość krańcową postać: bodajże już ojciec cara Iwana Groźnego (a i on sam także) przyjmując posłów zagranicznych albo obcych kupców — pilnował, aby po rozmowie z nimi zawsze wypłukać sobie usta i umyć troskliwie ręce w specjalnej misie. Władcy ci uważali, że zostali skażeni, zostali zbrudzeni samym tylko towarzystwem ludzi, którzy nie są prawosławni, a także i powietrzem, którym byli zmuszeni oddychać razem z nimi. To mogło być zabawne od strony anegdotycznej, ale równocześnie każdy, kto chciał przejść na prawosławie, musiał się powtórnie chrzczyć, ponieważ w pewnym okresie prawosławie rosyjskie nie sądziło, aby jakikolwiek inny chrzest mógł być prawdziwy i ważny.

Mnich z Pskowa Fiodetj w przemowie do cara w 1511 mówił tak: „Cesarze władają dzięki najwyższej, wszechmocnej i wszystko utrzymującej prawicy Boga. Ona to wyniosła ciebie, Najjaśniejszy i Najwyższy Władco i Wielki Książę, prawosławny chrześcijański Carze i Panie Wszystkiego, ciebie, który dzierżysz panowanie nad świętymi tronami Boga, nad świętymi, powszechnymi i apostołskimi Kościołami Najświętszej Bożej Matki zamiast Rzymu i Konstantynopola. Teraz jaśniej na cały świat podobny do słońca na niebie Trzeci Rzym twego wszechwładnego Carstwa, które stoi na prawosławnej wierze chrześcijańskiej. Bacz i czuwaj, najpobożniejszy Carze, aby wszystkie chrześcijańskie dzierżawy złączyły się z twoimi. Albowiem dwa Rzymy upadły, ale trzeci stoi, a czwartego już nie będzie. Albowiem Twoje Chrześcijańskie Carstwo nie dostanie się żadnemu innemu, bo taka jest można wola Boga”...

Takie pojmowanie spraw i tego typu orędzia z całą pewnością nie mogły przeszkadzać Grekom, którzy przez paręset lat żywili próżne nadzieje, że wielki i możny prawosławny car rosyjski wyzwoli ich z niewoli tureckiej, rozbiwszy Cesarstwo Otomańskie, co wszakże nigdy nie nastąpiło. Z tego samego powodu nie wadziły one ani trochę Bułgarom, których nadzieje spełniły się w wieku XIX podczas wojny bałkańskiej, za co też wdzięczni Bułgarzy wzniesli w Sofii katedrę św. Aleksandra Newskiego jako *votum* orężowi carskiemu. Silny protektor jest rzeczą nader pożyteczną, jeśli jest w odpowiedniej odległości, to jest nie za daleko i nie za blisko. Jednakże Polska wraz z Litwą były o miedzę, zaś na swoich obszarach miały prawosławnych. W sytuacji, gdy car moskiewski głosił się władcą wszystkich prawosławnych, Polska nie mogła być pewna elementarnej lojalności swoich prawosławnych obywateli — chociaż w duchowości prawosławnej leży posłuszeństwo każdorazowemu władcy. Ale czy wierność ta wytrzymałaby próbę konfrontacji *katolickiego* króla z *prawosławnym* carem?... Kancelaria królewska nie ufała prawosławnym. I chyba miała rację. Kiedy w wieku XVII wybuchły wojny kozackie, monastera prawosławne dość często były ośrodkami wywiadu — i to wcale nie kozackiego, lecz carskiego.

Trzeba to całkiem szczerze i otwarcie powiedzieć: Unia istotnie leżała w interesie suwerennej Polski z tej prostej przyczyny, że przerywała sieć psychicznej zależności od cara jako władcy prawosławnego wraz z całą przejętą przezeń z Bizancjum i specyficznie rozdetą koncepcją jego uprawnień.

Jednakże zaraz potem trzeba sobie też powiedzieć, że Rzym Rzymem, Jezuiti Jezuitami, Polska Polską, lecz z całą pewnością nie byłoby Unii, gdyby nie zapragnęły jej szczerze szersze masy społeczeństwa ruskiego. Nie da się utrzymać teza, jakoby była ona dziełem paru „zdrajców” i „odszczepieńców” z szeregów Hierarchii cerkiewnej. Toć uprzytomnijmy sobie fakt, że wielu patriarchów Konstantynopola poddawało się Rzymowi albo też pragnęło Unii z Rzymem, że wymieni się przykładowo Dionizego II, Metrofanesa, Rafała II, Neofytosa II, Tymoteusza II, Grzegorza IV, Cyryla II czy Atanazego III, nie mówiąc już o licznych i znacznych metropolitach — a jednak nic z tego nie wyszło, bo Kościoły za nimi nie poszły, sami wierni odrzucili Unię.

Dlaczego Unia Brzeska wypaliła, chociaż nie tak, jak mogła wypalić?

Istniały niewątpliwie pewne fakty kulturowe i cywilizacyjne. Car, jako głowa prawosławnego świata był — powiedzmy to

sobie szczerze, bo rzecz jest historycznie udokumentowana — zjawiskiem dość strasznym. Parę lat temu wyszła w Polsce książka o Iwanie Groźnym. Autor nie wysiłał się specjalnie, aby gromadzić horror, ale i tak włosy stają dęba. Car mógł z człowiekiem zrobić wszystko, choćby to był książę, bojarzyn, czy metropolita. Car mógł powołać do życia opryszczkę, która na jedno mrugnięcie carskiego oka porывała ludzi na męki i śmierć; potem zaś mógł pograć w krwawej nicości także i opryszczków. To nie była wyłączna kwestia osobistego usposobienia Groźnego. W carstwie nie było żadnych mechanizmów społecznych, które mogłyby skutecznie sprzeciwić się krwawym łańcom; nie było żadnych bezpieczników przeciwko tego typu koncepcjom władzy.

Książę Konstanty Ostrogski, wielki pan ukraiński i protektor prawosławia, który bardzo wiele szkód przyczynił Unii, był polskim senatorem i mieszkiał daleko od ręki carskiej. I chyba dlatego nie przemyślał sprawy do końca. Mógł być tym, kim był — wielkim panem prawosławnym — tylko dlatego, że był pod władzą katolickiego, polskiego monarchy. Bo gdyby się znalazł pod ręką cara, stałby się zaraz, jak inni, bardzo małym pankiem i pełzałby na brzuchu przed prestołem. W wieku XVI wyszła w Polsce książka o Rosji, zresztą życzliwa, lecz car Iwan Groźny przysłał osobne poselstwo, żądając, aby drukarzom gdańskim zaraz poucinać głowy, dopuścili się bowiem niesłychanej obrazy osoby carskiej, opuszczając jeden tytuł cara z liczby kilkudziesięciu. Kiedy w wieku XVII Bohdan Chmielnicki w Perejasławlu oddawał carowi połowę Ukrainy — zażądał od carskiego posła, aby car zaprzysiągł ugodę z kozakami. A Buturlin bardzo się zdumiał i z niesmakiem oświadczył hetmanowi, że u nich nie ma takiego obyczaju. To tylko król w Warszawie ma takie dziwne obyczaje, że przysięga poddanym. Car nigdy tego nie czyni. Ale było już za późno, aby się cofnąć.

Polska nie była idealnym krajem. Polscy wielmoże byli pełni pychy, a w czasie wojny bywali okrutni wcale nie inaczej niż Krzywonos. Radziwiłł, przechodząc przez Ukrainę, też zostawił za sobą krwawy szlak. Polska szlachta bywała chciwa i wyrachowana, dokuczliwa i dość nieznośna. Ale mimo wszystko to był jednak inny świat. Nie „inny kraj”, lecz tak właśnie: „inny świat”. Epoka cara Groźnego w Rosji jest w Polsce najdokładniej epoką Jana Kochanowskiego. Na wschodnich obszarach Rzeczpospolitej — tam, gdzie była mieszana ludność — był taki obyczaj, że wielmoża albo szlachcic zakładając miasteczko, fundował kościół, cerkiew i synagogę. Przytaczająca większość cerkwi na tych obszarach, także i wiejskich, jest polską fundacją.

Rosja tamtej epoki nigdy nie pozwoliła u siebie zbudować ani jednego łacińskiego kościoła — i tylko w stolicy była kaplica dla obcych, innowierczych poselstw.

Trzeba sobie bardzo dokładnie zdać sprawę z tego, że Unia była optowaniem także i za określonym typem kulturowo-cywilizacyjnym. Tym właśnie typem, który ukraińskiemu panu, książęciu Ostrogskiemu, pozwalał być tym, czym on sam chciał być, choćby to było i nie po myśli królowi w Warszawie. Zrozumieli to synowie kniazia na Ostrogu. I przeszli na Unię.

Oczywiście doszły do tego motywy ściśle religijne o teź samej znaczącej wadze rzeczowej.

Żyjemy w dobie ekumenizmu, Papież wizytował Dimitriosa w Konstantynopolu i niezręcznie jest prawić przykre rzeczy. Lecz jednak trzeba mówić prawdę.

Stan Cerkwi był katastrofalny. I to od góry do dołu.

W maju 1453 upadł Konstantynopol i bizantyńskie prawosławie razem ze stolicą, która zachowała jurysdykcję kościelną także i nad Rusią, przeszło we władanie sułtanów tureckich. Sułtanowie w zasadzie uznawali reguły ustalone wcześniej przez arabskich kalifów w stosunku do „ludu Księgi” (tj. Żydów i chrześcijan), ale byli o wiele mniej tolerancyjni, o wiele bardziej prymitywni i o wiele bardziej chciwi.

Patriarcha Konstantynopola był nadal obierany przez Synod, lecz kandydata wskazywał sułtan. Wskazywał zaś zawsze tego, który zapłacił więcej. Patriarcha był praktycznie tylko przewodniczącym Synodu, ale Synodem rządili *de facto* i po cichutku urzędnicy sułtańscy. Prawa chrześcijan zależały od widzimisię Wysokiej Porty. Każdy budynek kościelny mógł być w każdej chwili odebrany, chłopców chrześcijańskich porывano w janczary i karano śmiercią, jeśli potem zamierzali porzucić islam, zaś dziewczęta brano do serajów.

W obozie Patriarchy korupcja była niewiarygodna i całkiem jawna. Należało dać łapówkę za wybranie, potem zaś wpłacić odpowiednią sumę na rzecz Wysokiej Porty za zatwierdzenie; do tego dochodziły coroczne opodatkowania w formie haraczu.

Władze tureckie chętnie widziały częste zmiany na tronie patriarszym, bo za każdym razem strzykało złoto. W stuleciu pomiędzy rokiem 1596, datą Unii, i 1696, było sześćdziesiąt jeden zmian na tronie patriarszym, chociaż było tylko 31 patriarchów. Mateusz II rządził 20 dni w 1595, potem przez cztery lata od 1598 do 1607, w końcu przez 17 dni w 1613. Cyryl I Lukaris, najstarszy z patriarchów wieku XVII, jedyny patriarcha o bardzo wyraźnym odchyleniu kalwińskim, zasiadał na tronie i spadał zeń siedem razy, za każdym razem płacąc łapówki,

aby pozwolono mu wdrapać się na ten tron. Przeciętny okres panowania patriarchy wynosił w tym czasie mniej niż dwadzieścia miesięcy. Turcy uśmiercili czterech patriarchów, zaś pod koniec wieku XVII cena patriarchatu wedle ramowej taryfy wynosiła 20.000 piastrow, co w przeliczeniu na aktualną walutę równa się około 3.000 funtów angielskich w złocie. Roczna danina od początku wieku XVII także wynosiła 20.000 piastrow. W 1726 patriarcha Kallinikos III zapłacił za wybór 36.400 piastrow (czyli 5.600 funtów w złocie), licytując swoich rywali, a ponieważ zaraz następnego dnia z radości umarł na serce, transakcja okazała się bardzo kosztowna dla Kościoła, ponieważ w krótkim terminie trzeba było znowu wpłacać łapówkę za następną elekcję. Sułtan patrzył na tę szopkę ze szczerym rozbawieniem. Wielki Kościół Konstantynopola — bo to był wielki Kościół, Kościół o wielkich tradycjach w wierze, sztuce i intelekcie — ten Kościół pod rządem Turków był Kościołem najgłębiej upokorzonym.

Kto płacił? Głównie fanarioci, niezmiernie bogaci kupcy greccy, zamieszkali w Fanarze, greckiej dzielnicy Konstantynopola, aktualnego Stambułu. Ale im także brakło pieniędzy. A wtedy Konstantynopol oglądał się na Ruś, zbierając tam i wyzębrając fundusze na ocalenie i utrzymanie istnienia Patriarchatu, co nie przyczyniało się do podwyższenia jego prestiżu. I można się w końcu nawet nie dziwić, że patriarchowie carogrodzcy nie mieli czasu ani też głowy, aby się zająć poważnie stanem Cerkwi Ruskiej.

A stan ten był fatalny.

Starym i mądrym obyczajem cerkiewnym na władcykówinni być obierani zakonnicy zalecający się nauką i świętobliwością życia; wszelako zdarzało się, że książęta Glinscy na Polesiu i Ostrogscy na Wołyniu czynili władcykami nawet i ludzi świeckich. Prawosławną diecezją łucką przez sześć lat rządził metropolita bez święceń kapłańskich. Iwan Borzobohaty-Krasieński, biskup łucki od 1567, święcenia kapłańskie przyjął dopiero po czterech latach sprawowania urzędu biskupiego, zagrożony kłutwą. Prawosławny władca lwowski w latach 1568-1607 Hryćko Bałaban objął rządy *manu armata*, ręką zbrojną, a trzydzieści lat jego pasterzowania, jak świadczą archiwalia ruskie, są jednym pasmem zgorszenia, upadku, zdzierstwa i łupiestwa. Historiografia prawosławna często nabiera wody do ust i złego słowa nie mówi o Bałabanie, lecz archiwalia pogrzebać się nie dadzą: Władca grabił wszystkich, grabił także i swoich, zagrabił również i skarbiec monasteru uniejowskiego, sprzęty cerkiewne Żydom sprzedał, a zakonników zakuł w dyby i uwięził, aby mu nie przeszkadzali. Patriarcha mówił o nim: „*Sotworiu wsie łukawstwije*

nieprawiednije i bezsowistnyje”. Lecz był praktycznie bezsilny. Nie jest tytułem do chwały Cerkwi fakt, że w ustach prawosławnego ludu termin „*bałabaństwo*” znaczył wszystko najgorsze.

Zachowało się świadectwo stanu Cerkwi całkiem nie podejrzane, list szlachty ruskiej do prawosławnego metropolity Onezyfora Dziewońki, poprzednika metropolity Rahozy. List jest pisany dziwnym nieco językiem rusko-polskim, czemu się dziwić nie należy, gdyż bariera językowa na tych ziemiach była podówczas o wiele niższa, słownictwo wędrowało z języka do języka (ileż pięknych staropolskich słów przechował język ukraiński — choćby owo *zawždy*), zaś żadnych animozji językowych nie było. Toć przypomnijmy sobie, że za czasów Zygmunta Augusta nawet oficjalne dokumenty królewskie w Wilnie bywały redagowane po rusku. Teraz w kancelariach obowiązywała łacina, lecz na pograniczu języki po dawnemu się przenikały.

A oto urywek dokumentu:

„Wielikomu nieszczastju swojemu priczitati musim. Za Waszoho pastyrstwa usi wieleje utisnieni płaczem i skitajemsia jak owcy pastyria nieimuszcziye; acz Waszu Miłost Starszoho majem, ale Wasza Miłost podwizatsia i pracy czynity około słowiestnyh owiec, od wołków hubiaszczych bronity i ni trocha, ni w czym swiatomu błahocestiju ratunku dawaty nie raczysz. (...) Za pastyrstwa Waszej Miłosti dosyt wsieho złobo w Zakonie naszym stało sia, jako zgwalcenie swiatostej, swiatykh tain zamykanie, zapieczatania cerkwi swiatykh, pobranie zwonow do zamku i gwoli Żydam. K'temu jeszcze jakija diejutsia spustoszenija Cerkwi Bożija? W monastyrach chesnyh ihumeny z żonami i dietmi žiwut i cerkwamy swiatymi władajut. I innyh bied naszych i niestrojenija množenstwo, czobo z żalom naszym na tot czas pysaty nie mozem”...

Takich świadectw zachowało się w archiwach niesłychane mnóstwo, podobnie, jak i świadectw niskiego stanu kleru niższego. Aż do połowy wieku XVI szkoły przy monasterach i cerkwiach uczyły jedynie czytania, pisania i śpiewu cerkiewnego, nie dawały natomiast żadnego przygotowania i podstaw już nawet nie nauk teologicznych, lecz nawet podstaw prawd wiary. Nie kto inny, jak sam książę Ostrogski, przeciwnik Unii i obrońca prawosławia, tak o tym pisał w roku 1593: „A nie dla czego innego rozmnożyło się między ludźmi narodu ruskiego takie lenistwo, ospalstwo, odstąpienie, jako najwięcej dlatego, że ustali nauczyciele i nie masz ich, ustali opowiadacze Słowa Bożego, ustały kazania, a zatem nastąpiło zniszczenie i zmniejszenie chwały

Bożej i Cerkwi Jego, nastąpił głód słuchania Słowa Bożego. (...) Wszystko się przewróciło i upadło, ze wszech stron frasunek, bieda, a jeśli się dalej poczuwać w tym nie będziemy, Bóg wie, jaki koniec z nami będzie”.

Słowo Boże na Rusi może i głoszone, lecz nie zawsze prawosławne. Tu znów cytat z ówczesnych źródeł: „Szymon Budny i Laurenty Krzyszkowski jad swój ariański po rusku drukowany rozsiadli pomiędzy popy, a oni to przyjęli za lekarstwo, twierdzą bowiem, że to księgi cerkiewne dawne, a zatem dobre. Dopotogli do tego i owi czerńcy moskiewscy, których czart sam nauczył herezji, o co byli posądzeni w Moskwie, a uciekwszy, przyszli w kraje nasze”. Nawiasem rzekłszy sam kniaź Konstanty Ostrogski, filar prawosławia, przyjmował protestancką naukę o sakramentach, co się okazało jawnie z jego korespondencji z papieżem.

Szkoły prawosławne zaczęły powstawać dopiero jako reakcja na rozwijające się szkolnictwo jezuickie. I nie jest zapewne przypadkiem, że wszystkie bez wyjątku były w granicach Rzeczypospolitej: Ostróg, Lwów, Wilno, Kijów...

Unia wisiąca w powietrzu. Nie byłoby jej, gdyby nie było ludzi, którzy po prostu chcieli ratować Cerkiew. Ratunku nie mógł dać ani upokorzony i zniewolony Konstantynopol, ani Moskwa nie widząca potrzeby żadnych zmian i żadnych wysiłków, ani tym bardziej rozliczne protestanckie ruchy religijne, kokietujące uporczywie Cerkiew swoją wrogością do Rzymu, lecz nie mające do zaofiarowania nic poza ową wrogością, jak się to jawnie okazało z wymiany korespondencji z Konstantynopolem. Protestantyzm sięgnął wprawdzie do Konstantynopola, gdzie patriarchą został niebawem kalwinista Lukaris, lecz fala ta bardzo szybko się cofnęła.

Bardzo charakterystycznym i ciekawym probierzem podskórnych prądów i nie zawsze świadomych orientacji jest sam on-że późniejszy nieco w latach Metropolita Kijowski Piotr Mohyła, fundator słynnej tamtejszej Akademii, postać arcyciekawa, sympatyczna i zasługująca na osobną monografię. Mohyła był z urodzenia Mołdawianinem, nie Rusinem. Wychowanie i gruntowne wykształcenie odebrał w Europie Zachodniej, lecz sercem wybrał Ukrainę. Był stanowczym przeciwnikiem Rzymu, lecz z pobudek wyłącznie politycznych: bał się, że rzymski porządek kościelny przesączony przez sito polskiej państwowości odbierze duszę Cerkwi, Ukrainie zaś swobodę. A on kochał tę ziemię bujną i bardzo piękną, czułą, nieopanowaną i wybuchającą ogniami żywiołowych buntów. Mohyła był człowiekiem rozpaczliwie rozdwojonym. Łacinę znał lepiej niż grekę, a jego doktryna

religijna była z ducha nieuleczalnie katolizująca, bliska katolicyzmowi, łacińska. I w tej też postaci realizowano ją w jego kijowskiej Akademii. Zawarł ją w swojej „Konfesji”, też zresztą napisanej w oryginale po łacinie jako „Orthodoxa Confessio Fidei” przed rokiem 1640. Dopiero potem przetłumaczono ją na grecki, opuszczając co bardziej „łacińskie” z ducha sformułowania i fragmenty. Ta mocno katolizująca „Konfesja” prawosławna, pierwsze kompendium wiary prawosławnej od czasów Jana z Damaszku, zyskała uznanie wielu synodów prawosławnych i nawet wielu patriarchów, w ich liczbie nawet moskiewskiego Adriana, który uważał, że jest to dzieło natchnienia Bożego. Jeśli takie bywały nastawienia w samych twierdzeniach ortodoksji prawosławnej, także i wśród zdecydowanych przeciwników Unii i Rzymu, to cóż mogło się dziać wśród tych, którzy oporów takich nie mieli, a szczerze pragnęli ratować Cerkiew w tych jeszcze czasach, kiedy Akademii Kijowskiej nie było?

Czy Jezuiti maczali w tym palce? A owszem, maczali. Bardzo czynny był ks. Stanisław Warszawicki, zaś książka ks. Piotra Skargi „O jedności Kościoła Bożego” miała parę wydań i była ówczesnym *bestseller*'em, trudno ją było dostać. Należy jednak sprawiedliwie powiedzieć, że głównym orężem było przekonywanie, nie zaś naciski. Owszem, pojawiły się one nieco później, lecz nie ze strony polskiej, lecz od strony niektórych hierarchów ruskich; zwłaszcza Pocij lubił poczynać sobie nieco ostro. Jeśli zaś chodzi o samych Jezuitów, to istnieje pewien probierz ich intencji. Otóż grubo przed Unią bardzo wiele rodów ruskich i litewskich przechodziło z prawosławia do „rzymskich okopów” całkiem z dobrowoli. Książęta Słucy, Zasławscy, Zbarascy, Wiśniowieccy, Sanguszkowice, Czartoryscy, Sołomereccy, Massalscy, Puzynowie, Chodkiewicz, Siemaszki, Sapiehowie, Pace, Tyszkiewiczowie... Przecież wszystko to były rody pierwotnie prawosławne. Archimandryta Iwan Dubowicz tak pisze, rozpatrując motywy tego procesu: „Wiele ich dlatego do Kościoła Rzymskiego się przeniósło, że nie mieli komu sumienia powierzyć bezpiecznie i naukę wziąć zbawienną”. To jest znów sprawa poziomu kleru prawosławnego i stanu Cerkwi z jednej strony, z drugiej zaś atrakcyjności katolickiego świata kulturowego. Jezuiti mogli być zainteresowani w konwersjach, ale nie w Unii. A jednak wielu z nich Unię popierało i forowało. Trudno jest posądzać ich o wyrachowanie albo złe intencje.

Unia ratowała nie tylko Cerkiew, nie tylko obrządek i określoną duchowość, ale także i poczucie pewnej plemiennej przynależności i odrębności, a należy też pamiętać, że to rzymski papież Urban VIII upominał zakony, aby nie przeciągały Rusi-

nów na rzymski obrządek. Unia naprawdę była próbą ratowania Cerkwi. „Cerkiew nasza prawosławna jest przepełniona wszelkimi błędami i ludzie trwożą się, azali nie grozi jej zupełna zguba. Wielu uczyniło postanowienie poddać się rzymskiemu papieżowi i żyć pod władzą jego, zachowując bez przeszkody cały swój obrządek greckiej wiary”.

Rezultaty ostateczne, jak wiemy, okazały się połowiczne, zaś winą musimy się podzielić na pół, bo w tym zakresie wszyscyśmy grzeszni. Są to sprawy zawiłane i trudne, których na paru stronicach nie da się wyczerpać. Więc tylko przykładowo:

Strona polska nie dotrzymała warunków umowy i nie dopuściła biskupów ruskich do senatu, chociaż było to zawarowane i papież Klemens wielokrotnie króla i stany polskie upominał. Podkopało to od początku powagę Unii i zaważyło na jej losach. Konsekwentnie realizowana Unia zamieniłaby Polskę w Rzeczpospolitą nie dwojga, lecz trojga narodów, to zaś mogło mieć nieobliczalne i zbawienne konsekwencje na przyszłość. Zawiniłi Polacy brakiem wyobraźni. Gdyby mieli jej więcej, carowie mogli nie wyjść na morze Czarne. Przyszła potem Unia w Hadziaczu, która istotnie czyniła z Polski Rzeczpospolitą Trojga Narodów, lecz był to czas już po wojnach kozackich. Za dużo świeżej krwi. Było co najmniej o pięćdziesiąt lat za późno.

Ale tej wyobraźni nie miała także i druga strona. Wszyscy historycy są zgodni w opinii, że gdyby stary książę Ostrogski, który miał w ręku Wołyń i bardzo znaczną część Ukrainy, a także mir po wszytkiej Rusi, gdyby to on opowiedział się za Unią — nie napotkałaby ona na żadne większe przeszkody, a i z senatem polskim także sprawy mogły potoczyć się inaczej, gdyż był to pan bardzo możny, może i nie słabszy od króla, a w każdym razie jeden z najmożniejszych panów w Rzeczpospolitej. Sam książę Ostrogski długo się wahał i na własną rękę jeszcze przez Possewina korespondował z papieżem o Unię. Stawił jednak warunki zupełnie nierealne. Żądał mianowicie rewizji nauki o sakramentach, a to w duchu protestanckim, oraz równoczesnej ugody z Cerkwią Moskiewską i innymi patriarchatami prawosławnymi Wschodu. Pierwszego z tych warunków Rzym nie mógł zaakceptować z zasadniczych powodów doktrynalnych, podobnie zresztą, jak nie zaakceptowałaby go żadna Cerkiew Prawosławna. Drugi zaś w ogóle od Rzymu nie zależał i w warunkach autokefalii był praktycznie nie do przeprowadzenia. Rokowania nic więc nie dały i Ostrogski opowiedział się przeciwko Unii, stając się jej wrogiem. To z Ostroga szły zagony Nalewajki na unitów, w Kijowie utopiono bazylianina unitę Hrekowicza, czterech innych zakuto w dyby i trzymano w Trechtymirowie,

w kozackiej turmie, a dziekanowi unickiemu w Szarogrodzie po prostu głowę ucięto. W czasie rokoszu Zebrzydowskiego Ostrogski opowiedział się po stronie rokoszan i żądał zupełnej likwidacji Unii.

Kozacy: osobny rozdział. Do połowy wieku XVII z powodu Unii zamordowali Kozacy zaporoscy ponad stu unickich duchownych: wszystkich, którzy nie zdążyli uciec przed bratami-Kozakami. Z Kozakami w ogóle jest dziwna sprawa. Wszystkie źródła historyczne zgodnie stwierdzają, że nie byli to ludzie pobożni i sprawy religijne były im raczej głęboko obojętne. Zachowały się do dziś wierszowane prześmiewki kozackie o tym i tamtym, co starości dożył, a popa i cerkwi na oczy nie widział. „*Stawni chłopci Zaporozci wik zwikuwaly — popa ne wydaty. Jak zobaczyły u poli capa, ataman każe — oce, bratci, pip, pip!*”. I oto Kozacy stanęli przeciwko Unii jako ostoja prawosławia. Czemu? A licho wie. Może dlatego, że w ich pojęciu, mimo identycznego z prawosławiem obrządku, była to jednak „lacka wiara”, zaś „*Lach, Żyd i sobaka — wira odynaka*”, jak mówiło ozdobne powiedzonko czerni kozackiej. No i różni ruskich swoich, unickich duchownych, nie pomyślawszy wiele, że w dalszej perspektywie historycznej podryniają gardło także i swojej kozackiej swobodzie.

Poczucie łączności z prawosławiem było też niewątpliwie jednym z motorów ugody perejaśławskiej. Dlaczego mówię tu o braku wyobraźni? Nie minęło wiele lat, carowie zlikwidowali Sicz Zaporoską i kozacką autonomię, o której niedostatki tak krwawo bili się Kozacy z Rzeczpospolitą; w Cerkwi zaś nie było żadnego kątko na ukraińsko-kozackie odrębności, można się było tylko wtopić bez reszty w wielką rzekę rosyjskiego prawosławia. Polscy magnaci chadzali przeciwko Kozakom szablą w szablę i obie strony świeciły sobie w oczy łunami pożarów; lecz przecież pierwszą Sicz Zaporoską założył książę Dymitr Wiśniowiecki, przodek Jaremy. Mogli teraz szukać nawzajem swojej śmierci, lecz było w tych ludziach dziwne pobratymstwo. I żaden z nich nie mówił o Ukrainie i Kozakach z pogardą i wrogością tak bezdenną, jak później caryca Katarzyna.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że w wieku XVII burzliwa opcja kozacka za prawosławiem związała ręce Warszawie, gdyż propagowanie Unii za każdym razem zaogniało stosunki z Kozaczką. Władysław IV, planując alians z Kozakami i szukając pokoju, musiał równocześnie przywrócić wiele przywilejów dyzuńskich i poczynić prawosławiu wiele ustępstw. Temu samemu prawosławiu, które potem Kozacką dorznęło. Więc to nie tylko Polacy grzeszyli brakiem wyobraźni.

Przyszły potem czasy o wiele gorsze jeszcze, zwłaszcza po rozbiorach. Pod carską, prawosławną ręką nie żyć było Unitom. Toć przecież jeszcze przed rozbiorami car Piotr Wielki, buszując po Polsce, burzył i palił unickie cerkwie, a metropolitę porwał do Rosji i nigdy go już nie zobaczono. Dla carycy Katarzyny, z urodzenia Niemki-protestantki, sprawy prawosławnej Cerkwi w Polsce były bardzo wygodnym pretekstem ingerowania w sprawy polskie i narzędziem presji politycznej; Cerkiew prawosławna bardzo posłusznie i gorliwie zajęła się też rusyfikacją zleconą przez carów. To już nie była dawna Cerkiew, która kiedyś przez swoich patriarchów próbowała grać na własnych skrzypkach i niekoniecznie to, co car słuchał najmilej; ostatnim, który tego próbował, był Nikon, a źle skończył. Teraz Cerkwią rządził carski Oberprokurator z resortu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a duchowieństwo miało swój szczebelek w drabince urzędniczej.

Wśród następców Katarzyny tylko Aleksander I pozwalał unitom na lata *pieredyszki* czyli pewnego odprężenia. Wszyscy inni carowie, niechętni wszelkiemu *katoliczestwu*, a zwłaszcza już polskiemu — żelazem wypalali Unię, traktując jej wyznawców jako ukrytych zdrajców. To wtedy pisała się wielka i całkiem już zapomniana legenda unitów podlaskich, którzy przez dziesiątki lat płacili wielką cenę za swoją wierność katolicyzmowi wschodniego obrządku, przekradając się przez granicę galicyjską dla chrztów, spowiedzi, ślubów. Przyszedł i taki dzień — w styczniu 1874 — kiedy naprzeciw unickich chłopów podlaskich w Pratulinie stanęła rota carskiego wojska. Trzynastu zabitych, stu osiemdziesięciu rannych, zapełnione więzienia w Brześciu, Białej i Siedlcach, zsyłki. Zruszczony Niemiec, dowodzący płk Stein, osobiście raczył katować oporne chłopstwo. Prawosławni apologeti rosyjscy pisali o spontanicznym powrocie obałamuczonych na łono Matki, Cerkwi Prawosławnej.

A Unia jednak się ostała. Ostała się tam przede wszystkim, gdzie było to realnie możliwe, tj. pod zaborem austriackim. Ostała się nie dla swoich pięknych oczu, ani też z powodu liberalizmu austriackiego. Powodem był raczej austriacki strach. Austriacy nie bez powodu, lecz z pewną przesadą uważali prawosławie za forpocztę imperium rosyjskiego; hodowali więc grekokatolików, aby nie dopuścić prawosławia. Unia okrzepła, ale też i doznała pewnego ograniczenia narodowościowego. Kiedy dziś mówi się o unitach, ma się na myśli Grekokatolicką Cerkiew Ukrainką. Dziś już mało kto pamięta, że patron Unii, św. Jozafat Kuncewicz, był Białorusinem i Władyką Połockim. Ale na początku to jego krew scementowała Unię, i krew chłopów pod-

laskich; dopiero po nich męczeństwo tych wszystkich na Ukrainie, którzy nawet mogli nie mają. Mówi stare powiedzenie, że krew męczenników jest nasieniem wyznawców. Bardzo to dziwne, ale ta rzecz zawsze się sprawdza praktycznie, choć brak na to racjonalnych powodów.

Olbrzymi i nabołały problem niewątpliwych relacji pomiędzy Grekokatolicką Cerkwią Ukrainką i nacjonalizmem, a także niestety i szowinizmem ukraińskim jest sprawą osobną, której tu poruszyć nie sposób, skoro nie ma nadziei, aby szczupłe ramy tego szkicu pozwoliły na jej dorzeczne omówienie. Jeden tylko snop światła wydaje się tu zgoła niezbędny: z całą pewnością nie jest przypadkiem, że dobijająca się własnej osobowości tożsamość narodowa ukraińska znalazła swoje oparcie w Unii, nie zaś w prawosławiu.

Jest to niezmiernie ciekawa sprawa. I chyba samego sedna dotknęli nieżyczliwi jej Rosjanie.

Prawosławie rosyjskie katolicyzmu nie cierpi, zaś unitów nie nawidzi jak morowego powietrza. Dlaczego? Bo Rzymski Kościół i rzymski katolik — wiadomo, kto jest: coś bardzo obcego. Zaś unita? „Ruskie nabożeństwo, ruskie stroje i riasy, chóry ruskie, a w środku schowane przekłete łacińskie ziarno”.

Proklatoje tătinskoje zierno... Jest jakaś prawda w tym sformułowaniu. Cerkiew Grekokatolicka zdobyła sobie i wyrobiła własną swoją duchowość; nie jest to duchowość rzymsko-europejska, lecz w stopniu o wiele wyraźniejszym nie jest to też duchowość rosyjsko-prawosławna. Ci ludzie są zarażeni latyńską wolnością, która dopiero teraz w przedziwny sposób skojarzyła się im i złała ze wspomnieniami kozackiej swobody i specyficznym ukraińskim uporem. Są zarażeni katolicką koncepcją człowieka, pojmowanego jako dziecko Boże, nie zaś jako rab Boży, jak w rosyjskim prawosławiu. Jest to bardzo zasadnicza różnica. Katolicki Bóg też bywa surowy, jak Pantokrator w bizantyńskiej kopule; lecz człowiek może z Nim porozmawiać, bo jest dzieckiem Bożym. Może się nawet pokłócić z Panem Bogiem, bo nie jest rabem. Jest to zaraza prawdziwa, nie wymyślona. Ludzie, którzy bodaj otarli się o Unię, nie znajdowali wspólnego języka z prawosławnymi. Ci, którzy wyrosli z ducha katolicyzującej Akademii Kijowskiej metropolity Mohyły — nierozumiejącym uchem słuchali za czasów Piotra Wielkiego biskupa prawosławnego Teofana Prokopowicza, który, aby się przypodobać carowi, w idei patriarszej widział „papieżnickiego ducha” i udowadniał, że z ustanowienia Bożego car winien być „biskupem biskupów” i wszechmocnym nadzorcą Cerkwi. Żadnemu unicie nie wpadłoby to do głowy, a wielce dziwnym było też dla ludzi z pogra-

nicza. Jest rzeczą zastanawiającą, że do dziś dnia w kijowskiej cerkwi bez trudu odróżni się prawosławnego Rosjanina od prawosławnego Ukraińca znad Dniepru: ten pierwszy, przyszedłszy do cerkwi, pada na ziemię i bije pokłony. Ukraińiec kłania się ręką do ziemi na dawną modłę szlachecką — i stoi. Oskarża się takich o obcość i uniackie ciągotki.

Jak było z Cerkwią Greckokatolicką po ostatniej wojnie na terenach włączonych do ZSSR, wiadomo. Gorzej, że przyszedł niedobry czas także i z drugiej strony. Po Soborze Watykańskim II Kościół Rzymskokatolicki wszczął dialog ekumeniczny z prawosławiem, także i z Rosyjską Cerkwią Prawosławną, dla której zerwanie przez Rzym z ideą unijną było podstawowym i nie do ominięcia probierzem szczerości dialogu. Odnosiło się wrażenie, że Rzym nie wie, co właściwie ma zrobić z unitami i traktuje ich po trosze jak uciążliwy balast. Nie powzięto żadnych oficjalnych decyzji i nie było też żadnych enuncjacji. Lecz Rzym milczał uporczywie o tragedii unickiej. Kiedy zaś patriarcha moskiewski Pimen urządził uroczystość z powodu rocznicy likwidacji Unii — wysłannik rzymski kardynał Willebrands poszedł na owe uroczystości, czego — jak mniemam — czynić nie powinien.

Unicy byli słusznie rozgoryczeni. Prawosławie rosyjskie znali bliżej i lepiej niż watykańscy eksperci; nie bez słuszności mawiali, że Watykan odpisuje na straty i porzuca pewną realnie istniejącą pozycję w postaci wielu dziesiątków tysięcy unickich katolików — w zamian zaś otrzyma co najwyżej niezobowiązujące gesty i nic poza tym. Nie jest to — jak twierdzili — wyłączna kwestia tradycjonalizmu teologicznego Cerkwi Prawosławnej Rosyjskiej i jej doktrynalnego uporu; w większym jeszcze stopniu jest to problem głębokiej obcości, żywionej przez rosyjskie prawosławie dla katolickiej koncepcji człowieka i zachodniego typu kulturowego. Mieli bardzo dużo racji. Nie pozbawione też słuszności były etyczne oceny sytuacji, gdy niedola ludzka kwitowana była milczeniem z powodów „geograficznych”.

Podobno unicy zdołali znaleźć dojskie do kardynała Willebrandsa. Żalili się, że nie mają własnych miejsc kultu, zaś obrządek greckokatolicki jest zakazany. Kardynał — jak wieść niesie — okazał się typowym ekspertem zachodnim. Skoro Rzym i Konstantynopol zniosły wzajemnie kłatwy; skoro liturgie unicka i prawosławna są prawie takie same; skoro w jego holenderskiej ojczyźnie katolicy i protestanci modlą się obok siebie — dlaczego unicy nie mieliby uczestniczyć w prawosławnej liturgii? Radził, aby modlili się w prawosławnych cerkwiach i nie był w stanie pojąć, dlaczego miałyby to być rada nie do przy-

jęcia. Lecz dla ludzi, którzy dostawali wyroki za wierność Unii i odrzucenie prawosławia, rada kardynała Willebrandsa była całkiem nie do przyjęcia.

Cerkiew Greckokatolicka na emigracji, znalazłszy się w tego rodzaju zawieszaniu, poczęła czynić kroki nie nazbyt przemyślane i zbyt niecierpliwe. Kardynał Slipyj próbował na własną rękę szukać zbliżenia z ukraińskim prawosławiem na emigracji, a to na płaszczyźnie narodowej. Jest taki list Kardynała, w którym nader ciepło kwituje się powiedzenie prawosławnego metropolity Teodorowycza, że „tacy z was katolicy, jak z nas prawosławni”. Sprawy zaczynały wyglądać zupełnie nieszczególnie. Kroiło się na to, że rzymscy katolicy z zapalem lecz bez wzajemności będą całowali brodę Patriarchy Pimena, zaś ukraińscy grekokatolicy ufundują sobie coś w rodzaju Cerkwi Narodowej na wzór Kościoła Anglikańskiego, co w terminie raczej niedługim sprawdziłoby ich Cerkiew do poziomu folkloru.

Kiedy Papięzem został niespodziewanie kardynał Wojtyła — Cerkiew Greckokatolicka zamieniła się w jeden wielki znak zapytania, a poniektórzy Ukraińcy za Bugiem podobno łapali się za głowy, przewidując rzeczy najgorsze; bo Lach... A stało się całkiem inaczej.

Zaczął się od zwyczajowego hołdu kardynałów na placu św. Piotra w Rzymie na uroczystości objęcia urzędu. Nie jest przyjęte, aby w czasie tego aktu Papięz wstawał z fotela. Tym razem wstał dwa razy: raz do kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski, drugi raz do kardynała Slipoho, czyli Kobiernickiego-Dyczkowskiego, bo takie jest prawdziwe nazwisko ukraińskiego Hierarchy. Pierwszy też raz wśród różnojęzycznych pozdrowień dało się słyszeć także ukraińskie.

Jan Paweł II zrobił to, czego ani razu nie zrobili dwaj (nie licząc Jana Pawła I) jego poprzednicy: bez żadnych marginesów wątpliwości potwierdził ważność i aktualność Unii. Uczynił to po raz pierwszy w liście do kardynała Slipoho z okazji zbliżającego się 1000-lecia chrztu Rusi. Ten list papieski nie był początkowo ogłoszony i parę miesięcy przeleżał w szufladzie Kardynała, budząc niezdrową ciekawość najróżniejszych ambasad. Niecierpliwość była niepotrzebna, gdyż po powrocie Papięza z Polski tekst ten został opublikowany w *Osservatore Romano*. W Polsce zaś ci, którzy patrzyli na ekrany telewizorów, niewątpliwie widzieli na placu Zwycięstwa w Warszawie ks. Mitrata Stefana Dziubynę, który bardzo wspaniale wyglądał w swoim złocistym stroju liturgicznym, krocząc w gronie Episkopatu. I nawet nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że bądź co bądź jest to pierwsza po wojnie publiczna demonstracja istnienia Kościoła, którego po tej stronie świata oficjalnie nie ma.

Potem była papieska wizyta w katedrze greckokatolickiej w Filadelfii i pierwsza powiedziana po ukraińsku homilia papieska. Druga jej część była po angielsku i też zawierała potwierdzenie ważności Unii oraz — jak i poprzednie enuncjacje — hołd za trudną wierność Cerkwi i jej wyznawców.

No i wreszcie Sykstyna. Była to chyba pierwsza Msza św. w rycie św. Jana Chryzostoma, odprawiona w tejże kaplicy. Pierwszy też raz w historii Kościoła Papież śpiewał Mszę św. greckokatolicką, pierwszy raz razem z naczelnym Hierarchą ukraińskim konsekrował nowego metropolitę i mówił kazanie po ukraińsku. Była to uroczystość na dwadzieścia cztery fajerki

Aby ocenić te sprawy w sposób właściwy, trzeba je mierzyć właściwą miarą. Jeśli *Osservatore* publikuje jakiś dokument papieski — staje się on oficjalną wypowiedzią Głowy Kościoła; jeśli zaś na jakąś uroczystość w miejscu tak bardzo eksponowanym jak kaplica Sykstyńska zaprasza się korpus dyplomatyczny, to dla każdego musi się stać jasne, że nie chodzi tu o prywatny gest uprzejmości.

Papież nie zmienił ustroju i struktury Cerkwi Greckokatolickiej i nie obdarzył kardynała Slipoho godnością Patriarchy, co jest długoletnim i upartym marzeniem ukraińskiego Hierarchy (za czasów Pawła VI godność tę ofiarowała mu sama Cerkiew, która to decyzja nie jest jednak prawomocna w świetle porządku prawnego Kościoła). Zwołał jednakże do Rzymu Synod Cerkwi Greckokatolickiej. W jego wyniku Arcybiskup Metropolita Filadelfii Kir Mirosław Lubaczewski (czy jeśli kto woli: Lubaczewski) został wybrany koadiutorem z prawem następstwa przy kardynale Slipym. Oznacza to, że przysługująca w tej chwili Kardynałowi godność Zwierzchniego Arcybiskupa zostanie utrzymana i nie wygaśnie wraz z jego śmiercią. Być może jest to wstęp do ewentualnej przyszłej przebudowy struktury Cerkwi; gdyż przed wojną godność taka nie istniała. W sumie zaś nie ulega żadnej wątpliwości, że Papież bardzo wydatnie, otwarcie i uroczyście umocnił Cerkiew Greckokatolicką. Taki jest od tej strony bilans pierwszych 19 miesięcy nowego pontyfikatu.

Wszystko to nie oznacza bynajmniej zahamowania poczynąć ekumenicznych z Cerkwią Prawosławną. Przeciwnie: Papież udał się do Konstantynopola, zaś w wyniku jego rozmów z Patriarchą Dymitriosem ustanowiona została mieszana komisja teologiczna katolicko-prawosławną, która niedawno odbyła swą pierwszą sesję. Sprawy wyglądają więc tak: Rzym nie rezygnuje z wysiłków osiągnięcia z prawosławiem jedności we wierze i z dobrą wolą będzie je kontynuował na drodze najbardziej rzeczowej, tj. poprzez cierpliwe dysputy teologów. Jednakże wia-

domo już na pewno, że unicka Cerkiew Greckokatolicka nie będzie kozłem ofiarnym owych przedsięwzięć; jej likwidacja nie wchodzi w rachubę. Cerkiew Greckokatolicka postawiona została *poza* dyskusją z prawosławiem i nie jest stawką w jakiegokolwiek bądź grze. O ile za pontyfikatu Pawła VI Kościół Rzymskokatolicki istotnie sprawiał wrażenie, iż nie bardzo wie, co począć z unitami w obliczu ekumenizmu — o tyle za Jana Pawła II żaden obserwator wrażeń takich mieć już nie może. Jan Paweł II nie pozostawił cienia wątpliwości, iż dobrze wie, co mu czynić trzeba.

Co będzie dalej — zobaczymy; sądzić wolno, że zbliżające się 1000-lecie Chrztu Rusi przynieść tu może jakieś dalsze decyzje. Na czym właściwie zakończyć by należało ten szkic; lecz ciśnie się pod pióro parę jeszcze zdań, które można umieścić w nawiasie.

Wszystko to jest niewątpliwie częścią drogi Papieża na Wschód, nie tylko w stronę „greckiej wiary”, lecz także w stronę czcigodnych Apostolskich Kościołów Wschodnich. To, co się w tym zakresie dzieje, nie jest rzeczą spektakularną, gdyż rozmowy te toczą się bez reklamy i raczej w cichości, chociaż intensywnie. Ich rezultaty już dziś są zastanawiające; przykładowo można tu mówić np. o Kościele Koptyjskim, który po piętnastu wiekach rozłączenia w liście swego Patriarchy, „Papieża Aleksandrii” Szenudy III do Jana Pawła II stwierdził osiągnięcie jedności we wierze; jedyną przegrodą są już tylko kwestie eklezjalne.

Niektóre koła na Zachodzie są podobno zaniepokojone, że tym krokom na Wschód nie towarzyszą podobne kroki w kierunku zachodnich Wspólnot Protestanckich.

Nie wiem, czy nie towarzyszą. Pewnie towarzyszą. Lecz wydawać się może, że są jednak o wiele mniej obiecujące.

Ci na Wschodzie wiedzą w co wierzą, mają korzenie sięgające naprawdę apostolskich czasów i trudności rozmów zdają się polegać raczej na tym, że skłonni są wierzyć w sposób uparty: tak właśnie i ani odrobinę inaczej; lecz przy wspólnych przeciekożnieniach mimo wszystko porozumieć się łatwiej. Ci na Zachodzie szukają ustawicznie nowych wątpliwości, nowej różnorodności interpretacji — a trudności zdają się polegać na tym, że trudno bywa znaleźć wspólną płaszczyznę, która nie byłaby ruchoma i chwiejna. Ci na Wschodzie mają coś, co bardzo jest potrzebne nawet i niektórym lokalnym Kościołom katolickiego świata: umiejętność trwania. Wspólnoty protestanckie natomiast prezentują nazbyt indywidualistyczne tendencje odśrodkowe: toć już w tej

chwili, porachowawszy dobrze, istnieje chyba ponad dwieście które — prawdę rzekłszy — nie bardzo widzą potrzebę realnego dążenia do jedności nawet w ramach protestantyzmu. Odnosi się niekiedy wrażenie, że dla wielu ludzi z tego kręgu ideałem byłby taki Kościół w którym każdy wierzy w to, co chce, kiedy chce i jak chce.

Tylko, że w tej sytuacji pojęcie „wspólnoty” staje się absolutnie puste, nie widać bowiem, co też mogłoby tu być wspólne.

Tadeusz ŻYCHIEWICZ

Obserwatorium

Zbrodnia i kara

W tej szarudze krwi — wczoraj masakra w Bolonii — walk bratobójczych, skrytobójstw nagminnych, masowych morderstw czerwonych czy czarnych brygad, w Europie tchórzliwie bezsilnej i obłudnej wobec miłującego pokój Imperium Gułagu, które morduje i gwałci nieugięty i bohaterski naród Afganistanu — są przecież fakty inne, smugi światła, które nam było dane przeżyć i które każą nam wierzyć i ufać życiu.

Zasięg działania tych faktów w czasie jest nam nieznan, ale one już dotknęły sumienia tysięcy a może milionów ludzi.

Papież u progu paryskiej Notre Dame i jego msza święta w ulewę i wichurę na placu w Bourget wśród setek tysięcy pielgrzymów, papież u robotników w Sao Paulo, w najniebezpieczniejszych favellach pod Rio, w Belem — tym *rio mar* Amazonki i na skraju miasta Marituby, gdzie wegetuje ponad siedmiuset trędowatych, których ponoć jest ponad milion w Brazylii, gdzie w nasiąkniętym wilgocią 40-stopniowym żarze odwiedził leprozorium, gdzie ten tłum stłoczony — iluż bez rąk, bez nóg, niektórzy z twarzami o wyżartych przez trąd nosach — błogosławił, ścisnął, do serca tulił i płakał. Papież w kraju cierpienia.

Jan Paweł II, który we Francji, w Brazylii ukazał nam nie „wyczyn sportowy” jak to jakiś głupek w gazecie napisał, ale dał nam widzenie namacalne, świadectwo Łaski, znak INNEGO WYMIARU, dał nam przeżycie które zmusza każdego z nas do nowego spojrzenia i przemyślenia wszystkiego i może najbardziej tego co wkorzone jest w samej miazdze ciemności i okropieństwa życia.

O czym nawet myśleć nie chcemy

Rudolf Hess, jeden z najbliższych powierników Hitlera aż po jego nagły wylot Messerschmittem w 1941 roku do Szkocji, skazany przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze na dożywotnie więzienie i strzeżony dotychczas przez wojska czterech państw zwyciężczych w ostatniej wojnie, 86-letni starzec półprzytomny, tkwi dotąd — od *czterdziestu lat* — sam w fortecy Spandau, sam bo wszyscy inni skazani już pomarli lub zostali zwolnieni, jak Baldur von Schirach czy Speer, którzy zdążyli jeszcze na wolności napisać swoje wspomnienia, tłumaczone na wiele języków.

Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Francja gotowe są półprzytomnego starca oddać rodzinie, o co ona od lat błaga.

Rząd sowiecki, odpowiedzialny tak samo jak Trzecia Rzesza za zniszczenie, zmiażdżenie Polski, dzisiejszy agresor, morderca Afganistanu — on jeden „w imię prawa” stawia veto kategoryczne.

Gdzie są granice prawa? Kiedy trzeba wspomnieć, że istnieje jeszcze poza i ponad prawem *miłosierdzie*? Czy nie nadeszła chwila by ten cień człowieka o krok od śmierci — uwolnić?

Reza Pahlavi

Były szach perski, który chciał w trybie pośpiesznym stworzyć nowoczesny Iran, być Piotrem Wielkim swego kraju, musiał walczyć z wielu przeciwnikami: od właścicieli wielkich latyfundi, których wydziedziczył, od ciemnej masy mułłów aż do ludu, który wbrew głośnym reformom tkwił nadal w nędzy.

Dopóki był u władzy, opływał w złoto i naftę, tworzył potężną armię, był nie tylko fachowo wspierany przez możnych całego świata, ale i hołubiony, gdy jednak po rewolucji musiał opuścić swój kraj został porzucony przez wszystkich sojuszników i przetrzucany z kraju do kraju, był ścigany przez morderców nasyłanych przez mściwego starca i złego ducha dzisiejszego Iranu. Chomejni pograżył swój kraj w nieopisany chaos, przewyższając zbrodnie byłego reżymu ilością nieludzkich egzekucji bez sądu czy po sądach widocznie sfingowanych, dokonywanych na stronnikach czy tylko domniemyanych stronnikach szacha, a ponadto niszcząc wszystkie pragnące wolności narody wchłonięte przez Iran.

Spośród nami dziś rządzących możnych tego świata jeden

tylko Sadat nie tylko przyjął śmiertelnie chorego przyjaciela — który w groźnej dla Egiptu chwili przyszedł mu z pomocą — ale uczcił go pogrzebem z wszystkimi honorami należnymi panującemu monarsze. Sadat jedyny — wbrew opinii królów i potentatów arabskich, wbrew dzikiej nawet po śmierci nagonce w Iranie na szacha i jego rodzinę, wbrew zakłopotanemu milczeniu niedawnych przyjaciół nieobecnych na pogrzebie, tylko Sadat zdobył się na gest niezależny, wolny od rozrachunków politycznych, gest honoru i przyjaźni.

Józef CZAPSKI

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY NA KSIĄŻKĘ pt.

RODOWODY PUŁKÓW JAZDY POLSKIEJ

1914 - 1947

Po dwudziestu dwu latach oczekiwania dzieło powyższe już jest w drukarni, niemal w całości złożone. Ukaże się na jesieni br. Liczyć będzie ponad 350 stronice, ozdobionych ilustracjami i piękną oprawą.

Przewidywana cena wyniesie ponad £ 7.50. W przedpłacie — £ 5.50 plus koszt przesyłki 80p. w Anglii i za granicą; przesyłka lotnicza — £ 2.00. Ponadto 60p. na koszt inkasa czeków zagranicznych — dlatego doradzamy raczej wysyłanie przekazów pocztowych.

Czeki i przekazy prosimy wystawiać na *CAVALRY ASSOCIATION* z dopiskiem „*RODOWODY*” i kierować na adres skarbnika:

Chor. B. Czekatowski

7, Bromley Road, London, W5 4SR

Kolegów, którzy wpłacili przedpłatę dawniej, po przedwczesnym jej ogłoszeniu przez *Przegląd Kawalerii*, prosimy o zgłaszanie swych obecnych adresów i wpłaconych sum, celem skalkulowania dopłaty do powiększonych rozmiarów książki.

Przedpłatę zamykamy 1 listopada 1980 r.

Wydawca: ZRZESZENIE KÓŁ PUŁK. KAWALERII.

Redaktor: KORNEL KRZECZUNOWICZ,

4 THANET CT., LONDON W3 0HW.

Los był prosty, ale będzie krzywy.
Czysta woda zostanie zatruta.
Kto jest mądry będzie nieszczęśliwy,
A głupiemu szczęście jak pokuta.

Gwiazda wejdzie i zaraz przeminie.
Na czekaniu puste lata zbiegną.
Co upadło, zetleje w ruinie.
I goryczą będzie ziemskie piękno.

Czesław MIŁOSZ

Wiersze

Czesław MIŁOSZ

GWIAZDA PIOŁUN

Pod Gwiazdą Piółun gorzkie toczyły się rzeki.
Człowiek na polu zbierał gorzki chleb.
Nie świecił nad nim w górze znak boskiej opieki
I hołdu swoich wiernych domagał się wiek.

Od dinozaura swój ród wywodzili.
Zręczność lemurów z grot skalnych przynieśli.
I nad miastami lot pterodaktyli
Ogłaszał prawo dla myślącej pleśni.

Związali człowiekowi drutem ręce
i wyśmianego kładli w płytkie groby,
Żeby nie wzywał prawdy w testamencie
I już na zawsze był anonimowy.

Imperium planetarne było blisko.
Władza nad mową została im dana.
I nie ostygło jeszcze popielisko
Kiedy stał znowu Rzym Dioklecjana.

PIOSENKA

Jakakolwiek jest boleść, będzie więcej boleści.
Noc jest czarna, ale będzie czarniejsza.
Dobrze takim co żyli ale w porę odeszli.
Ty więc nie bierz spraw ludzkich do serca.

Swiatosław KARAWAŃSKYJ

NAZBYT OSTROŻNYM

Nie oszczędzajcie mnie, o, ludzie zbyt ostrożni —
przecież nie jestem porcelana droga!
Ja jestem żywioł, który huczy groźnie,
jam słup ognisty, wichur i pożoga!

Gdy noc na świat się zwali mrocznym próchnem
i stropy niebios będą mgłą zasnute,
jak suchy proch w tę czarną noc wybuchną,
czerwonym nad nią uleczę kogutem.

Łuną ognistą zacznę w górze hasać,
aż spłynie krwią nieobjęty horyzont,
a taki płomień nigdy nie przygasa,
żadne zgnilizny ognia nie ugryzą.

Gniłem przez lata, gniłem przez stulecia,
gniłem wśród ciężkiej pracy moich braci.
A jeszcze wichur prawdy nie nadleciał
dmuchać na iskry huczących owacji.

O, tak! Ja spłonę! Nie czekam litości,
wiem — ołów dla mnie topi ludożerca —,
a ten nie chybi i z radosną złością
wsadzi mi kulę do samego serca.

*A nawet teraz, gdy ostatni pacierz
— iż i przed śmiercią trzeba być ostrożnym —,
znowu mi dłońmi usta zatykacie,
bo w ślepią kata napluć nam nie można.*

*Ku jeszcze gorszej doli myślą sięgam —
że bezimiennie zapadnę się w próżni!
Przepadło! I potomek-niedołęga
mych wózków od tyłu trupów nie odróżni!*

*Nie oszczędzajcie mnie! Gdy zbrakło męstwa,
by podnieść głos w obronie własnych braci,
to już nadzieję na przyjscie zwycięstwa
w dniach, które idą, trzeba nam utracić.*

*Nie oszczędzajcie i nie róbcie ze mnie
ślepawej świeczki. Nie, ja jestem inny!
Zgasnę, jak płomień, co rozjaśnił ciemnie,
zamiast zastygnąć w sopol parafiny!*

Jawas, 1966 rok.

ROZMYŚLANIE PRZED CAŁOPALENIEM

*Żyć i nie wiedzieć, że kraj twój w niewoli?
Żyć i udawać, że wolni żyjemy?
Łez nie dostrzegać i krzywdy, co boli?
Pozostać ślepym i głuchym i niemym?
Żyć, otrzymując tynfy za swą pracę?
Żyć i wypełniać, co zbrodniarz nam powie?
Żyć w nędznych chatkach, budując pałace?
Być zaślubionym, a żyć jako wdowiec?
Być pohańbionym?
Nie, lepiej sponąć!
Lepiej, niż żyć jak bydłące pogłowie!
Żyć i nie poznać, że wolność jest w świecie?
I o zarobku ciągle myśleć głucho?
Nie widzieć słońca i ślepią mieć krecie?
To jedno tylko: — Jak wypełnić brzuch?
Wdzięcznością płacić za ciągłą udrękę?*

*Żyć i pod kijem pracować na wroga?
I słowa prawdy codziennie się lękać?
Swych prześladowców całować po nogach?
Trząść się do zgonu?
Nie, lepiej sponąć!
Lepiej, niż giąć się pod świstem batoga!*

*Żyć w tchórze skórze?
Prawdy nie ujrzeć?
Nie myśleć wcale?
Nie, lepiej sponąć!
Lepiej podpalić
tych, co usnęli, swą myślą szaloną!
Więcej wolności! Więcej gorąca!
Rwij się do światła, rwij się do słońca!*

*Niech każdy ogniem świetlistym pała,
Niech płomień będzie palącym lekiem!
Byleś nie skamlał, byleś wciąż działał!
Byleś pamiętał, żeś jest człowiekiem!
Dość żyć w pokorze!
Już lepiej zgorzeć!
Masz zawsze płonąć, jeśliś człowiekiem!*

Wołodimir, 1969 rok.

Swiatosław KARAWAŃSKYJ

(Przełożył z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI)

Archiwum polityczne

Afryka Południowa na zakręcie

I

W amfiteatrze, na arenie którego rozgrywa się Dramat Republiki Afryki Południowej jest wiele sektorów. W kasie, przy wejściu sprzedają różnokolorowe bilety uprawniające do wstępu do wybranego sektora. Są więc bilety białe, dla Białych, takich, co są przekonani o wyższości własnej rasy; są czarne, dla wyznawców *Black is beautiful*; są żółto-białe dla chrześcijan, z nadrukiem RC dla katolików, AC dla Anglikanów i innymi dla innych wyznań, są złote dla wyznawców religii kapitalistycznej (te ostatnie wymienne z białymi), czerwone dla komunistów i wiele jeszcze innych, które zbyt długo byłoby wymieniać. Który z nich wykupić, by z możliwie największym obiektywizmem obserwować rozgrywającą się na piasku areny tragedię ludzką? A może — przychodzi mi na myśl — wykupić bilet *pass-partout* i przesiadać się z sektora do sektora?

— Czy mógłbym dostać bilet *pass-partout*? — spytałem biletera.

W odpowiedzi spojrział na mnie podejrzliwie i równocześnie poczułem na plecach dotknięcie ciężkiej policyjnej łapy.

— *Your identity documents, please...*

Zrozumiałem, że moje nietypowe żądanie naraziło mnie na podejrzliwość władzy. Zdradzało ono bowiem moją gotowość do usadowienia się w sektorze czarnym, zarezerwowanym dla wyłącznego użytku Murzynów, gdzie chciałem pewnie wysłuchiwać ich murzyńskich, a może wręcz komunistycznych argumentów.

Przeprosiłem policjanta, wymawiając się niezajomością przepisów. Szczęśliwie uwierzył mi i odszedł. Tymczasem bileter patrzył na mnie z wzrastającym zniecierpliwieniem, bo ogonek czekających rósł. Zdecydowałem się więc: — Proszę o żółto-biały bilet z nadrukiem RC.

Po stopniach amfiteatru wchodziłem do sektora katolickiego. Już z dala widziałem młodzieńców z żółto-białymi opaskami, za-

pewne służbę porządkową. Rozdawali ulotki. Wziąłem jedną i usiadłszy zacząłem czytać: „Istnieją pewne sytuacje, których niesprawiedliwość woła o pomstę do nieba; gdy całe grupy ludnościowe, pozbawione najniezbędniejszych warunków bytowania, żyją w stanie zależności zamykającej im drogę do inicjatywy, do odpowiedzialności i do wszelkiej możliwości postępu kulturalnego i udziału w socjalnym i politycznym życiu społeczności, rodzi się przemożna pokusa sięgnięcia do gwałtu, jako do środka mającego naprostować krzywdy wynikłe z pogwałcenia godności ludzkiej”. Pod tekstem wyjaśnienie: Paweł VI. Encyklika „*Progressio Populorum*” par. 30.

Spojrziałem na jednego z tych młodzieńców. — Czy jesteś pewien, że papież pisząc te słowa miał na myśli Afrykę Południową? — spytałem.

— A do jakiegoż innego kraju mogłyby się odnosić? — odpowiedział pytaniem. Nie chciałem wdawać się z tym chłopcem w dyskusję. Mógłbym mu powiedzieć, że słowa papieża pasują równie dobrze do wielu dyktatur w Ameryce Południowej, ale po co naruszać jego pewność. Odczytałem raz jeszcze papieski tekst. Tak, istotnie — myślałem — jeśli słowami można sfotografować sytuację, to Pawłowi się to udało. Mógł to zrobić, i to tak precyzyjnie, bo opierał się nie na wiadomościach książkowych, ale na naocznej obserwacji, gdy, jeszcze za kardynalskich czasów, odwiedził Republikę. Zwiedził wówczas parę murzyńskich osiedli, odprawił uroczystą Mszę świętą w Regina Mundi, katolickiej świątyni, dominującej swą masą maleńkie domki biedoty murzyńskiej zamieszkującej Soweto, to miasto, jedyne za pewne miasto świata, gdzie nie ma lamp ulicznych, elektryczności ani wody w domach, miasto spowite co wieczór czarną leżącą na nim chmurą dymu z ognisk, na których okutane w koce baby ważą mamałygę dla powracających z pracy w białej Stolicy Złota mężczyzn. W tejże Regina Mundi, dziś, 16 czerwca, w rocznicę rewolty dzieciarni szkolnej w 1976 roku, odbywa się uroczyste nabożeństwo żałobne za dusze pomordowanych — przy akompaniamencie trzasków policyjnych petard z gazem łzawiącym.

Rozejrzałem się po obszernym amfiteatrze. Przy jego rozmiarach musiałem użyć lornetki, by przypatrzeć się publiczności. Wtedy wśród siedzących w sektorach białym i złotym rozpoznałem wielu moich znajomych i przyjaciół, rodaków i nie-rodaków. Oni także mnie rozpoznali. Widziałem malujące się na ich twarzach uczucie bardzo bliskie pogardy. Wydawali się mówić: — Ach, to naiwniak, siedzi w chrześcijańskim, gorzej, w papieskim sektorze, nieświadom, że jest narzędziem, kukłą działającą na korzyść czerwonego sektora.

Odłożyłem lornetkę gestem zniechęcenia.

II

Ta moja przypowieść, mająca służyć za wstęp do artykułu o Afryce Południowej, nie jest wytworem niezdrowej wyobraźni. Odpowiada ona ściśle sytuacji naszego kraju, gdzie konfrontują się ideologie czy postawy totalnie ze sobą sprzeczne, z tym, że między tymi sprzecznościami brak zon przejściowych, brak gamy kolorów zawierającej wszystkie odcienie, od podczerwonego do niebieskiego. Nawet jeśli natura bardziej elastycznie wyposażyła niektórych mieszkańców tego kraju w skórę koloru mlecznej kawy, to nie znajdują „kawowego” systemu postaw, z którym mogliby się zidentyfikować. Z konieczności więc przystępują do czarnego, chyba, że rozrzutem genetycznym natura dołąła tak wiele mleka do koloru ich skóry, że Prześwietna Rządowa Komisja Rejestracji Rasowej po szczegółowych oględzinach ich podniebień i paznokci orzecze, że należą do rasy białej. Wtedy ich postawy automatycznie się wybiela.

Patrząc na morze głów wypełniających szalenie amfiteatr, zrozumiałem moją skrajną naiwność, gdy zażądałem biletu *passpartout*. Przejście z sektoru białego do czarnego, z żółto-białego do złotego jest tu uważane po prostu za zdradę.

Jak do tej polaryzacji doszło? Czy te skrajne postawy, ta nieprzenikalność ideologii i postaw jest wynikiem jakichś szczególnych cech ras zamieszkujących Republikę?

Taki wniosek byłby oczywiście absurdalnym uproszczeniem. Architektem ludzkich postaw jest historia i to w stopniu bez porównania większym niż ideologie, a nawet religie. Słynne powiedzenie Marksa, że byt kształtuje świadomość, powinno być rozszerzone i zastąpione zdaniem: to nie tyle byt, ile historia i nagromadzona przez nią pamięć historyczna, czyli ten „plecak” tradycji który każdy nosi stanowi o jego świadomości. U nas Polaków Kircholmy, Raclawice i Cud nad Wisłą wpisane są w psychikę równie mocno jak długość współczesnych ogonków po mięso. Wielki trek, wojna burska i różgi, którymi angielscy belfrowie ćwiczyli rodziców naszych afrykanerskich¹ rządców za

1. Wyrażenia: Burowie i Afrykanerzy nie są wymienne. Pierwsze odnosi się do potomków osadników holenderskich, tak długo póki językiem ich był holenderski. Z czasem, mniej więcej od końca ubiegłego stulecia, wraz z awansem narzecza holenderskiego do rangi pełnoprawnego języka „africans”, dawni Burowie zaczęli nazywać się AFRYKANERAMI. (Na pewno nie AFRYKANDERAMI, która to nazwa, choć oznacza rasę BYDŁA, wciąż pokutuje w prasie polskiej).

posługiwanie się w szkole burskim narzeczem odegrały w ich psychice tę samą rolę. Gdyby te „plecaki” były wymienne, moglibyśmy w miejsce Afrykanerów podstawić jakikolwiek inny szczerp europejski, włącznie z naszym polskim, a efekt końcowy byłby ten sam.

Trzysta lat trwającej pokusie wykorzystania bezradności czarnych tubylców — a na taką pokusę wystawieni byli potomkowie holenderskich i hugenockich osadników na cyplu afrykańskiego kontynentu — trudno było się oprzeć. Tym bardziej, że tak łatwo było wmówić sobie, że zniewolenie ich leżało w boskich zamiarach, że jest to „naturalny” porządek rzeczy, potwierdzany codzienną obserwacją „niższości” rasowej Murzynów. Na przeszkodzie takiej interpretacji stała wprawdzie Biblia z zawartą w niej na samym wstępie uroczystą deklaracją Jehowy, że stworzył człowieka na Swój obraz i podobieństwo, ale cóż prostszego jak uwierzyć, że Bóg — a w ślad za Nim tyłu Jego reprezentantów na ziemi — nie wymaga dosłownej interpretacji wygłaszanych przez siebie enuncjacji. A zresztą, czyż Jozue nie rzekł do Gabaonczyków: „... będzieci żyli naznaczeni przekleństwem, skazani po wsze czasy na to, byście drwa rąbali i wodę nosili do Domu Boga mego” (Joz., 9,21-23). Więc, jeśli pod okiem bożym taki los spotkał Gabaonczyków, to czemuż nie Murzynów?

Tak więc zrodził się rasizm i mentalny jego po latach wykwit: pseudonaukowa teoria o idealnym rozwiązaniu problemu współżycia grup etnicznych w wielorasowym społeczeństwie, któremu na imię jest *apartheid*.

Inne narody, wepchnięte przez historię w podobne sytuacje, nie zachowały się lepiej, może nawet gorzej. Amerykanie Czerwonoskórych, Australijczycy Buszmenów, Hiszpanie Inków tępili z nie mniejszą zaciekleścią, a jeśli okoliczności na to pozwalały, wycinali ich w pień.

Szczególny, odrębny od innych narodów los Afrykanerów polega więc nie na tym, że 84 % mieszkańców swojego kraju obrócili w nosiciele wody i rąbaczy drzew — tak robili wszyscy — ale na tym, że na tych strukturach utknęli. I że nic nie pozwala wróżyć, by z nich dobrowolnie zrezygnowali.

Na to zamrożenie złożyło się wiele czynników. Jednym z najważniejszych było odkrycie w drugiej połowie XIX wieku diamentów w Kimberley i złota na Witwatersrandzie. Odkrycie nieprzebranych bogactw kopalnianych zwiabiło do Afryki Południowej rzesze awanturników z całego świata, a za nimi kapitalistów rozporządzających niezbędnymi środkami na ich eksploatację. Kapitałów takich farmerska, ledwie piśmienna ludność burska owych czasów nie była w stanie zmobilizować. W rezultacie

w przeciągu kilku zaledwie dekad, u schyłku ubiegłego stulecia, całe górnictwo i cały związany z nim przemysł znalazły się w rękach obcych, głównie anglo-żydowskiego kapitału. Stąd już naturalna tego konsekwencja, polegająca na podsycanej przez imperialnych dżingoistów próbie przechwycenia władzy politycznej z rąk Burów. Doprowadziło to do wojny burskiej, z której skupieni wokół prezydenta Krugera Burowie wyszli fizycznie pobici, a moralnie zwycięscy. To zwycięstwo Dawida — maleńkiego burskiego narodu, nad Goliatem — imperium brytyjskim, stojącym wówczas u szczytu swej potęgi, byłoby niemożliwe bez sankcji Najwyższego na styl życia, którego zasadniczym elementem był paternalistyczny sposób traktowania zniewolonych tubylców. Zwycięstwa — my Polacy o tym dobrze wiemy — stwarzają mity, nieraz bardzo trujące. Najważniejszym, z burskiej wojny zrodzonym mitem jest głęboko w psychikę Afrykanerów wrośnięta wiara, że społeczność farmerska stanowi jądro narodu, esencję *Afrikanderdom*, wcielenie jego mądrości, ostoję przeciw zalewowi liberalnej zgnilizny płynącej z miast opanowanych przez angielski, żydowski i inny element napływowy. „Drodzy ziomkowie” — tak prezydent Kruger zwykł był zaczynać przemówienia do mieszkańców Johannesburga, a potem, pod adresem *uitlanderów* kontynuował: — „i wy szumowiny z całego świata...”. W myśl tego artykułu wiary Burowie z żelazną konsekwencją wyrąbывali sobie odtąd emancypację spod dominacji anglosaskiej, aż w latach sześćdziesiątych dopięli swego: niepodległej republiki, w której władza zdeponowana jest w rękę klasy farmerskiej, tej zaczytanej w Biblii, ultra-konserwatywnej warstwie, nieufnej wszelkim nowinkom, ale przecie czczącej poza Jehową również Mamona. Widomym tego symbolem jest czarny surdut i biała krawatka, noszone obowiązkowo, nawet na najgłębszej prowincji, w kanikułę i mróz, przez kapłanów obu bóstw: pastora kalwińskiego i menadżera miejscowego banku.

Wytworzona sytuacja wykazywała mniej więcej aż do wybuchu ostatniej wojny uderzające podobieństwa z ustrojem Polski w osiemnastym wieku. I tu i tam władza polityczna była monopolem klasy farmersko-szlacheckiej, i tu i tam 90 % ludności pozbawione było wszelkich praw obywatelskich, i tu i tam nie istniał stan trzeci, dzięki czemu rewolucja przemysłowa mogła być zainicjowana przez obcy element i kapitały importowane z zewnątrz.

Rezultatem było w obu wypadkach zamrożenie ustroju.

Drugim negatywnym skutkiem odkrycia bogactw kopalnianych w Afryce Południowej było nałożenie się kapitalizmu, i to obcego kapitalizmu, na bezsprzecznie rasistowski, ale przecie Biblią regulowany stosunek Burów do czarnych tubylców. Fakt

„obcości” tego kapitału był okolicznością zaostrzającą bezwzględność wyzysku, do którego system kapitalistyczny, nawet rodzimy, jest zdolny wtedy, gdy nie napotyka żadnego oporu ze strony zorganizowanych sił społecznych. W rezultacie historia ostatnich 70 lat Afryki Południowej sprowadza się do niekończącego się procesu doskonalenia systemu wyzysku, którego nadrzędnym celem było przekształcenie Republiki w rezerwuar nędzarsko taniej siły roboczej. Nie czas tu na szczegółową analizę tych tomów² coraz bardziej opresyjnych ustaw, które sto lat trwający system pozostawił w spadku. Może wystarczy wspomnieć wprowadzony już w najwcześniejszych latach tego stulecia system masowego importu robotników z krajów ościennych (wówczas kolonialnych), który miał na celu obniżenie poziomu płac na wewnętrznym rynku pracy. Szkody moralne i materialne wyrządzone ludności tubylczej przez trwający do dziś dnia system *migratory labour* należy w hierarchii zbrodni społecznych zaszeregować bezpośrednio po ludobójstwie. Ruina rolnictwa, pozostawionego w krajach macierzystych na pieczy kobiet, starców i dzieci, kompletna dezorganizacja życia rodzinnego w nieobecności mężów i ojców, powstanie masowego zjawiska „drugich żon” w miejscu pracy, pół-instytucjonalna, choć wstydliwie przemilczana pederastia, krzewiąca się bujnie w czysto męskich przykopalnianych barakach — wszystkie te zatrute owoce systemu musiały doprowadzić do zupełnego załamania się surowych kodów etycznych, obowiązujących w „prymitywnych” szczepach murzyńskich.

Toteż zbieramy dziś w Republice obfite żniwo tego posiewu. Półtoramilionowe Soweto bije światowe rekordy zbrodniczości, której wskaźniki, mierzone ilością popełnionych mordów, przewyższają np. polskie o niebagatelną cyfrę pięćdziesięciu razy. Dziecko zrodzone w legalnym związku jest tu raczej wyjątkiem, nieślubne jest regułą.

Doskonałą ilustracją tej precyzyjnej aparatury wyzysku jest największy rękami ludzkimi wykopany lej — czyli nieczynna już dziś kopalnia diamentów w Kimberley. Po zwiedzeniu zachowanych tam urządzeń kopalnianych sprzed pół wieku dociekliwy turysta może, jeśli zechce, odwiedzić lepianki murzyńskie na obrzeżu leju, by przekonać się naocznie, że standard życia ich mieszkańców nie zmienił się ani na jotę w porównaniu z poziomem życia ich ojców czy dziadów, którzy z tego leju wydobyli diamenty łącznej wartości kilku miliardów dolarów.

2. Ocenia się, że gmach *apartheidu* zbudowany jest z dwóch tysięcy ustaw i odnośnych przepisów wykonawczych, w którą to liczbę wchodzi ni mniej ni więcej jak 353 specjalnych uchwał Parlamentu, regulujących wszystkie aspekty bytu czarnego tubyleca. Nie trzeba przypominać, że w redagowaniu tego ustawodawstwa Czarni nie uczestniczyli.

Tak więc zarówno zaciekle konserwatyzm Afrykanerów, podszyty wiarą w boskie przyzwolenie na rasistowski układ społeczny, jak i degeneracja paternalistycznego niegdyś systemu do poziomu sprawnej maszyny wyzysku — są bezpośrednimi skutkami odkrycia bogactw kopalnianych w Afryce Południowej.

III

Można zadać pytanie, dlaczego południowoafrykański system, oparty na rasizmie, praktykowany przecie od wielu dekad i tolerowany do niedawna przez opinię międzynarodową stał się raptem wyzwaniem rzuconym sumieniu świata.

Stało się to dla dwóch powodów. Po pierwsze, w ciągu ostatnich kilku dekad narody zamieszkujące Afrykę awansowały od statusu magmy ludzkiej, biernie poddającej się kolejnym decyzjom mocarstw europejskich, do rangi świadomych swej godności narodów. Innymi słowy: z przedmiotu polityki międzynarodowej narody te stały się podmiotem. Rolę przyspieszacza historii odegrała w tym procesie dekolonizacja kontynentu w latach sześćdziesiątych, a przede wszystkim ściśle z nią związany lawinowy wzrost oświaty. Pokryta zagęszczającą się z dnia na dzień siecią szkół i uniwersytetów, niepodległa Afryka produkuje dziś tysiące ludzi z cenzusem uniwersyteckim, którzy w imię solidarności rasowej coraz natarczywiej domagają się wolności dla swoich uciśnionych pobratymców.

Po drugie, obowiązujący w Republice strukturalny podział społeczeństwa na „panów i sługi” coraz bardziej „odstaje” od norm obowiązujących w cywilizowanym świecie. W epoce eksplozji środków masowego przekazu, gdy miliony widzów telewizyjnych oglądają dzień po dniu szarżę uzbrojonych po zęby policjantów na bezbronny tłum murzyński, takie „odstawanie” staje się dla Republiki coraz bardziej ambarasujące.

Oba wymienione czynniki doprowadziły do tego, że Republika jest dziś pariasem narodów, że stoi pod pręgierzem opinii międzynarodowej, opluwana, lżona i zohydżana. Od dwudziestu lat wszystkie kolejne sesje Narodów Zjednoczonych rozpatrują wnioski wnoszone przez państwa trzeciego świata, domagające się przeprowadzenia uchwał karnych mających na celu zmuszenie Republiki do zarzucenia rasowej polityki i wszystkich płynących z niej grzechów. Wnioski te, popierane solidarnie przez blok komunistyczny, napotykać na manewry opóźniające ze strony demokracji zachodnich, co dodatkowo nadaje temu problemowi posmak ideologicznego sporu między kapitalizmem a komunizmem. Ale opór Zachodu ma tendencję słabnącą i to w proporcji do

wzrostu znaczenia ekonomicznego całej niepodległej Afryki, a w szczególności takich gigantów jak Nigeria. Mimo to jednak w roku 1973 Rada Bezpieczeństwa uchwaliła embargo na dostawy broni do Republiki, choć — na skutek dwukrotnego weta demokracji zachodnich — w formie nieco rozwodnionej. Jeśli chodzi o następny krok, to jest uchwalenie sankcji ekonomicznych przeciw Republice, to nie istnieje wiele szans by ta groźba w przewidywalnej przyszłości się spełniła.

Mimo, że Rząd Republiki oficjalnie przyjmuje wobec tych nacisków międzynarodowych postawę lekceważącą, to jednak są one dla niego źródłem głębokiej troski. Wybuchające w Republice rozruchy czy strajki szkolne, z nieodłącznymi represjami policyjnymi, czy też takie wydarzenia jak monstrualne morderstwo popełnione przez policję na przywódcy młodzieżowym Steve Biko doprowadzają okresowo międzynarodową opinię do takiego paroksyzmu złości, że nie oglądając się na Narody Zjednoczone coraz liczniejsze państwa dekretują różnego rodzaju bojkoty ekonomiczne przeciw Republice. Dlatego nowa rządząca ekipa P. W. Botha w szeregu oficjalnych enuncjacji stara się lać oliwę na wzburzone fale. Słyszymy raz po raz deklaracje, że *apartheid* już pogrzebany, i że Rząd przemyśliwa nad konstytucyjną przebudową, mającą zapewnić każdemu obywatelowi, bez różnicy rasy, sprawiedliwy udział.

Ta taktyka dała już spodziewane owoce w tym sensie, że ci co chcieli uwierzyć w szczerą intencję Premiera Botha dali się ochoczo przekonać, że partia nacjonalistyczna, jakkolwiek wolno i stopniowo, zamierza przeprowadzić zmiany konstytucyjne, które oparłyby ustrój na zasadach innych niż rasistowskie. Innymi słowy: że wczorajsi architekci ideologii *apartheidu* przekształcą się jak za pociągnięciem różdżki czarodziejkiej w burzycieli gmachu rasistowskiej ideologii.

Te złudzenia są absurdalne i trzeba to jasno stwierdzić. Ideologia *apartheidu*, polegająca na monopolistycznym skupieniu w rękach Białych całego aparatu władzy politycznej i ekonomicznej, nie pozostawia żadnej możliwej furtki na kompromisy. Owszem, można łagodzić, można najbardziej rzucając się w oczy szorstkości systemu podszlifować, ale każda głębiej idąca reforma obnażyłaby natychmiast nośne elementy, których naruszenie groziłoby zawaleniem całej struktury. Istnieje tu wyraźna analogia z komunizmem, który podobnie jak *apartheid* wspiera się na jednej kolumnie, to jest na „dyktaturze proletariatu”, z tym wszystkim, co to pojęcie w praktyce i w teorii oznacza. Ci, co w swoim czasie uwierzyli w możliwość samo-reformy komunizmu, a potem gorzko się w swych nadziejach zawiedli, najlepiej tę moją analogię zrozumieją.

Na pytanie dlaczego Rząd Republiki, a z nim ogromna większość opinii Afrykanerów (i imigrantów) okazuje tak wielki upór w obstawaniu przy ideologii, która w oczywisty sposób prowadzi kraj do katastrofy, istnieje bardzo proste wytłumaczenie. W przekonaniu Afrykanerów, dopuszczenie Czarnych do udziału w rządach poprzez wprowadzenie w życie zasady powszechnego prawa wyborczego stanowiłoby nie tylko wyzbycie się monopolu władzy i pieniądza, ale równałoby się także — i to jest znacznie bolesniejsze — samobójstwu kulturalnemu narodu.

Dla podkreślenia dramatyczności tego dylematu trzeba może przypomnieć, że naród Afrykanerów jest na kontynencie, ba, nawet na całej planecie w sytuacji unikalnej i bezprecedensowej. W odróżnieniu bowiem od innych narodów Afrykanerzy nie mogą EKSTRAPOLOWAĆ dzisiejszego kształtu Republiki w przewidywalną przyszłość. Przyszłość nie istnieje, nie można wyrazić jej cyfrą. Jest tylko zgadywanka: pięć, dziesięć, piętnaście lat. Pesymiści na krótszym końcu tego szeregu cyfr, optymiści — na dłuższym.

Co to oznacza w psychicznych wymiarach narodu, łatwo zrozumieją ci, co pamiętają nastroje większości polskiej opinii na Zachodzie pod koniec ostatniej wojny, gdy próbowaliśmy odgadnąć przyszłość Polski w obliczu nieuchronnego już faktu importu rewolucji sowieckiej. Odbieraliśmy to jakby kto mokrą gąbką startł z tablicy widniejącą na niej przed chwilą mapę Polski. Na pytanie: co dalej? — wskazywaliśmy na błyszczący jeszcze ślad tego co było, a czego już nie ma. Że ten horoskop był zbyt pesymistyczny, to inna sprawa. Nie byłby może, gdyby koryfeuszami tej importowanej rewolucji, mającymi dodatkowo stać się większością w naszym narodzie, byli obcy rasowo, na przykład — Chińczycy.

Z analogii tej wynika, że elity narodowe mogą pod wielką presją przystać na wyzbycie się swoich przywilejów i majątków, mogą nawet zgodzić się na przejście władzy przez podległą im dotąd klasę społeczną wyznającą inną ideologię, ale tylko póki nie oznacza to zaprzepaszczenia „plecaka” tradycji narodowej i wyrzucenia go na śmietnisko historii, skąd już nigdy nikt go nie podejmie.

W tej sytuacji od nas, *bieżeńców* z innego kompleksu tragicznych powikłań, należy się Afrykanerom głębokie współczucie, nie potępienie. Historia i geopolityka zapędziły ich w sak, z którego nie ma wyjścia. Współczucie nasze nie powinno oznaczać przyzwolenia na nieludzki sposób w jaki próbują oni odwrócić niechybną katastrofę, powinno jednak stworzyć platformę porozumienia między nami, może bardziej bujną przeszłością doświad-

czonymi, a przez to mądrzejszymi, a nimi, nowicjuszami, trzepocącymi się w potrzasku historii.

IV

Na zakończenie — horoskopy. Czytelnik tego wymaga. Istnieje przecież *continuum* przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie można urywać dramatu w pół aktu.

Muszę się więc pokusić, by odczytać przyszłość z gwiazd, choć zdaję sobie sprawę, że jest to ryzykowne zajęcie. Może więc i tu sięgnąć do analogii, do metody, która w tym artykule oddała mi pewne usługi?

Dzisiejszą sytuację w Republice można przynajmniej z dwóch względów porównać do roku 1905 w Imperium Carskim: po pierwsze, z powodu upowszechnienia się uczucia frustracji, gorzej nawet, nienawiści helotów do ich władców, po drugie, z powodu niewygasającej intensywności strajków robotniczych i szkolnych i innych demonstracji. Wnioski z tej analogii są optymistyczne dla Białych, bo dwanaście lat upłynęło od roku 1905 do wybuchu Rewolucji, która być może w ogóle nie byłaby wybuchła, gdyby nie doszło było do skrajnego rozprzężenia aparatu władzy wskutek różnica poniesionych klęsk, i bardzo pesymistyczne dla Czarnych, gdyż wskazywałyby na to, że nie mają szans na rewolucję.

Obiektywnie oceniając sytuację trzeba przyznać, że czarna większość jest w położeniu znacznie gorszym niż jakikolwiek uciskany naród na przestrzeni historii. Składa się na to szereg powodów, z których najważniejszymi są:

1. Rozdział terytorialny miejsca zamieszkania obu ras i wpływająca z niego niemożność zorganizowania przez Murzynów demonstracji mogących sparaliżować życie kraju na długie tygodnie, tak jak się to odbywało na przykład w Teheranie. Nie może tu być mowy o zdobyciu Bastylii, bo Bastylia nie jest w Soweto, a pochod z Soweto do Bastylii w Johannesburgu można zablokować jednym czołgiem.

2. Rozbudowana służba bezpieczeństwa z jej olbrzymią rzeszą informatorów murzyńskich, których rekrutacja przy 2,2 milionach bezrobotnych nie przedstawia trudności.

3. Brak zaplecza, czy jeśli kto woli bazy logistycznej, której sąsiedzi-słabeusze, Mozambik i Zimbabwe, nie śmiały użyć podziemi, z obawy przed przerażającymi w swych skutkach represjami najsilniejszej na kontynencie Armii i Lotnictwa³.

3. Stan liczebny Armii oblicza się na 404.500 żołnierza. Stanowi to się uderzeniową dwukrotnie silniejszą od zjednoczonych armii siedmiu czarnych sąsiadów Republiki.

4. Niewzruszona solidarność Białych, których determinacji walczenia aż do ostatniego naboju nie naruszy litość wzbudzona widokiem nędzy, głodu i fizycznego wyniszczenia mas murzyńskich — ofiar tej kontestacji. Terytorialny rozdział obu ras doprowadził bowiem do usunięcia sprzed oczu (i serc) Białych całej rozciągłości tej nędzy. Powódź wywołana wylewem rzeki Yangtse w Chinach z jej tysiącami potopionych ofiar nie wzbudza w mieszkańcu Europy współczucia, bo brak imaginacji nie pozwala mu wyobrazić sobie tej katastrofy w wymiarach ludzkiego cierpienia. Podobnie jest i w Republice, gdzie olbrzymia większość Białych przeżywa swe niezmacone wyrzutem sumienia żywoty, nie spotkawszy ani jednego głodnego i inteligentniejszego od siebie Murzyna. Wniosek stąd prosty: wszyscy Murzyni są najedzeni i głupi.

Tak więc Republika, nie mając innego wyjścia — kupuje czas wedle starej wypróbowanej metody: więcej policji, więcej wozów pancernych, więcej gazów łzawiących. A za jaką cenę? Za cenę cynizmu zżerającego serca tych, którzy ten czas kupują. A wiele go kupią? Czarny biskup anglikański Johannesburga Desmond Tutu ocenia to na lat pięć. Ja na znacznie więcej, ale nie wymienię cyfry, bo nie jestem, jak biskup, przywódcą mas.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

Widziane z Brukseli

SPOWIEDŹ DZIECIĘCIA WIEKU

Motto: „*Naiwność: nadmiar zaufania, łatwo-wierność, często wywodzące się z niewiedzy, braku doświadczenia lub niedostatecznego przemyślenia*”.

Słownik „Le Petit Robert”.

„No to ciach Miskę po brzuszku...!”, powiedział najważniejszy z tzw. celników na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo II, wybudowanym całkowicie przez rząd Niemieckiej Republiki Federalnej w celu sprawnego obsłużenia olimpiady, którą ten sam rząd kazał swym sportowcom całkowicie zbojkotować. Miska

należał do p. Jos Beni, turysty belgijskiego, który zamierzał go zabrać ze sobą do Brukseli. Ale mu się to nie udało, Miska nie dostał paszportu.

Pluszowy niedźwiadek, maskotka igrzysk, został zważony i wykazał 200 gramów ponad normę przewidzianą przez instrukcję KGB dla miszków. W pluszowym brzuszku znajdowały się listy napisane przez kilku dysydentów sowieckich do przyjaciół na Zachodzie oraz rolki filmów ze zdjęciami żołnierzy i policjantów otaczających stadiony, hotele i inne strategiczne punkty olimpijskiej stolicy... Pan Beni został oskarżony o przemyt (nielegalny przewóz listów) i szpiegostwo (fotografowanie obiektów wojskowych). Samolot do Brukseli odleciał bez niego i bez Miszki.

Wszystko zaczęło się kilkanaście miesięcy przedtem w Brukseli. P. Jos Beni, 35 lat, nauczyciel matematyki w jednym z mieszcowskich liceów, bardzo typowy produkt pomajowego (1968) pomieszania pojęć i demagogii, utworzył wówczas (i ciągle mu przewodniczy) „Komitet dla pokoju w Europie”, który, z pozycji naturalnie postępowych i lewicowych, proklamuje konieczność zapewnienia naszemu kontynentowi absolutnej i pełnej niezależności od obu totalitarnie imperialistycznych mocarstw, to znaczy od ZSSR i od USA. Na pytanie czy w ten sposób p. Beni nie przyczynia się do realizacji programu trzeciego mocarstwa, to znaczy Chin, p. Beni odpowiada, że po pierwsze Chiny nie są supermocarstwem, a po drugie, że to Chińczycy mu zarzucają, iż ustawia oba superimperializmy na jednej płaszczyźnie, i na równi, co jest oczywistym błędem, albowiem każde dziecko wie, że imperializm sowiecki stanowi niebezpieczeństwo większe, i na bliższą metę.

Choć brutalne wypatroszenie Miszki przez KGB-istów z Szeremietiewa wydaje się ostatecznie przesądzać o trafności teoretycznej tezy chińskiej, trzeba przyznać, że p. Beni już przedtem chwiał się w swym ideowym przekonaniu o „equidystansie” — równej odległości od obu imperialistycznych biegunów. To on właśnie założył w Brukseli komitet „Moskwa 80”, krzewiący hasło bojkotu olimpiady w Moskwie. Mimo ograniczonego zasięgu, m.in. z powodu mało jasnych źródeł ideowej i finansowej inspiracji, „Moskwa 80” był pod przewodnictwem p. Beni jednym z bardzo niewielu energicznych ośrodków bojkotowej myśli w Europie. Wydawał specjalny biuletyn, organizował zebrania, odczyty, przygważdżał i piętnował, namawiał i doradzał...

No to dlaczego, mógłby ktoś spytać, p. Beni, zwolennik bojkotu, do Moskwy jednak pojechał? Odpowiedź brzmi, że p. Beni pojechał jako bardzo specjalny turysta. Postanowił — jak mi powiedział w długiej spowiedzi po szczęśliwym powrocie — udowodnić, że można być w Moskwie i nie dać się zamknąć w getcie czy fortecy jaką KGB przygotowało dla zagranicznych gości. Pobyt w Moskwie, mówi p. Beni, nie zakłada głuchoty, ślepoty i tchórzostwa. Nie taki diabeł czarny jak go malują, nawet KGB

nie widzi i nie słyszy wszystkiego. P. Beni zgłosił się więc do biura podróży związanego z Belgijską Partią Komunistyczną, które organizowało wyprawy olimpijskie, i zapłacił (drogo) za tydzień czerwonych dreszczy. Ku swemu — jak sam podkreśla — całkowitemu osłupieniu, otrzymał wizę sowiecką i wraz z grupą swych ziomków pojechał do stolicy kraju rad.

Z osłupienia tego wyszedł dopiero tydzień później, na lotnisku, w chwili kiedy KGB-owcy cięli Miskę. Przez cały tydzień p. Beni zachowywał się jak Alicja w krainie czarów. Oczywiście, nie przesadzajmy, p. Beni wiedział, że Moskwa nawet olimpijska to nie jest Disneyland. P. Beni miał kwatery w domu akademickim, zamieszkałym wyłącznie przez „latynów”, to znaczy Francuzów, Włochów, Belgów i Hiszpanów, i żaden „german”, Niemiec, Anglik czy Skandynaw nie miał prawa przestąpić jego progu. P. Beni jadał w restauracji dostępnej wyłącznie dla Belgów, dzięki czemu codziennie miał fryty i to samo towarzystwo. Poza tym jednak doszedł do wniosku, że może zachowywać się w Moskwie jak w swej rodzinnej dzielnicy Molenbeek w Brukseli. Wychodził ze stadionu Lenina kiedy chciał, wsiadał do metra na stacji „Sportiwnaja” i jechał przed siebie, w dał, w lud. Początkowo nie ufał ludowi. Przez pierwsze dwa dni, mówi, zachowywał jeszcze środki otóżności, sprytnie zmieniał metro, przystawał przed witrynami, oglądał odbicia w szybach wystawowych — jak poucza James Bond — choć bez jego *gadgetsów* i bez jego kobiet. Pstrykał zdjęcia tak podstępnie, żeby wyglądało na to, że fotografuje przepiękną naturę, a w istocie uwieczniał kordony policji i wojska.

W końcu p. Beni był już zupełnie pewny, że udało mu się przechrzyć KGB. Był tego tym bardziej pewien, że olimpiada toczyła się bez problemów, „Afganistan — nie znaju”, nie było mowy o politycznych incydentach. Policja była tak nastawiona na pilnowanie „obiektyw”, że choć fizycznie wszędzie obecna, nie reagowała zupełnie na jawną choć nielegalną wymianę handlową jaką połączyła obywateli ojczyzny socjalizmu z turystami z gnijącego Zachodu. P. Beni, choć w niczym nie przypomina amerykańskiego milionera, został sześć razy, jak dokładnie obliczył, zaczepiony przez komsomolską młodzież z obliczem Lenina w klapie, skłoną nabyć wszystko co p. Beni miał na sobie, w kieszeniach i w domu.

Miał niewiele, czego nie można powiedzieć o pozostałych turystach z grupy belgijskiej i innych. P. Beni był np. świadkiem umowy handlowej belgijsko-sowieckiej (faza negocjacji odbyła się na stacji metra, faza wymiany — w trolejbusie), na mocy której trzy pary dzinsów, pięć par majtek oraz kurtka treningowa z napisem „USA” (te są najdroższe, „Francja” np. kosztuje połowę) poszły w trzy minuty za 1.000 (słownie tysiąc) rubli, to znaczy ponad 5 miesięcznych pensji przedstawicieli klasy rządzącej w ZSSR. Nie chcieli rozmawiać o Afganistanie, mówi

p. Beni z żalem, tylko o dolarach, dawali 2 ruble za dolara (trzykrotny kurs oficjalny), ale nie miał.

Mówiąc w skrócie, mimo widocznej obstawy i okupacyjnej atmosfery, p. Beni nabrał przekonania, że w czasie Igrzysk można było się po Moskwie poruszać znacznie swobodniej niż kiedykolwiek przedtem. Nabrał takiego przekonania, choć nigdy przedtem w Moskwie nie był, a było ono tak mocne, że po dwóch dniach zabawy w ciuciubabkę z KGB przeszedł do działalności politycznej.

Odwiędził kolejno Wsiewołoda Kuwakina i Walerego Sendrowa, ostatnich przebywających na wolności członków grupy organizującej SMOT, czyli wolne związki zawodowe, oraz Fiodora Babickiego, którego matka, współpracowniczka słynnej „Kroniki Wydarzeń Bieżących”, zniknęła bez śladu po aresztowaniu w listopadzie ub. roku. P. Beni odwiedził także panią Kapłun, teściową Władimira Borysowa, właśnie deportowanego innego działacza SMOT'u. P. Beni był u pani Kapłun w dzień po śmierci jej córki, żony Borysowa, w tajemniczym „wypadku samochodowym” gdzieś w Estonii, o czym ani on ani pani Kapłun nic nie wiedzieli, a o czym on sam dowiedział się dopiero po powrocie do Brukseli, w Moskwie bowiem miał z prasy zachodniej do dyspozycji jedynie dziennik *Humanité*, spóźniony o trzy dni, który zresztą i tak nie zajmuje się takimi detalami jak „wypadki” żon deportowanych działaczy SMOT-u. Od wszystkich wdzięcznych za wizytę dysydentów p. Beni wziął listy, od SMOT-u — raport o działalności i prześladowaniach.

Po tygodniu, na lotnisku, p. Beni przekonał się, że to nie KGB, a on się mylił i że wszystko, co on sam od lat wypisywał o KGB na użytek swych czytelników było naprawdę prawdą, że czasem należy wierzyć w to co się dla innych pisze i o czym chce się ich przekonać, a zwłaszcza przestrzec. Inaczej przechodzimy ze sfery informacji do sfery propagandy, co jest procedurą typowo sowiecką, a nie powinno być praktykowane przez człowieka, którego misją jest zapewnienie Europie absolutnej niezależności od ZSSR i od USA.

W ową więc sobotę olimpijską, kiedy o godzinie 7-ej rano grupa belgijska zjawiła się na lotnisku Szeremietiewo, p. Beni spotkał się z wyjątkowo serdecznym przyjęciem ze strony „celników”. O godz. 8-ej Miska ujawnił swe tajemnice, o godz. 9-ej samolot odleciał bez p. Beni, a godz. 12-ej p. Beni został oskarżony o przemyt i szpiegostwo i poproszony o podpisanie odpowiedniego przyznania się do winy. O godz. 12.15, po przetłumaczeniu *l'aveu*, p. Beni odmówił podpisu i poprosił o połączenie go z ambasadą belgijską w Moskwie. O godz. 12.20 KGB odmówił telefonu i zainstalował p. Beni w oddzielnym pomieszczeniu. Bez telefonu. O godz. 14-ej KGB zakomunikował p. Beni wyrok: wydalenie z granic ZSSR, konfiskata Miski i listów, i ulokował go w sali tranzytowej. Też bez telefonu. O godz. 17-ej Beni został bez biletu wepchnięty na samolot do Hamburga. O godz.

21-ej p. Beni wsiadł z biletem do pociągu nocnego do Brukseli, o godz. 8-ej nazajutrz był w Brukseli w gronie rodziny i przyjaciół. O godz. 11-ej p. Beni, pierwszy człowiek oskarżony przez KGB formalnie, *in flagranti* i z dowodami, o szpiegostwo i przemyt, który w związku z tym spędził jedynie 10 godzin w gościnie u KGB, zamiast 20 lat w gułagu, był u Brukselczyka...

Jego opowiadanie stanowi swoistą spowiedź dziecięcia drugiej połowy XX wieku w zachodniej Europie, mówiącą o stanie gotowości świata demokratycznego do sprostania wyzwaniom komunistycznego Wschodu lepiej i więcej niż tomy książek i setki gazet, interesujące artykuły i nudne kazania, uczone analizy i demagogiczne pokrzykiwania.

P. Beni powiedział mi: „Byłem naiwny”. Rozpatrzmy to twierdzenie według definicji zapodanej w motto. Zyczliwie i lojalnie.

Niewiedza? Wykluczone. P. Beni jest od lat wiernym czytelnikiem wszystkiego, co się, nie tylko w Belgii, ukazuje na temat ZSSR. Sam mówi, że od inwazji Czechosłowacji w 1968 roku jego serce, które ciągle jest na lewicy, nie przestaje krwawić. Od chwili utworzenia komitetu absolutnie niezależnej Europy i grupy bojkotu Igrzysk p. Beni osobiście zapisał setki stron na temat policji i KGB, terroru i zakłamania w ZSSR. P. Beni często cytował *Le Soir*, *Le Monde* itd., których lektura powinna mu była absolutnie wystarczyć, aby stracić wszelkie złudzenia. A jednak nie stracił...

Brak doświadczenia? Ejże! Człowiek, *homo politicus*, mądrzeje także dzięki doświadczeniu innych. Cudze przeżycia to też doświadczenie. P. Beni był w stałym kontakcie z dysydentami i na miejscu w ZSSR (przez korespondencję i lekturę) i z tymi, którym udało się przeżyć gułag czy szpitale psychiatryczne i wydostać się na Zachód. P. Beni był wiernym bywalcem wszystkich zebrań czy dyskusji z udziałem byłych lokatorów Łubianki czy gułagu. Sam organizował akcje w obronie praw człowieka w ZSSR, a zwłaszcza wolności syndykalnych, jako że jest sam znanym działaczem związku zawodowego naukowców w Belgii. W swoim biuletynie drukował co celniejsze wspomnienia ofiar KGB. Sołżenicyn, choć nieco za bardzo reakcyjny i wielorosyjski, był dla p. Beni niezaprzeczalnym źródłem wiedzy i doświadczenia. Jakiego doświadczenia p. Beni jeszcze brakowało? Dlaczego p. Beni uwierzył działaczom olimpijskim, którzy — jak mówi — przykonywali nas, że olimpiada „to okazja do spotkania i zbliżenia młodzieży”? Aż dziwne to ze strony marksisty. P. Beni powinien był wiedzieć, że działacze łąą, że tyle jest prawdy w tym sloganie o „spotkaniu i zbliżeniu” co w oświadczeniu p. Zimiatina, z sektora informacji międzynarodowej KC KPZS, który powiedział grupie francuskich atletów, interesujących się prawami człowieka w ZSSR, że „u nas nie ma ani jednego więźnia politycznego, a tylko z kodeksu karnego”. P. Beni wszak wie, że byt określa świadomość, a gło-

zenie takich bujd to właśnie byt aparatczyka Zimiatina i lordów z komitetu olimpijskiego. Orwell powiedział (cytuję z pamięci), że „olimpiada to także wojna, tylko że bez zabitych”. Dlaczego p. Beni nie wierzył inteligencji Orwella?

P. Beni opuścił Brukselę z *Soir*'em w kieszeni, gdzie z okazji otwarcia Olimpiady napisałem, że każde kolejne igrzyska to nowy pogrzeb barona de Coubertin, albowiem stało się jasne, że najważniejszą sprawą w sporcie olimpijskim jest nie „uczestniczyć”, a „zwycięzać”. Dodałem, że ten cel uświęca wszystkie środki, i że ta prawda wyjdzie na jaw w Moskwie bardziej niż na 21 poprzednich olimpiadach. Po co p. Beni brał ten *Soir* ze sobą?

Brak przemyślenia? Niemożliwe! Wszak p. Beni przemyślał wszystko. Ośłupiał przecież — jak mówi — kiedy dostał wizę. Widać z tego, że myślał, i słusznie, że wizy nie dostanie. A przecież dostał! P. Beni rozmyślał także na miejscu, w Moskwie. Przez dwa dni, opowiada, sprawdzał czujność KGB. Potem, po zaszyściu listów w Miszce, też myślał. Dlaczego nie dał swego wypchanego listami Miszki któremuś z belgijskich turystów nie podejrzanych o dywersję, przecież wszystkich Miszków KGB nie mogłoby popruć? Eh, mówi p. Beni, myślałem (no właśnie!) o tym, ale chłopak, który ze mną mieszkał w pokoju mógł być właśnie naszym, inni byli mniej lub bardziej związani z partią komunistyczną, niektórzy byli pracownikami sowieckich przedsiębiorstw zainstalowanych w Belgii. Tylko jeden się nadawał, kolarz, zakochany w sporcie, ale to był ojciec rodziny, dwoje dzieci, i p. Beni nie chciał go narażać. Prawdłowo, dlaczego jednak p. Beni nie myślał prawdłowo do końca?

Zachowanie p. Beni nie wynikało więc ani z braku wiedzy, ani z braku doświadczenia, ani z braku przemyślenia. Ale wyjdźmy poza definicję. Słownik Roberta jest wszakże produktem tylko zachodniej cywilizacji. Naiwność p. Beni nie wynikała także z głupoty. P. Beni jest człowiekiem inteligentnym, politycznie oblatanym, wykształconym i czytany. Zachowanie p. Beni nie wynikało także z draństwa. P. Beni nie robi świństw, jest moim zdaniem, a chyba się na tym nieco znam, człowiekiem uczciwym.

Jeżeli więc zachowanie się p. Beni nie wynikało z niczego tego, to z czego wynikało? Jak się rodzi tak rozpaczliwa, spoza wszelkiej definicji, naiwność? Pozostawmy na boku uczone rozważania o krachu ideologii, załamaniach duszy, potrzebie wiary w coś, zagubieniu młodego pokolenia, to wszystko bywa prawdziwe, a bywa też szalbierstwem, wykorzystywanym przez cwanych pseudo-uczonych dla rozmaitych podejrzanych celów. P. Beni, inteligentny, uczciwy, sympatyczny, oddany idei szczęścia ludzkiego i sprawiedliwości społecznej, jest typowym produktem zachodnioeuropejskiej pseudo-kultury politycznej, ofiarą tzw. lewicowo-postępowego pomieszania pojęć, odróżniającym dobre i złe gułagi, dobre i złe policje, dobre i złe ofiary, jest,

mówiąc w skrócie, osobnikiem niezdolnym (albo nie chcącym) zrozumieć prawdziwą naturę totalitaryzmu w jego sowieckim wydaniu, nie jest w stanie oprzeć się najbardziej udanej operacji sowiectwu, to znaczy mistyfikacji.

Dlatego, praktycznie biorąc, p. Beni okazał się niezdolnym do wysnucia jedyne go i podwójnego prawidłowego wniosku z faktu otrzymania wizy sowieckiej, tego mianowicie, iż, *primo*, dostał wizę nie dlatego, że ambasada sowiecka nie wiedziała kto zaczął, a dlatego, że wiedziała i znała bardzo dobrze działalność p. Beni, i że, *secundo*, p. Beni w Moskwie nigdy nie był sam, że KGB znało wszystkie jego ruchy, że policja pozwoliła mu odwiedzać dysydentów nie dlatego, że nic o tym nie wiedziała, a dlatego, że w ten sposób łatwiej im było konfiskować dokumenty, i to kompromitując i ośmieszając bez wysiłku zachodnich naiwnych pocztylionów.

P. Beni opowiada, że rewizja na lotnisku trwała bardzo długo, bo celnicy (on ciągle używa tego określenia) szukali podwójnego dna i tajnych kieszeni, i że to dopiero szef „celników” wpadł na pomysł przeszukania Miszki. P. Beni ciągle więc — nawet już po powrocie — wierzy w to, że chodziło naprawdę o kontrolę celną, a nie wierzy, że było to zwyczajne kino, że celnicy byli z organów, a szef wiedział, że prawda jest w Miszce. Skąd inaczej pomysł ważenia maskotki, skąd lista prawidłowej wagi Miszków wszystkich wymiarów i gatunków? Kto na świecie waży maskotki?

P. Beni prawidłowo tłumaczy fakt, iż zamiast do gułagu pojechał mimo wszystko do domu w Belgii, gdzie woli żyć, choć jest to kraj jeszcze niezupełnie niezależny od USA (choć, według niektórych, coraz bardziej zależny od ZSSR). Moskwa, mówi p. Beni, nie chciała ryzykować skandalu, setki dziennikarzy zachodnich, wygłodniałych z braku sensacji, byłoby się rzuciło na aresztowanie ideowego emisariusza. A tak nikt się nawet nie obejrzał. No dobrze, pytam, a co z tymi, którzy mu powierzyli listy? P. Beni uważa, że nic im nie grozi, że są oni i tak już aż za dobrze znani KGB i że niewykluczone nawet, że rozgłos na Zachodzie im pomoże. Jeżeli chodzi o p. Beni, to w oczekiwaniu na informacje z Moskwy, mogące potwierdzić ten optymistyczny pogląd, przygotowuje on wyczerpujące opracowanie o niebezpieczeństwie naiwności w polityce.

Komentarz, jak się to mówi, zbyt cenny. Zastanówmy się tylko nad następującym pytaniem. Jeżeli p. Beni, człowiek — powtarzam — ideowy i uczciwy, o kulturze politycznej bez żadnego porównania wyższej od zachodnioeuropejskiej przeciętnej, wykazał tak straszną łatwowierność i lekkomyślność, i to w tak prostych, aż banalnych okolicznościach, to jak zachowają się inni, mniej inteligentni, gorzej poinformowani, słabiej upolitycznieni, a przede wszystkim mniej uczciwi i bardziej przekupni w mniej przejrzystych okolicznościach? A przecież, i to jest ważny szczegół, p. Beni jest ponadto — a jest to jeszcze rzadsza

cecha na Zachodzie — człowiekiem odważnym. Pojechał do Moskwy, mimo że wiedział, że go tam nie lubią, nie bał się KGB, choć do chwili ogłupienia w Moskwie wiedział, że należy się go bać, nie współpracował, nie podpisał, nie siedział cicho, nie dał się nastraszyć perspektywą gułagu za szpiegostwo ani przekupić obietnicą wydalenia za podpis... Jak by się zachowali inni w tych samych okolicznościach?!

Np. dyrektor generalny telewizji belgijskiej? Ów pan nie był osamotniony na moskiewskim lotnisku, sam na sam z KGB, a siedział w swoim komfortowym biurze w Brukseli, kiedy ambasada sowiecka zażądała wykluczenia pewnego dziennikarza belgijskiego w dyskusji z dziekanem wydziału prawa uniwersytetu w Moskwie. Co uczynił p. dyrektor? Pan dyrektor skapitulował i wykluczył owego dziennikarza, Belga, członka belgijskiego stowarzyszenia dziennikarzy, z programu w belgijskiej telewizji, na żądanie ambasady sowieckiej, choć wiedział przecież, że szantaż ambasady, bardzo chwalebny dla wykluczonego dziennikarza, wynika wyłącznie z faktu, iż jest on jednym z niewielu będących w stanie ujawnić mistyfikacyjne zabiegi propagandy ZSSR. Sowietom udało się w Belgii to, na co nie odważyliby się nawet w Finlandii. Otóż numer taki udał się z panem dyrektorem, ale na pewno nie udałby się z p. Beni. Ale p. Beni zarzuca się naiwność, natomiast p. dyrektorowi... nikt, z małymi wyjątkami, niczego tutaj nie zarzuca.

W trakcie pisania tego felietonu otworzyłem telewizję. Bernard Pivot jest jednym z inteligentniejszych prezentatorów francuskiej telewizji. Prowadzi „Apostrofy”, tygodniowy program literacki, jest szalenie czytany, zaprasza przeważnie ciekawych ludzi, zadaje przeważnie prawidłowe pytania. W pewien sierpniowy piątek zaprosił Zinowiewa, jednego z niewielu dostępnych na Zachodzie ludzi zdolnych do wytłumaczenia na czym polega szarm sowieckiej burżuazji i groźba tego systemu dla świata.

Ale nawet na tym poziomie był to właściwie dialog głuchych. Nawet Pivot nie rozumiał o czym należy z Zinowiewem rozmawiać. Porównywał go ze Swiftem, chciał dyskutować o gatunkach literackich a nie o życiu, o formie a nie o treści, o tym, „jak”, a nie o tym, „co”, o śmiechu Zinowiewa tam gdzie Zinowiew myślał, że płacze. Oni się po prostu śmieją i płaczą z zupełnie innych niż my powodów. Nawet Pivot, a co dopiero p. Beni, któremu wszak daleko do „Apostrof”.

P. Beni stanowi jedyny znany mi przypadek, kiedy turysta olimpijski rzucił wyzwanie połączonym siłom organów ZSSR. Z pozostałych 700.000 zagranicznych ani jeden, o ile wiem, nie odwiedził dysydentów. Z 7.000 sportowców tylko 4 Francuzów (aż dziwnie!) poprosiło o rozmowę z przedstawicielami władzy sowieckiej na temat praw człowieka, choć nie o Afganistanie, bo to, powiedzieli, „nie nasza sportowców sprawa”. Z 5.000 dziennikarzy tylko bardzo niewielu interesowało się tym, co się działo, lub nie działo, poza stadionami i poza barem hotelu

„Rossija”, tej fortecy prasowej w centrum Moskwy, zamkniętej dla autochtonów, nawet prasowych. Pewien dziennikarz zachodni najpoważniej w świecie zapytał na konferencji prasowej w Leningradzie „jaką tendencję polityczną reprezentuje *Leningradzka Prawda*? Pan Popow — rzecznik organizatorów igrzysk — mógł więc ze zrozumiałą satysfakcją powiedzieć na pożegnalnej konferencji pod adresem dziennikarzy zachodnich „Jestem z was zadowolony”. Mniej wytworny, p. Marchais, generalny sekretarz francuskiej kompartii powiedział wprost w telewizji francuskiej *en direct* z Moskwy, że ci dziennikarze, którzy interesowali się czymś innym niż sportem w Moskwie, „uprawiali trotuar” czyli kurwili się, na co żaden z obecnych w studio dystyngowanych paryskich żurnalistów nawet się obruszył, nie mówiąc już o proście czy poczuciu obrazy.

Tylko jeden dziennikarz z paryskiej goszystowskiej *Liberation* próbował dodzwonić się z Moskwy do Sacharowa, ale centrala w Gorki odpowiedziała mu, że abonent o takim nazwisku jest tam nieznanym, a kiedy się uparł i powiedział, że Sacharow to znany członek Akademii i nie mógł zginąć w dużym mieście, to telefonistka odpowiedziała, że niestety nie mają książki telefonicznej według zawodów.

Przygoda p. Beni w Moskwie stanowi więc nie tylko akt klinicznej naiwności, ale także odwagi, nie tylko braku odpowiedzialności ale i szlachetności, tym godniejszy podkreślenia, że wyjątkowy, jeżeli nie jedyny. Casus Beni, pouczający ale i oburzający, skłania do wyjścia ze złotej klatki olimpijskiego getta dla dewizowców, przypomina, że po raz pierwszy w historii sportu organizatorem olimpiady było państwo zaangażowane w normalną i brudną wojnę najeźdźczą przeciwko małemu i biednemu państwu, że ten sam Breżniew, który otwierał (z kartki) olimpiadę, dał, bez kartki, rozkaz najazdu. Pomysł powierzenia ZSSR organizowania olimpiady był dzieckiem naiwnej wersji *détente*, i musiał paść ofiarą urzędu tejże *détente*. Casus Beni pozwala udowodnić, że olimpiada w Moskwie rozpoczęła się od KGB i na KGB skończyła, że się te igrzyska tak skończyły jak zaczęły: w pompie i w bagienku, w euforii i przygnębieniu, w satysfakcji jednych i tragedii drugich.

Jak kropla wody ma skład chemiczny całego jeziora, tak „przypadek Beni” udowadnia, że igrzyska które miały być najmniej polityczne ze wszystkich igrzysk ery nowożytnej, były w istocie najbardziej z nich wszystkich polityczne i upolitycznione. Końcowy cyrk, 10.000 wytresowanych automatów zmieniających kolory i żywe obrazy, pruski krok pocztu sztandarowego i „gołębiarzy”, przejmujący dreszczem przerażenia absolutnie perfektny „koncert” 700-osobowej fanfary armii czerwonej (niektórzy wrócili może właśnie z Afganistanu), totalitarnych wymiarów napełniony helem Miszka ulatujący w niebo i gustownie ronący łzę, z lewego oczywiście oka, o niczym nie zapomniano, aby świat zapomniał o sowieckiej rzeczywistości.

Śmieszny przypadek p. Beni może to zniweczyć. Awantura p. Beni przypomina mianowicie, że pierwsze igrzyska w Sowietach pozostaną igrzyskami sowieckimi. Nie, nie dlatego, że atleci sowieccy, czy wschodni, zdobyli i przygniatającą większość medali a, wprost przeciwnie, dlatego, że ich przewaga była taka przygniatająca i świadczyła wymownie o wadze częściowego i niemrawego bojkotu, o znaczeniu nieobecności sportowców USA, NRF, Japonii czy Kenii.

To poczucie olimpijskiej mistyfikacji spotęgowane było tym co Moskwa uznała za sukces: komiczną i upadającą formą udziału niektórych państw zachodnich. Francja, Belgia czy Wielka Brytania udały się do Moskwy anonimowo, na palcach jakby, w strojach ochronnych, bez emblematów. Nie brały udziału w defiladach, stawiały się bez hymnów i flag, z poleceniem stania się nie tylko niewidzialnymi, ale także głuchymi i ślepyimi. Sportowcy francuscy musieli podpisać zobowiązanie, że nie będą zajmować się w Moskwie polityką a tylko sportem. Nazywało się to „kontraktem moralnym”.

Moralnym? Z punktu widzenia moralności wołę p. Beni od francuskiego ministra sportu p. Soisson. Po zakończeniu igrzysk, p. Soisson wyraził zadowolenie z wyników sportowców francuskich, określając ich bilans formułą „globalnie pozytywny”, sprytnie w ten sposób, jego zdaniem, stosując określenie użyte przez p. Marchais do pochwalenia dobrobytu państw komunistycznych. P. Soisson nie zauważył politycznych aspektów igrzysk, ani wyresztowania dysydentów, ani operacji napalmowych w Afganistanie. P. Soisson zachował się dokładnie tak jak jego sowiecki kolega p. Pawłow po olimpiadzie w Monachium. Otóż w wywiadzie po-olimpijskim p. Pawłow pochwalił wówczas globalnie pozytywne igrzyska z Monachium, zapominając jedynie wspomnieć o drobiazgu jakim było wymordowanie sportowców izraelskich. Moralnie biorąc, wołę, powtarzam, naiwnego p. Beni od obu ministrów. P. Beni przynajmniej nie zapomniał, że znicz, który płonął w Moskwie nie był w istocie zapalony w Olimpi, ale w zgłiszczach jakiejś płonącej wioski w Afganistanie. On pamięta, że choć znicz w Moskwie zgasł, to napalm w Afganistanie ciągle płonie.

Przed wszystkim jednak igrzyska stanowiły coś w rodzaju powszechnego sowieckiego *katharsis*. Na żadnych igrzyskach nie było takiego wybuchu nacjonalizmu. Publiczność sowiecka ujawniła się — nawet zdaniem dziennikarzy z para-państwowej telewizji francuskiej — jako najbardziej szowinistyczna na świecie, i to także, jeżeli nie przede wszystkim, wobec sportowców z „bratnich” krajów. W imię tego szowinizmu wielko-sowieckiego, sędziowie sowieccy po prostu szachrowali. Nie, wcale nie tylko dyskretnie, w konkurencjach niewymiernych, np. w gimnastyce czy skokach do wody, ale nawet na boisku, z centymetrem i stoperem w rękę. Anulowali np. udane skoki czy rzuty brazylijskiego trójskoczka czy wschodniemieckiego dyskobola.

Co mieli robić? Przed taką publicznością! Nie mówiąc już o tym, że nie mogli sobie pozwolić na uczciwe sędziowanie w sporcie, kiedy tak nieuczciwie sędziują w sądach. Byłby to przykład zbyt zaraźliwy i niebezpieczny.

Tylko Polak Kozakiewicz znalazł właściwą odpowiedź na gwizdy i sowieckie szwindle towarzyszące igrzyskom w ogóle a jego lotowi po rekord świata w tyczce w szczególności. Szczęśliwy, roześmiany, w stanie prawdziwej łaski sportowej po pobiciu rekordu świata, Kozakiewicz posłał w kierunku trybun i Sowieatów w ogóle najbardziej wspaniałą, niedwuznaczną, królewsko-nadwiślański „łokieć” jaki zdarzyło mi się w życiu widzieć. Brawo! Łokieć — jak skok — był na medal, i telewizje z całego świata przekazały ten „gest” Kozakiewicza na żywo i wszędzie. Napisałem natychmiast w *Soir*, że w tej samej chwili taki sam „łokieć”, nie tylko ze względów sportowych, posłało Moskwie 35 milionów Polaków zebranych przed telewizorami w PRL. Otrzymałem na to telefon: „Nie tylko 35 milionów i nie tylko z PRL, powiedz mi mój czytelnik. Niech pan doda jeszcze 10 milionów na emigracji”.

Przypomniałem sobie wówczas zaciśnięte pięści czarnych sprinterów amerykańskich wyrzucone w niebo z podium olimpijskiego w Meksyku. To oczywiście nie wina wspaniałego „Kozy”, że między obu gestami zachodzi tak wyraźna różnica „moralna”. Każde igrzyska mają taki „gest” na jaki zasługują. Droga od pięści do łokcia świadczy o drodze degeneracji igrzysk, o tym do jakiego poziomu doprowadzili sport sowieccy organizatorzy, sowiecka publiczność i Olimpijski Komitet Międzynarodowy absolutnie apolityczny i absolutnie amatorski. Tu także wolę p. Beni.

Kozakiewicz, i słusznie, jest bohaterem narodowym, jak Kmicic, tylko z tyczką a nie szabłą. Jos Beni pozostał naiwnym i skromnym syndykalistą belgijskim. A jednak przygoda tego belgijskiego nauczyciela pozostanie w pamięci na lepszym miejscu niż olimpijski występ belgijskiego księcia de Merode. Co ich łączy? Nic, tylko paszport i sowiecka policja. Beni był jej ofiarą, ksiądz de Merode jest jej chwałcą. W wywiadzie dla agencji *Nowosti* prince de Merode, członek Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego pochwalił tę samą policję, która aresztowała p. Beni za zapewnienie „bezbłędnej organizacji bezpieczeństwa we wiosce olimpijskiej i za pełne szacunku zachowanie się wobec członków rodziny olimpijskiej”.

W tym samym duchu wypowiedział się p. Jasser Arafat, który został zaproszony do odwiedzenia wioski olimpijskiej. P. Arafat, człowiek odpowiedzialny za masakrę „rodziny olimpijskiej” w Monachium, też pochwalił bezpieczeństwo sportowców w Moskwie.

Nic dziwnego, że paryska komunistyczna *Humanité* napisała, iż dwa olimpijskie tygodnie w Moskwie udowodniły, że „świat wyrwa się z ciężarów starego porządku...”.

Na szczęście wydarzył się ośmieszony, drugorzędny, proletariacki a nie ksiązęcy „casus Beni”, który pokazał w jaki sposób się wyrывa...

BRUKSELCZYK

Pisane 10 sierpnia olimpijskiego 1980 roku.

Korespondencja z Rzymu

Carter w Watykanie

W 1971 roku Nixon natychmiast po złożeniu wizyty Pawłowi VI dokonał inspekcji VI floty amerykańskiej w porcie włoskim Gaeta, co w Watykanie przyjęto z pewnym niesmakiem. Carter po czterech godzinach pobytu w Watykanie w dniu 23 czerwca (wliczając w to zwiedzanie muzeum i bazyliki św. Piotra) udał się do Wenecji na amerykańsko-japońsko-europejskie spotkanie na szczycie. Jego wizyta u Jana Pawła II nabrała charakteru operacji wyborczej, do czego przyczyniła się walenie długa transmisja telewizyjna. Carter przybył z małżonką i dwunastoletnią córką, w otoczeniu kilkunastoosobowej świty; w czasie przemówienia papieskiego zachowywał się bardzo swobodnie. Nie jest wcale pewne, czy ta wizyta pomoże mu zdobyć głosy katolickich wyborców. Carter przybył do Watykanu helikopterem i wjechał na dziedziniec św. Damazego w pancernym aucie. Życzył sobie transmisji telewizyjnej, a Watykan nie widział powodów do zastrzeżeń. Teksty przemówień Ojca św. i Cartera nie były uprzednio uzgodnione i dlatego Watykan podał do wiadomości prasy wyłącznie wypowiedź papieską. Przemówienia obu dostojników różniły się treścią i tonem. Carter mówił do swych potencjalnych wyborców — Papież do narodu amerykańskiego i opinii światowej. Poruszył też kwestie, które Carter zignorował: status Jerozolimy¹, problem palestyński, stabilizację w Afryce i odpowiedzialność USA za sytuację w Ameryce środkowej, strefie, która powinna być „wolna od manipulacji, czy to jawnej, czy zamaskowanej”. Papież zachęcał administra-

1. Biorąc asumpt z tego przemówienia, ogłoszono w dniu 30 czerwca deklarację, która przynosi ważną zmianę w dotychczasowym stanowisku Watykanu. Już nie chodzi wyłącznie o „swobodny dostęp do miejsc świętych”. Deklaracja domaga się dla Jerozolimy specjalnego statusu międzynarodowego, uznającego ją za *corpus separatum*, administrowane przez ONZ. Jerozolima powinna mieć charakter „nie tylko interkonfesjonalny (równość praw trzech wielkich religii monoteistycznych), ale i międzynarodowy”. Deklaracja przestrzega przed „jednostronnymi decyzjami i bilateralnymi porozumieniami”.

cję USA do zwiększenia pomocy na rzecz krajów upośledzonych, a wspominając entuzjastyczne przyjęcie zgotowane mu w ub.r. w USA przestrzegając przed „popadaniem w ujarzmiający materializm”. W czasie kiedy Carter był na prywatnej audiencji u Papieża (poprzedziła ona oficjalną audiencję z udziałem całej delegacji), Brzeziński, Muskie i amb. Wagner (były burmistrz Nowego Jorku, nieoficjalny dojeżdżający przedstawiciel USA przy Watykanie) odbyli rozmowę z sekretarzem Stanu kard. Casarolim. Podobno wysłuchał, co mają mu do powiedzenia, sam ograniczając się do bardzo ogólnych sformułowań. *Non si è sbilanciato* — powiedział jednak pewien jego bliski współpracownik. Niewykluczone, że wyraził zdziwienie z powodu amerykańskich utyskiwań (były takie sygnały na początku tego roku), że „Papież za dużo mówi o rozbrojeniu, niepotrzebnie się w tę sprawę angażuje, co stawia nas w trudnej pozycji psychologicznej i moralnej”.

Jan Paweł II dokonuje bilansu

W dniu 28 czerwca Jan Paweł II zwołał zebranie pracowników Kurii Rzymskiej wszystkich szczebli i wygłosił do nich długie przemówienie. Dokonał w nim syntezy najważniejszych spraw swego pontyfikatu. Uznał, że „perspektywa dalszej realizacji Soboru zależy w dużej mierze od skutecznego funkcjonowania struktur Kurii Rzymskiej, organizmu bardzo złożonego i delikatnego”. Czym winna być Kuria? Jak ma działać? Odpowiedź na te pytania zaczął od zarysowania sensu swych podróży apostołskich, omawiając znaczenie każdej z dotychczasowych pielgrzymek, zróżnicowanych w zależności od potrzeb i sytuacji lokalnej. Papież nie powiedział tego wprost, ale z kontekstu tego fragmentu przemówienia wynikało jasno, że Kuria Rzymska powinna skorzystać z tego typu otwarcia (także ku niewierzącym!) i kontynuować, rozwijając główne wątki tych podróży poprzez ścisłą łączność z krajowymi Konferencjami Episkopalnymi. To samo odnosi się do kontaktów ekumenicznych: „trzeba nauczyć się na nowo oddychać pełną piersią, dwoma płucami, zachodnim i wschodnim”. W dalszym ciągu wystąpienia Papież zajął się kwestią „nowej eklezjologii”, bardzo wydatnie — jak sam stwierdza — podpieranej przez *mass media*, a pretendującej „do wskazywania Kościołowi obcych mu dróg”. Teologowie mają — zdaniem Papieża — „prawo do swobodnej analizy i badań, ale zawsze zgodnie z nauką Kościoła” (i za jego przyzwoleniem). Wraca do tej sprawy ponownie w dalszym ciągu przemówienia, mówiąc że obok „niebezpiecznej eklezjologii” pojawiły się innowacje, „arbitralne eksperymenty i sprzeczności” w realizacji reform liturgicznych, co spowodowało „poważną rozterkę” wśród wiernych. Obszerny fragment poświęca Papież stosunkom jakie zachodzą (i powinny zachodzić) między Kościołem a kulturą. Uni-

wersytety papieskie w Rzymie, katolickie wyższe uczelnie i wydziały teologiczne nazywa „ośrodkami promieniowania doktryny katolickiej”. Wspomina swe wystąpienia na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie, w Instytucie Katolickim w Paryżu i na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie. Postęp kultury — Jego zdaniem kluczowe zagadnienie w skołatany świecie — zależy w ogromnej mierze od *mass mediów*, które „propagują nie tylko teorie naukowe, lecz również ideologie, interpelujące w ciągłym osądzie krytycznym inteligencję i wiarę człowieka współczesnego. Jest to wyzwanie, które powinniśmy podjąć”. Papież wyraża wdzięczność tym wszystkim, którzy starają się o rozwój prawidłowych stosunków pomiędzy religią i nauką. Zgodnie z duchem konstytucji soborowej *Gaudium et Spes* Kościół winien poszukiwać „właściwego wyrazu łączności z antropologią współczesną i naukami humanistycznymi”. Chodzi o „syntezę elementów twórczych dokonaną w koherencji pomiędzy rozumem i wiarą”.

Kilka dni przed wyjazdem do Brazylii rozmawiałem z sekretarzem Stanu kard. Casarolim w czasie spotkania z grupą dziennikarzy włoskich i zagranicznych, akredytowanych przy Watykanie. Nie ukrywał, że ruchliwość Papieża (uśmiechając się nazywał go *Papa vagabondo*, papież włóczęga) przysparza Kurii Rzymskiej trudności: „nie nadążamy za jego intensywnym rytmem pracy, kiedy on jest wciąż pełen sił, my padamy ze znużenia”. Casaroli odprawił dla nas mszę świętą i wygłosił kazanie-przemówienie, pełne komplementów i wyrazów uznania dla pracy dziennikarzy. W czasie zaimprovizowanego potem spotkania w przyległym do kaplicy salonie (spotkanie miało charakter *off the record*) słuchał uważnie krytycznych wypowiedzi na temat niedomagań watykańskiego aparatu prasowego (co — przypominać — antycypowałem w poprzedniej korespondencji), braku pomocy i łączności z Kurią Rzymską. Pilnie wszystko notował i przyrzekł wpłynąć na zorganizowanie spotkania na szczeblu Papieskiej Komisji dla Społecznych Środków Przekazu, „dla wspólnego rozważenia” sposobów poprawy sytuacji i usprawnienia mechanizmu współpracy pomiędzy Kurią i prasą.

Podróż do Brazylii widziana z Rzymu

Tutejsi obserwatorzy podróży brazylijską oceniają niemal jednomyślnie jako najbardziej udaną z dotychczasowych wędrówek papieskich. Jeśli cokolwiek jest przedmiotem uwag krytycznych, to jedynie złagodzenie w wystąpieniu Papieża w Fortaleza (wygłoszone przemówienie zawierało pewne korektury w stosunku do tekstu uprzednio rozdanego) krytyki metod pracy pastoralnej. Jest rzeczą charakterystyczną, że nawet wysłannicy prasy lewicowej uważają, że Jan Paweł II skonsolidował episkopat brazylijski i wzmocnił w całej Ameryce Łacińskiej prestiż Ko-

cioła i jego „potencjał polityczny, zdobyty w okresie opozycji przeciw reżymom militarnym”. Wywarł ponadto wpływ na postęp „konstytucyjnej normalizacji”, czyli na proces „otwarcia” reżymu brazylijskiego ku demokracji i pluralizmowi. Wystannik dziennika *Il Messaggero* (aktywista partii komunistycznej) stwierdza w komentarzu bilansującym tę podróż: „Papież stał się *leaderem*, przewodnikiem charyzmatycznym — podróż brazylijska to potwierdziła. Po napięciach, jakie przeszedł katolicyzm w Brazylii w czasie pontyfikatu Pawła VI nadeszła chwila, kiedy dzięki Wojtyłe Kościół może tam oddziaływać nie tylko na sumienia, ale i na życie społeczne (i pośrednio — polityczne)”. Niektórzy zestawiają przebieg i efekty tej podróży z wizytą Papieża w Polsce. „Papież dał Brazylii dwa tygodnie demokracji i pozostawił ten kraj bardziej zjednoczonym. Stabilizacja procesu demokratyzacji zależy od tego, czy obecna grupa kierownicza zechce i potrafi wcielić w życie postulaty reformistycznej opozycji, posługując się wskazaniem papieża. Analogicznie jak w Polsce” — pisze wystannik lewicowego dziennika *La Repubblica*. I dodaje: „Fakt, że wystąpienia papieża sprzyjają procesowi demokratyzacji może wydać się paradoksalny przedstawicielom europejskiej kultury laickiej”. Zauważa, że na skutek istniejącego w Europie zachodniej rozdziału między Kościołem a kulturą liberalną, laicką, i na skutek procesu sekularyzacji Kościół utracił wpływy, mimo że cieszy się wszelkimi swobodami. Sytuacja jest radykalnie odmienna w Europie Wschodniej i Ameryce Łacińskiej, gdzie Kościół jest antagonistą i alternatywą dla reżymów totalitarnych względnie autorytarnych. „Papież umożliwił ludziom przełamanie bariery strachu i bierności. Odjął reżymom prawnicowym i militarnym uzurpowane usprawiedliwienie religijne” — stwierdza w wywiadzie mieszkający tu wychodźca chilijski, działacz zdelegalizowanego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego. Ten poplecznik reżymu Allendy równocześnie twierdzi, że marksizm nie spenetrował kultury politycznej w Ameryce Łacińskiej i stanowi jedynie „apanaż wąskich elit”. Agresywne, rewolucyjne tendencje nie mogły spotkać się z aprobatą Papieża, niezależnie od doktrynalnej negacji walki klas i przemocy instytucjonalnej. Frakcyjny i jednostronny ich charakter sprawią bowiem, że nie mogą pobudzać pokojowych reform — przeciwnie, obracają się przeciw sprawiedliwości społecznej którą głoszą. Moim zdaniem Papież dobrze rozumiał, że choćby bez wyraźnych intencji, a nawet w sposób nieświadomy, te rewolucyjne prądy stwarzają podatny grunt dla przemocy i działań destruktywnych.

Dwa osiągnięcia tej podróży wydają mi się szczególnie ważne w optyce kościelno-universalnej i ogólnospołecznej. Papież przeprowadził podział między bezpośrednio politycznym zaangażowaniem hierarchii i kleru, tzn. miesaniem się do inicjatyw partyjnych i walki o władzę (co odrzucił w uzasadnionej obawie o „instrumentalizację” Kościoła), oraz zaangażowaniem w akcje

społeczną, które winno przejawiać się poprzez zdynamizowanie duszpasterstwa w różnych kręgach społeczeństwa i rozwój tzw. wspólnot podstawowych, czyli doświadczeń i inicjatyw w dziedzinie apostołatu świeckich (co aprobował i do czego zachęcał). Udzielił wyraźnego poparcia uczestnictwu episkopatu w przemianach społeczno-gospodarczych i politycznych. Sankcjonował prawo duchowieństwa do partycypacji i stymulowania procesu reform z myślą przede wszystkim o milionowych masach upośledzonych, żyjących w nędzy, „wydziedziczonych”. Ten drugi rodzaj zaangażowania ma oczywiście polityczną wymowę, ale jako produkt niejako uboczny akcji promocyjnej w stosunku do człowieka i społeczeństwa, które Kościół ma penetrować niezależnie od tego jak się ono artykułuje ideologicznie i politycznie.

Drugie osiągnięcie, którego charakter również wykracza poza wymiar brazylijski i kontynentalny, stanowi odnowiona interpretacja, a raczej adaptacja do nowych wymogów tradycyjnej doktryny społecznej Kościoła. Jan Paweł II nie tylko udzielił poręki „nielegalnym” strajkom metalowców w San Paolo, nie tylko uznał prawo robotników do niezależnych zrzeszeń i przedstawicielstw dla obrony własnych interesów, nie tylko potwierdził z naciskiem, że „na prawie własności ciąży hipoteka społeczna”. Postulował ponadto prawo robotników do „elaboracji i kontroli decyzji w sprawach, które ich bezpośrednio dotyczą”. Jest to ważny krok naprzód w procesie *aggiornamento* katolickiej nauki społecznej.

Jeszcze jedno spostrzeżenie wydaje mi się w związku z ostatnią podróżą papieską ważne. Podczas kiedy demokratyczne rządy Europy, skłóconej i zmerkantylizowanej, są w Brazylii niemalże nieobecne (z wyjątkiem Republiki Federalnej Niemiec²) — Kościół rzymski i europejski wypełnia tę lukę, odpowiadając na wezwanie do udziału w konsolidacji demokratycznych i społecznych procesów w tym kraju, jak w ogólności na terenie całej Ameryki Łacińskiej. Nie jest rzeczą przypadku, że podróż Jana Pawła II nabrała również wymowy politycznej, podkreślając tę polityczną (w ścisłym tego słowa znaczeniu) nieobecność starej Europy, dawnego rezerwuaru migracji na kontynent południowo-amerykański. Znany francuski publicysta katolicki Gérard Leclerc pisze: „Czy Jan Paweł II jest papieżem politycznym? Bezsprzecznie ma do tego upodobanie, ale paradoksalnie tyle samo nieufności. Widzieliśmy to znowu w Brazylii, gdzie nie obawiał się poruszyć wprost wszelkich skandali, bez chęci jednak popchnięcia Kościoła ku zadaniom politycznym, doczesnym. To stanowisko jest z punktu widzenia doktrynalnego bezdyskusyjne. Praktycznie jednak jest trudne. Nie trzeba zapominać,

2. Obecna w Brazylii z gigantycznym programem inwestycji, naukowymi ośrodkami badawczymi i inspiracją polityczną, będącą u źródła regeneracji partii socjaldemokratycznej, najpoważniejszego ugrupowania legalnej opozycji.

że Jan Paweł II nauczył się przezorności w surowej szkole polskiej”.

Polska, Brazylia — tu i tam przezorność jest na pewno potrzebna, nieufność do polityki — uzasadniona. Jan Paweł II jest obdarzony zarówno wyobraźnią jak i dużą intuicją polityczną. W dzisiejszym świecie, w którym zawodowi politycy nie zdają egzaminu ze zdolności przewidywania, dobrze, że przynajmniej Papież stara się być dalekowzroczny.

Dominik MORAWSKI

Pisane 3 sierpnia 1980 r.

SPOTKANIA 5-6

5-6 numer *Spotkań*, ukazującego się w Kraju nieocenzurowanego Pisma Młodych Katolików — *SPOTKANIA*. Książka zawiera m.in. następujące artykuły: Ks. bp I. Tokarczuk: „Perspektywy rozwoju Kościoła w Polsce”; St. Kisielewski: „Kiedy spotkają się piśmiennicze nurty”; Bohdan Sahajdaczny: „Jak widzę przyszłość stosunków polsko-ukraińskich”; Gen. M. Boruta-Spiechowicz: „Z perspektywy lat”; Jerzy Turowicz: „Dialog, pluralizm i jedność”; J.S.: „Gen. Tumidajski i jego żołnierze” oraz liczne dokumenty opozycji demokratycznej w Kraju.

Cena egzemplarza: F. 70,00 lub £ 7,00; \$ 14,00; DM 30,00.

Ks. Adam Boniecki

BUDOWA KOŚCIOŁÓW

W DIECEZJI PRZEMYSKIEJ

BIBLIOTEKA *SPOTKAŃ* — zbiór reportaży napisanych w latach 1976-1978 przez ks. Adama Bonieckiego. Związły zapis i kronika wydarzeń jakie rozgrywały się na terenie diecezji przemyskiej (Ks. Bp. Tokarczuka) w związku z szykanami władz wobec ludzi biorących udział w budowie kościołów i kaplic.

Cena egzemplarza: F. 40,00 lub £ 4,00; \$ 8,00; DM 15,00.

Zamówienia oraz wpłaty prosimy kierować na adres:

Piotr Jegliński 15, Broxholm Road
64, Ave Jean Moulin lub Spotkania
75014 Paris London SE 27

Kraj

Nowy list z Warszawy

Gdy piszę te słowa w drugiej połowie lipca, w całym kraju trwają od trzech tygodni strajki. Rosnące braki zaopatrzenia spychają społeczeństwo na pogranicze głodu. Ciężkie w tym roku warunki klimatyczne — deszcze, częste zmiany ciśnienia i znaczna wilgotność powietrza — pokazały, jak mała jest odporność społeczeństwa na różnego rodzaju choroby i jak bardzo naród polski jest biologicznie zagrożony w dosłownym tego słowa znaczeniu. Społeczeństwo jest zatrutowane mlekiem, z którego odciąga się tłuszcz i zastępuje go białkiem z ryb. Dzieci nie chcą tego mleka pić. Powszechnie odczuwany brak mięsa i wędlin, mimo że ceny ich wzrosły, co właśnie stało się powodem strajków, ma jeszcze jedną wstydliwą a ukrytą stronę. Wszystkie kiełbasy są nasycane sztucznie wytwarzanym białkiem i zawierają niski procent prawdziwego mięsa. Coraz częstsze są zatrucia tymi specjami. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Państwo nie liczy się z dobrem i interesem ludności i oszukuje ją na wszelkie sposoby, by utrzymać równowagę rynkową, która zresztą jest nie do utrzymania. Wymuszony strajkami robotniczymi wzrost płac nie będzie zrównoważony odpowiednią ilością towarów na rynku i spowoduje w najbliższych miesiącach nową katastrofę gospodarczą, ogołocenie rynku ze wszystkich towarów i nową falę protestów społeczeństwa. Można już teraz wątpić, czy pan Gierek i jego *team* wytrzymają to kolejne załamanie. Szczególnie, że z obecnego kryzysu ekipa Gierka zamierza wyjść zaciągając nowe pożyczki zagraniczne, a na samą spłatę wcześniej zaciągniętych kredytów potrzebne będzie tylko w przyszłym roku aż 9 miliardów dolarów.

Nieodpowiedzialność Gierka, który doprowadził do takiej sytuacji, zaczynają rozumieć już nawet oczarowani nim zachodni politycy i nieco mniej pochopnie udzielają PRL bezwarunkowych kredytów. Ale wszyscy także wiedzą, że Gierek utrzymuje się przy władzy tylko dzięki tym kredytom, a ich cofnięcie oznacza-

łoby niewyłączalność kraju zagranicą oraz głód — znów w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wszystko to tworzy kwadraturę koła, z której wyjście byłoby jednak możliwe pod dwoma warunkami:

- 1) gdyby Rosjanie pozwolili na niezbędne reformy w kraju, a przede wszystkim na natychmiastową rezygnację z po cichu przeprowadzanej kolektywizacji i na równie natychmiastowe wsparcie rolnictwa indywidualnego;
- 2) gdyby partia oddała w ręce fachowców prowadzenie spraw gospodarczych, ograniczając się do sprawowania władzy i kontroli politycznej.

Jeśli te dwa najważniejsze ze wszystkich warunki nie zostaną spełnione w 1981 roku, nastąpi katastrofa gospodarcza i polityczna bez precedensu i o nieobliczalnych konsekwencjach.

Do najpilniejszych zadań należy powołanie niezależnego od partii i państwa czynnika społecznego, który mógłby składać się z przedstawicieli Kościoła, katolików świeckich i mających niekwestionowany autorytet moralny przedstawicieli opozycji demokratycznej. Zadaniem tak wyłonionego ciała społecznego powinna być kontrola stanu naturalnego środowiska w kraju. Polska jest bowiem krajem bezmyślnie dewastowanym przez bezplanową i zupełnie nieprzemyślaną rozbudowę przemysłu i budownictwa. Niektóre zaś części kraju (np. Śląsk) są tak zatrute chemikaliami, że przekracza to wszelkie dopuszczalne normy i godzi bezpośrednio w zdrowie i życie obywateli. Byłem niedawno przypadkiem na konferencji poświęconej tej sprawie, w czasie której członek Politbiura i I-szy sekretarz w Katowicach Zdzisław Grudzień bez żenady ujawnił przerażające fakty; wynika z nich, że ludność Śląska jest dosłownie stopniowo zabijana. Gdyby partia oddała choć tę jedną sprawę, która nie godzi przecież w sprawowanie władzy przez PZPR, w ręce społeczne, można by zdziałać wiele dobrego. Redaktor Giedroyc pisał mi już wielokrotnie do Warszawy, że w Polsce należy stworzyć ruch i pismo komentatorów. Równie pilne jest stworzenie w kraju ruchu „zielonych”, przy współpracy wszystkich autorytetów niezależnych, a więc opozycji demokratycznej, autentycznego laikatu katolickiego i hierarchii kościelnej.

Niemal wszystkie grupy opozycyjne w kraju, od KOR-u poprzez PPN do zbliżonego do części rządzącego *establishmentu* DiP-u, opracowały swoje diagnozy katastrofalnej sytuacji w Polsce, wysuwając jednocześnie własne projekty reform. Partia publikacje te po prostu przemilczała. Ale gdy katastrofa osiągnie dno — a nawet członkowie Politbiura przyznają, że dno jeszcze przed nami — trzeba będzie przyjrzeć się opozycyjnym propozycjom reform i w taki lub inny sposób uznać dorobek, znaczenie społeczne i egzystencję polityczną opozycji. Rządzący nie zrobią jej tym uznaniem żadnej łaski. Po prostu zlagodzą w ten sposób skutki katastrofy, którą sprowadzili na kraj.

Parę miesięcy temu pisałem w *Kulturze*, że chwilowo partia dąży wszelkimi siłami do kompromitacji opozycji, wypominając jej m.in. jej stalinowską przeszłość. Pan Wojciech Góral z *Narodowca* (nr 168 z 22. VII. 1980) pisał z maksymalną złą wolą i nieuczciwością, że przekonywałem, iż „największymi wodzami demokratycznej opozycji są najbardziej przekonani i zażarci dawni ubecy i działacze najwyższych władz partyjnych...”. Autor *Narodowca* niestety po prostu kłamie, i to mało inteligentnie. Każdy w Polsce wie, i ja też nic innego nie pisałem, że główne kadry w opozycji stanowi młodzież, która nie ma za sobą żadnej przeszłości, której musiałaby się wstydić. To UB dorabia młodzieży nieistniejącą przeszłość. To nie w opozycji są ubecy — to *Narodowiec* chce wierzyć ubekom.

Dlaczego? Bo wydaje mu się, znów błędnie, że w opozycji większość stanowią byli członkowie partii, lewicowcy i półmarksiści. Ale i to już od dawna nie jest prawdą. Opozycja jest pluralistyczna i podzielona na wiele grup, w tym także formacji katolickich (*Światło — Życie*) lub prawicowych (*Ruch Młodej Polski*). Zamiast więc wskutek ignorancji wietrzyć w opozycji spisek przeciwko chadekom i endekom, należałoby pomyśleć, czy dawne prawicowo-narodowe i centrowo-chadeckie tradycyjne ruchy polityczne w Polsce mają program naprawy na dziś. Jeśli będą miały taki program, nikt ich z polskiego życia publicznego nie wyeliminuje, bo będą w nim potrzebne. KOR i ROPCiO prowadzą już wspólne akcje i strajki głodom. Jedność opozycji i jej współpraca z Kościołem jest nakazem chwili i od niej zależy uratowanie kraju od katastrofy. Dlatego należy ubolewać, że tak przecież zasłużony dla Polonii francuskiej *Narodowiec* ulega resentymentom z przeszłości i walczy z nieistniejącą już sanacją, a nie z zagrażającą kulturze narodowej sowietyzacją.

Powtarzam — kraj jest w przededniu najgroźniejszej być może w swych dziejach katastrofy gospodarczej, biologicznej i politycznej. Każdy głos zaradczy jest na wagę złota. Potrzebne są też głosy konserwatystów, prawicowców i chrześcijańskich demokratów. Ale chodzi o głosy rzeczowe, o propozycje jak wyjść z kryzysu. Natomiast zniesławianie opozycji i bezmyślne ułatwianie partii wpręgania nas do rydwanu sowieckiego na podstawie błędnie zresztą interpretowanej doktryny Romana Dmowskiego jest sprzeczne z interesami narodowymi. Starzy endecy i chadecy, podobnie jak i piłsudczycy, mogli się nieraz mylić, ale w zasadniczych liniach mieli program dla Polski. Jaki program mają ci, którzy powołują się na tradycyjne kierunki polityczne, ale zdolni są tylko ułatwiać grę Moskwie i zwalczać opozycjonistów? Znaczenie każdej orientacji politycznej mierzy się tym, co ma ona — dzisiaj i zaraz — do zaoferowania narodowi, dławionemu zależnością zewnętrzną i katastrofalną polityką wewnętrzną.

Rolnictwo PRL na ślepych torze

Zbliżający się koniec dekady lat 1970-ych zamyka też dziesięciolecie gierkowszczyzny. Warto pamiętać, że zrodziła się ona z kryzysu żywnościowego, którego podstawą był kryzys w rolnictwie. Jakaż jest sytuacja rolnictwa dziesięć lat później?

Pierwsze lata dziesięciolecia przyniosły wprost fenomenalny skok we wzroście produkcji rolnej. Plony zbóż wzrosły z 20,1 q z hektara przeciętnie w pięcioleciu 1966-1970 do 25,5 q w pięcioleciu 1971-75. Przyrost wynoszący 5,3 kwintali z hektara, ponad 1 kwintal rocznie, był dwukrotnie wyższy niż w poprzednim pięcioleciu, gdy wyniósł ogółem 2,8 q, czyli niewiele ponad 0,5 q rocznie. Zbiory zbóż skoczyły z 17 milionów ton rocznie do około 21 milionów ton. Pogłowie bydła wzrosło z 10,8 milionów sztuk w 1970 do 13,3 mln w 1975, czyli o 2,5 mln, podczas gdy w całym poprzednim dziesięcioleciu przyrost ten wyniósł 2,1 mln. Pogłowie trzody chlewnej, główna podstawa produkcji mięsnej w Polsce, podniosło się z 13,4 mln w 1970 do 21,3 mln w 1975. Ten ośmiomilionowy przyrost za pięć lat przewyższał dziesięciokrotnie przyrost za całą poprzednią dekadę.

Spośród czynników, które złożyły się na tak radykalny postęp w produkcji rolnej, dużą rolę odegrała niezwykle korzystna dla rolnictwa pogoda w ciągu paru kolejnych lat. Oficjalna doktryna ekonomiczna i propaganda starały się pomniejszyć rolę tego czynnika. Potem jednak, gdy sytuacja uległa pogorszeniu, w drugiej połowie lat 1970-tych, zaczęto usilnie podkreślać i wyolbrzymiać jego znaczenie, przyznając tym samym silną zależność rolnictwa od pogody, zwłaszcza w okresach jej krańcowych odchyłeń od normy. Drugim czynnikiem były korzystne zmiany wprowadzone w polityce rolnej w stosunku do ludności rolniczej: zlikwidowano ostatnie przeżytki obowiązkowych dostaw, podniesiono ceny produktów rolniczych, poprawiono w pewnym stopniu zaopatrzenie gospodarstw w środki produkcji rolniczej: nawozy sztuczne, maszyny i narzędzia rolnicze, materiały budowlane, węgiel, pasze. Objęto ludność rolniczą państwową opieką zdrowotną. Ogólnym wyrazem tego rzekomo zmienionego stosunku do rolnictwa było sformułowanie zasady, że wszystkie sektory rolnictwa mają swój wkład do wniesienia w jego rozwój i że państwo będzie je wszystkie popierać. Czasem otwarcie a częściej w domyśle dawano do zrozumienia, że państwo wyciągnęło naukę z błędów przeszłości i na przyszłość będzie stawiało na pełny rozwój gospodarstw indywidualnych jako integralnej części polskiego rolnictwa w możliwej do przewidzenia przyszłości.

Szczególne znaczenie dla radykalnej poprawy sytuacji w rolnictwie miał fakt, że korzystne urodzaje zbiegły się ze zmianą

postawy kierownictwa politycznego w stosunku do importu zbóż i pasz.

Do momentu rewolty robotniczej w grudniu 1970 roku narzucano gospodarce politykę maksymalnej autarkii rolniczej, sprowadzającej się do ograniczenia importu pasz a eksportowania produktów zwierzęcych, celem skompensowania, przynajmniej w znacznej części, kosztów tego importu. Szkodliwość tej polityki polegała na tym, że z jednej strony ograniczała i hamowała ona wzrost produkcji w gospodarstwach rolnych, w szczególności hodowli trzody chlewnej w gospodarstwach indywidualnych, z drugiej zaś strony obniżała poziom spożycia ludności, zwłaszcza mięsa, które w konkretnych polskich warunkach niktym możliwości awansu konsumpcyjnego poprzez mieszkanie, samochód, turystykę etc. stało się głównym miernikiem i symbolem wysokiej stopy życiowej. Zaniechanie tej polityki odegrało bardzo dużą rolę w przyspieszeniu rozwoju rolniczego wczesnych lat siedemdziesiątych i osiągnięciu radykalnej poprawy w poziomie spożycia, której najbardziej wymownym wykładnikiem był statystyczny wzrost spożycia mięsa i wyrobów mięsnych w przeliczeniu na mieszkańca z 53 do 70 kg między 1970 a 1975 rokiem. Ten wzrost, osiągnięty w ciągu pięciu lat, równał się dokładnie postępowi w tej dziedzinie osiągniętemu w ciągu poprzedzających 20 lat (1950-1970).

Ożywienie w rolnictwie wczesnych lat 1970-ych nie trwało jednak długo. Zakończyło się ono jeszcze przed końcem pierwszej pięcioletki lat siedemdziesiątych. W roku 1976 trudności żywnościowe i niezręczne manewry wokół cen żywności doprowadziły do znanego nowego wybuchu w czerwcu tego roku i kompromitacji kierownictwa.

W drugiej połowie lat 1970-ych rolnictwo weszło w okres długotrwałej stagnacji, ujawniającej, z perspektywy roku 1980, stan głębokiego kryzysu. Przeciętny poziom produkcji globalnej rolnictwa w latach 1976-79 był zaledwie o 5,2 % wyższy niż średnio w pięcioleciu 1971-75 (Mały Rocznik Statystyczny 1980, str. 136). Oznacza to, że przeciętne roczne tempo wzrostu produkcji globalnej rolnictwa spadło w tym okresie do 1,0-1,2 %. Ponieważ stopa przyrostu naturalnego ludności wynosiła w tym okresie 1,0 lub nieco więcej, poziom produkcji globalnej na głowę ludności nie wzrastał w ogóle. Jeśli w miejsce produkcji globalnej postużyć się tzw. produkcją końcową, to znaczy zignorować fakt rosnącego importu zbóż jako podstawy wzrostu produkcji rolnej, wzrost na głowę ludności będzie rzędu 1 % rocznie. Liczby te mogą posłużyć za miarę osiągniętego kryzysu produkcji rolniczej. Wskazują one, że o własnych siłach rolnictwo nie było w stanie uczynić nic więcej niż dotrzymać kroku wzrostowi ludnościowemu i tylko za cenę importu zbóż mogło ono przynieść skromny wzrost produkcji na głowę ludności.

Za konkretyzację procesów kryjących się za ogólnymi pojęciami produkcji globalnej i końcowej niech posłuży parę bardziej konkretnych liczb.

Otóż przeciętne roczne plony zbóż w latach 1976-79 spadły do poziomu 24,3 q w stosunku do 25,1 q w latach 1971-75, a zbiory zbóż z 20,6 mln ton do 19,8 mln ton. Pogłowie bydła spadło z 13,3 mln w 1975 do 13,0 mln w 1979 roku, a stan pogłowania trzody chlewnej wynoszący w 1975 roku 21,3 mln spadł i powrócił do 21,2 mln dopiero w 1979 roku.

Stagnacja poziomu spożycia żywności znajduje wyraźne odbicie nawet w świetle oficjalnych danych statystycznych, których ścisłość staje się, nawiasem mówiąc, coraz bardziej podejrzana. Kluczowy wskaźnik — spożycie mięsa na głowę ludności — wynosił 70,3 kg w 1975 r., 70,0 kg w 1976 r., 69,1 kg w 1977 r., 70,6 kg w 1978 r. i tylko w 1979 jakoby 73,0 kg. Są przesłanki rzucające cień na tę ostatnią liczbę. (W Wytycznych na VIII Zjazd partyjny w październiku 1979 r. np. poziom przewidziany na 1980 wynosi 71-72kg. Niektóre przewidywania z listopada 1979 r. mówiły nawet wyłącznie o 71 kg; *Życie Gospodarcze* Nr 46, 18.11.1979, str. 3, Z.D.). Obserwacje sytuacji rynkowej niczym nie wskazują na tak odczuwalną poprawę w spożyciu mięsa w 1979 roku, jaką musiałaby spowodować wzrost o 2,5 kg w jednym roku. Wyłączywszy 1979 rok, stagnacja była absolutna. Jednakże nawet przyjmując oficjalne dane, lecz uwzględniając fakt pogorszenia się struktury i jakości mięsa w sprzedaży (szczególnie zastępowanie wieprzowiny i wołowiny przez drób) rzekoma poprawa w 1979 roku jest wątpliwa nawet w świetle oficjalnego wskaźnika 73 kg na głowę.

Spożycie mleka wynosiło 264 litry na głowę ludności w 1975 i 1979 roku i tyleż samo lub nieco mniej we wszystkich latach pośrednich. Poziom ten niewiele się zmienił od 1970 roku, kiedy to wynosił 262 litry na głowę. Ponieważ mięso i mleko dostarczają 83 % białka zwierzęcego w polskim wyżywieniu dziennym, brak postępu w spożyciu tych dwóch produktów przesądza o braku postępu w poprawie tego wyżywienia.

Najpoważniejszym objawem kryzysu w jakim znalazło się rolnictwo jest sytuacja w handlu zagranicznymi produktami rolniczymi. Tradycyjnie bilans w tym handlu był dodatni dla Polski i w poważnym stopniu zasiliał kraj strumieniem twardych dewiz, niezbędnych dla wzrostu gospodarczego. Jednakże począwszy od wczesnych lat siedemdziesiątych bilans ten zaczął wykazywać systematycznie rosnący deficyt, który w 1973 roku wynosił 53 miliony dolarów, w 1975 roku — 400 milionów a w 1979 roku ponad 900 milionów dolarów. Główną przyczyną silnie rosnącego deficytu rolniczego był gwałtowny wzrost importu zbóż i pasz, bowiem krajowa ich produkcja nie nadążała za potrzebami wzrostu produkcji zwierzęcej, wynikającymi ze wzrastającego popytu na nią ze strony konsumentów. Rozpiętość między krajowym popytem na produkty zwierzęce i niewystarczającymi możliwościami jego pokrycia rozszerzała się systematycznie i nieprzerwanie w ciągu całego okresu lat 1970-ych w wyniku narastającego i pogłębiającego się kryzysu w produkcji

zbóż i pasz, będącego bezpośrednim wynikiem fałszywej polityki produkcyjnej w rolnictwie.

Celem niniejszego artykułu jest wypunktowanie najważniejszych elementów, które zrodziły tę fałszywą politykę. Ponieważ rosnący deficyt zbożowy stanowi jądro problemu, warto od niego zacząć. Po pierwsze należy sobie uświadomić jego skalę. Na początku dekady import zbóż i pasz wysokobiałkowych wynosił mniej niż 3 miliony ton rocznie i był, jak już powiedzieliśmy, kompensowany nadwyżką eksportu produktów zwierzęcych. Nosił w związku z tym wyraźne oznaki typowego importu uszlachetniającego, który tym samym sam siebie w dużym stopniu ekonomicznie uzasadniał. W 1975 roku import ten wzrósł o ponad 50 % do z górą 4,5 mln ton i osiągnął 8,6 mln ton w 1976 r., trzy razy tyle co w 1970 r. Jego koszty w ciągu lat 1970-ych wyniosły ogromną — jak powiada A. Kapuściński (*Gospodarka Planowa* Nr 11/1979) — kwotę 8 mld dolarów". Czytelnik może zestawiać tę liczbę z ogólnym ciężarem zadłużenia Polski w stosunku do Zachodu, szacowanego na 18 mld dolarów, żeby sobie lepiej uświadomić cenę jaką przyjdzie gospodarce narodowej zapłacić za błędy polityki produkcyjnej, o których będzie mowa.

Jedną z głównych przyczyn niedostatecznej produkcji zbóż i pasz jest spadek powierzchni zasiewów pod zbożami i ziemniakami, w przypadku zbóż z 8.346 tys. ha w 1970 r. do 7.872 tys. ha w 1979 r. i w przypadku ziemniaków z 2.732 tys. ha do 2.440 tys. ha w tym samym okresie. Większość tego arealu została przekazana pod uprawę mniej wydajnych w produkcji zwierzęcej upraw pastewnych w wyniku przyspieszonego przepływu ziemi rolniczej z indywidualnych do uspołecznionych gospodarstw rolnych (głównie PGR). Podczas gdy w gospodarstwach prywatnych zboża zajmują 57,6 % powierzchni zasiewów a ziemniaki 19,3 %, to w państwowych gospodarstwach te dwie główne uprawy są ograniczone do 43,7 % (zboża) i 7,0 % (ziemniaki). Przepływ ziemi z indywidualnych gospodarstw do społecznych jest związany ze zmniejszeniem uprawy podstawowych i najbardziej efektywnych roślin, zbóż i ziemniaków, i ich zastąpieniem mniej wydajnymi i efektywnymi, lecz łatwiejszymi w uprawie roślinami preferowanymi przez uspołecznione gospodarstwa.

W latach 1970-ych dokonało się gwałtowne przyspieszenie transferu ziemi z gospodarstw indywidualnych do socjalistycznych. W poprzednim 10-leciu (lata sześćdziesiąte) objął on 350 tys. ha, czyli 35 tys. ha rocznie, w obecnym dziesięcioleciu (do 1977) 840 tys. ha, czyli 120 tys. ha rocznie. Przesunięcie w strukturze posiadania ziemi między socjalistycznym i prywatnym sektorem rolnictwa w okresie 1970-1979 przedstawia się następująco: w 1970 r. sektor socjalistyczny — 24,9 %, indywidualny — 75,1 %, w 1979 r. odpowiednio 31,6 % i 68,4 %. Analiza sposobu zagospodarowania ziemi pozyskanej przez gospodarke socjalistyczną w latach 1960-ych i 1970-ych ujawnia, że poprzednio około 50 % tej pozyskanej ziemi zasiewano zbożami (47,1 %) i ziemniakami

(2,0 %), zaś w latach 1970-ych tylko 31 % poświęcono pod zboża, a pod ziemniaki nic. W zasadzie nowo nabyta ziemia służy pod zasiewy pasz zielonych i we wzrastającej ilości kukurydzy na zielono. Wskazuje to wyraźnie na zmniejszającą się zdolność absorpcyjną ziemi przez uspołecznione gospodarstwa.

Spadek zasiewów pod ziemniakami ma szczególne znaczenie dla polskiego rolnictwa, gdyż warunki glebowe, klimatyczne i ekonomiczne czynią je jedną z najbardziej wydajnych roślin. Przebieg plon ziemniaków z hektara za lata 1971-75 daje się przeliczyć na ekwiwalent 44,3 jednostek zbożowych w porównaniu z 25,4 w zbożu. Jest on uzyskiwany na średnio gorszej glebie, za cenę niższych dawek nawozów sztucznych i przy pomocy niższych ogólnie kosztów rzeczowych, zwłaszcza kupnych materiałów. Jedynym nakładem, który wymagany jest w stosunkowo wyższym wymiarze, jest żywa praca. Jest to więc roślina idealnie dostosowana do ekonomiki drobnego gospodarstwa. Zalety ziemniaka są spotęgowane dzięki dobrym jego właściwościom karmowym, przede wszystkim w hodowli trzody chlewnej, ale też i bydła.

Zaniedbania polityki rolnej w stosunku do ziemniaków polegają przede wszystkim na zupełnym zignorowaniu potrzeb indywidualnych gospodarstw w zakresie drobnej mechanizacji, która umożliwiłaby utrzymanie odpowiedniego poziomu kultur. Jeden z rzeczoznawców krajowych pisał niedawno: „Przynajmniej od dwudziestu lat pojawiają się zapowiedzi bardzo szybkiego wycofania się rolnictwa z uprawy ziemniaków na paszę... Pod ich wpływem zrezygnowano... z prac nad specyficznym dla naszego rolnictwa problemem gospodarki ziemniakami zużywanymi na paszę i — co gorsze — z produkcji maszyn i narzędzi, nawet tych bardzo prostych”. (A. Leopold, „Dlaczego ziemniak przegrą”, *Życie Gospodarcze* Nr 23/1978, str. 6-7).

Równoległe z tą fałszywą polityką, która doprowadziła do poważnej redukcji zasiewów zbóż i ziemniaków, kontynuowano taką politykę dystrybucji nawozów sztucznych, która przez nadmierne uprzywilejowanie gospodarstw państwowych i dyskryminację gospodarstw prywatnych pomniejsza efektywność ich wpływu na przyrost plonów. Dawki nawozowe w gospodarstwach państwowych utrzymywane są na dwukrotnie wyższym poziomie niż w gospodarstwach indywidualnych. Te ostatnie odczuwają brak nawozów, których używa się często w nadmiarze w gospodarstwach państwowych. Badania Instytutu Ekonomiki Rolnej (publikacje E. Kurek) sugerują wyraźnie, że bardziej równomierny rozdział nawozów między oba sektory rolnictwa mógłby podnieść ich efektywność na wzrost plonów.

Tak więc zarówno w kształtowaniu powierzchni zasiewów zbóż i ziemniaka jak też plonów, zwłaszcza zbóż, polityka rolna odegrała zdecydowanie negatywną rolę, hamując wzrost ich produkcji lub nawet, co nie jest wykluczone, powodując jej spadek.

Z drugiej strony pewne dalsze aspekty tej polityki powodo-

wały poważny spadek efektywności skarmiania zbóż i nadmierny wzrost ich zapotrzebowania w hodowli. Jednym z nich jest wspomniana dyskryminacja produkcji ziemniaczanej, która pobudzała proces wypierania ziemniaka i nadmiernego zastępowania go przez zboże w technologii hodowlanej drobnych gospodarstw. Proces taki byłby procesem naturalnym w miarę zmniejszania się zasobu siły roboczej w gospodarce indywidualnej, choć mógłby być poważnie opóźniony, gdyby postępująca technizacja tych gospodarstw, stosunkowo mała i niekosztowna, ku temu się przyczyniła. Byłoby to jedyne uzasadnione rozwiązanie w polskich warunkach stagnacji zasobu siły roboczej w drobnych gospodarstwach i zdecydowanie niższej wydajności energetycznej z hektara upraw zbożowych w porównaniu z ziemniaczanymi. Pod tym względem sytuacja polskiego rolnictwa jest diametralnie odmienna niż w krajach, gdzie uprawa kukurydzy pastewnej sprawia, że stosunek upraw zbożowych do ziemniaczanych jest odwrotny niż w Polsce. Jednakże najpoważniejszym czynnikiem obniżającym efektywność skarmiania zbóż stała się polityka prowadząca do ograniczania hodowli indywidualnych i rozszerzenie jej w uspołecznionych gospodarstwach. W 1970 roku udział gospodarstw indywidualnych w produkcji zwierzęcej wynosił 85,8 %, a w gospodarstwach socjalistycznych 14,2 %. W 1978 roku proporcje te zmieniły się na 75,4 % i 24,6 %. W produkcji wieprzowiny, podstawy produkcji mięsnej w Polsce, proporcje te wynosiły 86,5 % i 13,5 % w 1970 r., a w 1978 r. 64,7 % i 35,3 %. Następowo systematyczne i świadome wypieranie drobnych gospodarstw z hodowli i forsowne jej przemieszczanie do gospodarstw socjalistycznych. Instrumentem tej polityki była dystrybucja pasz zbożowych i mieszanek wysokobiałkowych. Ich sprzedaż była w dużym stopniu racjonowana i oparta na dostawach produktów hodowli do punktów skupu. System ten oparty jest na silnym uprzywilejowaniu gospodarstw uspołecznionych (często, jak w wypadku kółek rolniczych, poza wszelkie granice zasad ekonomii i rozsądku) i upośledzeniu drobnych gospodarstw zwłaszcza w zakresie produkcji na potrzeby własne i targowiskowe.

Warto przyjrzeć się niektórym typowym liczbom. W 1977 r. przydział pasz zbożowych dla gospodarstw socjalistycznych wynosił 1.079 kg, a w spółdzielniach produkcyjnych aż 1.830 kg, na 1 przeliczeniową sztukę dużą zwierząt gospodarskich. W gospodarstwach indywidualnych tylko 389 kg. Należy pamiętać, że pasze zbożowe sprzedawane przez państwo są silnie przez nie subwencjonowane, w wyniku czego następuje poważne subwencjonowanie produkcji hodowlanej w sektorze socjalistycznym.

Odnośnie ograniczania hodowli w drobnych gospodarstwach warto zwrócić uwagę na fragmentaryczne co prawda, lecz zdecydowanie pouczające dane Centralnego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska”, według których gospodarstwa do 5 ha sprzedały w 1973 roku 6,9 miliona sztuk kontrak-

towanej trzody chlewnej czyli 54,1% całego skupu trzody. (L. Staszyński, *Życie Gospodarcze* Nr 14/1979, str. 6). W 1977 roku dostawy trzody z tej grupy gospodarstw spadły do mniej niż połowy i wyniosły tylko 3,4 mln sztuk. Podczas gdy w 1973 roku dostawy bydła rzeźnego z tej grupy gospodarstw stanowiły 46,6% ogółu dostaw, to w 1977 roku spadły one do 37,0% tych dostaw. Dane GUS wskazują, że w 1977 r. 35% ogółu gospodarstw indywidualnych, głównie oczywiście drobnych, nie chowało w ogóle świń, a 28% nie chowało bydła. Ponad 20% nie chowało żadnego inwentarza żywego. Z badań Instytutu Ekonomiki Rolnej wynika, że około 1/3 gospodarstw bezinwentarzowych zostało zepchniętych do tej pozycji w latach 1975-78 (A. Bulak, *Życie Gospodarcze*, Nr 11/1979, str. 6). Według oceny jednego z autorów (Staszyński, *tamże*) około 2-3 miliony drobnych gospodarstw, które zwykły uprzednio zaopatrywać się w mięso wieprzowe z własnej hodowli, musiały jej zaniechać i zwrócić się o zaopatrzenie do pozbawionej towaru państwowej sieci handlowej.

Obok dyskryminacji w zaopatrzeniu paszami treściwymi drugim co do ważności instrumentem, przy pomocy którego państwo wyparło drobnego hodowcę, był mechanizm rynkowy uruchomiony dla rozwinięcia hodowli w gospodarstwach uspołecznionych. Nie posiadając własnego materiału wyjściowego dla hodowli (prosięta), gospodarstwa te skierowały się na rynek żeby się w nie zaopatrzyć. Konkurując z drobnymi producentami, którzy tradycyjnie nabywali prosięta na rynku, gospodarstwa socjalistyczne podbijały cenę oferując producentom prosiąt tzw. kooperację, w której oprócz korzystnych cen gwarantowano także pewne dodatkowe korzyści. Podczas gdy cena żywca wieprzowego wzrosła w 1977 roku o 79% w stosunku do 1970 roku, cena prosiąt podniosła się o 128%. Dla drobnego hodowcy chów trzody chlewnej stał się zupełnie nieopłacalny.

Warto tu zwrócić uwagę, że opisane tendencje są wręcz przeciwnie tym, które w tym samym czasie pobudzone zostały w rolnictwie węgierskim. Tutaj polityka gospodarcza rozwinięła cały wachlarz bodźców dla zintensyfikowania przydomowej hodowli zwierząt domowych, a szczególnie trzody chlewnej, w możliwie najszerszym zakresie. Nie tylko ludności rolniczej dano warunki wykorzystania jej dużego potencjału marginalnej siły roboczej i budynków gospodarczych; te same możliwości stworzono także ludności nierolniczej, posiadającej po temu warunki. W konsekwencji ponad połowę ogólnej produkcji trzody uzyskuje się na Węgrzech od tego typu producentów. Wpłynęło to na radykalną poprawę zaopatrzenia na rynku wewnętrznym, obniżyło koszty produkcji i dało duże nadwyżki eksportowe.

W Polsce w sposób logiczny i nieuchronny zaszło coś wręcz odwrotnego: produkcja spada, koszt jej wzrósł, eksport zmalał, nastąpiła konieczność wzmoczonego importu zbóż i pasz. Przesunięcie hodowli od drobnych producentów do uspołecznionych przedsiębiorstw oddziaływało ujemnie na zapotrzebowanie na pa-

sze zbożowe z jeszcze jednego istotnego względu. Przeliczając różne produkty zwierzęce (mięso, mleko, jaja, weinę) na tzw. ekwiwalent mięsny, Z. Grochowski z Instytutu Ekonomiki Rolnej stwierdza, że w przeliczeniu na 1 kg produkcji zwierzęcej nakład pasz zbożowych wynosił 1,87 kg w pięcioleciu 1961-65, 2,08 kg w pięcioleciu 1966-70, 2,66 kg w okresie 1971-75 i aż 3,06 kg w okresie 1976-78 (*Życie Gospodarcze*, Nr 9/1979, str. 6). Zróżnicowanie zbożochłonności produkcji zwierzęcej między różnymi typami przedsiębiorstw rolnych jest bardzo duże. Na przeciętny nakład 3,06 kg zbóż na 1 kg produkcji zwierzęcej w latach 1976-1978 składa się wskaźnik 2,80 kg w gospodarstwach indywidualnych i 3,96 kg w gospodarce uspołecznionej (niewiarygodne 5,54 kg w tuczarniach przedsiębiorstw i 6,15 kg na farmach kółek rolniczych). W dodatku rozpiętość między indywidualnymi i uspołecznionymi gospodarstwami wskazuje wyraźną tendencję rosnącą. Podczas gdy w latach 1966-70 gospodarstwa uspołecznione zużywały 36% więcej pasz zbożowych dla wyprodukowania 1 kg produktów zwierzęcych, w okresie 1976-78 zużywały one 42% więcej.

Dodatkowym czynnikiem zmniejszającym efektywność pasz zbożowych jest błędna polityka importowa, oparta na fałszywym, powszechnie przez ekspertów potępionym preferowaniu zbóż pastewnych kosztem pasz białkowych (śruta sojowa, makiuchy, mączki rybne itp.). Polski bilans paszowy odznacza się nie tylko deficytem pasz, lecz białka pastewnego w szczególności. Pasza zbyt uboga w białko nie jest właściwie przyswajana przez organizm zwierzęcy, tak że karmienie zwierzęcia paszą o niedostatecznej zawartości białka jest równoznaczne z marnotrawieniem odpowiedniej ilości paszy energetycznej, czyli w polskim przypadku importowanego zboża. Jego efektywne wykorzystanie wymaga odpowiedniej koncentracji białkowej, właściwej dla danego zwierzęcia, jego wieku i potencjalnej produktywności. Mimo usilnych apeli ze strony rzeczoznawców nie udaje się aparatowi handlu zagranicznego spełnić ich postulatów. Innym źródłem dużych strat jest narzucony rolnictwu przez politykę gospodarczą zupełnie w polskich warunkach nieracjonalny system gospodarki paszami zbożowymi i ich dystrybucji. Żeby zapewnić sobie kontrolę nad dystrybucją, państwo skupuje zboże pastewne od gospodarstw rolnych, przetwarza je na zbożowe mieszanki pastewne, po czym z powrotem sprzedaje je gospodarstwom. W międzyczasie zboże jest wielokrotnie transportowane w warunkach dużego niedomogu transportu w gospodarce narodowej, a dostawy pasz do rolnictwa stają się nieregularne i niepewne. Sam ten fakt ma wielce ujemne skutki na efektywność procesów tuczu. W dodatku jakość mieszanek paszowych pozostawia wiele do życzenia z powodu zanizonej koncentracji białkowej, złej jakości składników i zbyt wąskiego wachlarza mieszanek (różne potrzeby różnych zwierząt). Znacznie właściwszy dla polskich warunków byłby prawdopodobnie system, który po-

legałyby na sprzedaży mączek i makuchów gospodarstwom, które same regulowałyby sposób ich podawania zwierzętom. W każdym razie nie widać żadnych racji, dla których oba systemy nie mogłyby współistnieć.

Zjawisko wysokiej i rosnącej zbożochłonności w gospodarstwach uspołecznionych jest tylko pewnym konkretnym i szczególnym przypadkiem znacznie ogólniejszej ich właściwości, jaką jest duża i rosnąca kapitałochłonność, czyli zwiększenie kosztów kapitałowych (rzeczowych) na jednostkę produktu rolnego. Proces ten, który charakteryzuje każde technicznie rozwinięte rolnictwo, ma swoją rację ekonomiczną w tym, że towarzyszy mu zwykle znacznie silniejszy od wzrostu kosztów kapitałowych na jednostkę produktu rolnego spadek kosztów żywej pracy na jednostkę tego produktu, co powoduje ogólny spadek kosztu jednostki produktu rolnego.

Niestety w polskich gospodarstwach socjalistycznych wzrost kapitałochłonności nie idzie w parze ze spadkiem kosztów jednostkowych produkcji rolniczej. Kalkulacje tego typu są wielce skomplikowane i można je łatwo manipulować, przyjmując odpowiednie założenia. Dlatego też oficjalne szacunki są często w stanie wprowadzić w błąd (przyjęcie nierealnie niskiej stopy amortyzacji środków trwałych, ominięcie lub zaniżenie oprocentowania kapitału, zignorowanie subwencji na środki produkcji rolnej, np. pasz, nawozów itp.). Jednakże przy rzetelnym podejściu do kontrowersyjnych problemów metodologicznych można je w zadawalającym stopniu przezwyciężyć i wówczas uzyskany obraz jest w przybliżeniu taki, jak ten, który przedstawia W. Herer (*Zagadnienia Ekonomiki Rolnej* Nr 6/1978, str. 13-30). Stwierdza on, że „niższy poziom pracochłonności w sektorze PGR nie kompensuje wyższego zużycia w nim majątku i materiałów, co wyrażało się w tym, iż całkowity koszt produkcji w sektorze PGR był w 1975 roku (jednolite oprocentowanie, ceny i płace z 1971 roku) o 40 % wyższy niż w sektorze gospodarstw indywidualnych”.

Fakt ten ma niezwykle poważne implikacje dla polskiego rolnictwa. Kryzys jego produktywności jest w bardzo poważnym stopniu związany z niewydolnością przemysłów zaopatrujących rolnictwo w podstawowe środki produkcji. Np. w przemyśle traktorowym nie uruchomiono praktycznie żadnych nowych mocy produkcyjnych w ciągu całej dziesięcioletniej, a od 1974 roku produkcja niewiele wzrosła. W 1976 roku poważnie obcięto eksport ciągników, a od 1977 roku Polska przekształciła się z wieloletniego eksportera netto w importera netto ciągników. Według oficjalnej oceny Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa (IBMER) przypadek traktorów jest tylko szczególną ilustracją ogólnego opóźnienia w realizacji planów technologicznych rolnictwa. Brak części zamiennych i mocy reperacyjnej jest odwieczną plagą. Produkcja licencyjna ciągników Massey-Fergusson jest opóźniona o szereg lat, a perspekty-

wy osiągnięcia pełnej mocy produkcyjnej przesunięte do pięcioletki 1985-1990. Produkcja maszyn towarzyszących zaspokaja potrzeby w zupełnie niewystarczającej części, a produkcja kombajnów we wręcz nikłej proporcji: „... żaden dotychczasowy plan dostaw środków technicznych dla rolnictwa nie został wykonany... nie będzie wykonany także bieżący plan” (Z. Wójcik, *Wies Współczesna*, Nr 4/1979, str. 29).

Podobnie, a może nawet gorzej przedstawia się sytuacja w przemyśle nawozów sztucznych. Tutaj także nie uruchomiono żadnych nowych mocy produkcyjnych. Od 1976 roku notuje się stagnację poziomu nawożenia. Bieżący plan pięcioletni przewidywał na 1980 rok nawożenie w wysokości ok 250 kg czystego składnika na 1 hektar użytków rolnych (osiągnięto 190 kg w 1979 roku). Nowy plan przewiduje na 1985 rok tylko 230-250 kg, innymi słowy planowany wzrost został opóźniony o 5-7 lat. Perspektywy wzrostu produkcji nawozów, zwłaszcza azotowych, stoją pod znakiem zapytania jako rezultat światowego kryzysu ropy naftowej i energii.

W tych warunkach cały kurs gierkowskiej polityki rolnej znalazł się w ślepej uliczce. W maju zeszłego roku oficjalny doradca Gierka w sprawach rolnych, dyrektor Instytutu Ekonomiki Rolnej prof. A. Woś argumentował w *Nowych Drogach* (Nr 5/1979): „Z analiz makroekonomicznych i długookresowych prognoz rozwoju rolnictwa wynika, że w latach 1981-1995 powinna się dokonać zasadnicza rekonstrukcja polskiego rolnictwa przy jednoczesnym zaawansowaniu procesu społeczno-ekonomicznej przebudowy chłopskiego rolnictwa... Przejście od tradycyjnych chłopskich technik wytwarzania do nowoczesnych metod produkcji dokonywało się wszędzie w historycznie krótkim okresie 10-15 lat. Nic nie wskazuje na to, aby w Polsce miało być inaczej”.

Argumentacja ta wynikała z linii partii, ustalonej we wczesnych latach 1970-ych, kiedy to seria dobrych urodzajów przewróciła kierownictwu w głowie i spowodowała wyznaczenie lat 80-ych jako okresu, w którym Polska wyrówna swoje opóźnienie w stosunku do bratnich krajów z obozu i skolektywizuje rolnictwo.

Analitycy zajmujący się sprawami Polski przeoczyli niezwykle interesujące implikacje przyjętego na XV Plenum KC w 1974 r. Programu Rozwoju Gospodarki Żywnościowej. Jego kwintesencję w zakresie zamiarów kolektywizacyjnych można wyczytać z następujących wskaźników (tabela na str. 74).

Najbardziej wymowne są oczywiście wskaźniki planowane na dekadę lat 80-ych. W powojennej historii polskiego rolnictwa nigdy nie doświadczonego tak słabego wzrostu plonów i zbiorów jak założony w Programie Rozwoju Gospodarki Żywnościowej na te lata. Założenia te mają uzasadnienie tylko w kontekście zamierzonej kolektywizacji, która musiałaby taki, lub nawet znaczniejszy spadek tempa wzrostu produkcji spowodować.

Organiczna słabość polskiego rolnictwa, która się ujawniła w ostatnich latach, zmusiła widocznie polityków partyjnych do

Programowy wzrost produkcji rolnej w dziesięcioleciach

	1970 - 1980		1980 - 1990	
	Indeks	Roczna stopa wzrostu	Indeks	Roczna stopa wzrostu
Plony:				
zboża	159-169	4,7-5,4	100-129	1,0-2,6
ziemniaki	120	1,8	118	1,7
buraki cukrowe ..	122	2,0	105	0,5
oleiste	122	2,0	104-114	0,4-1,3
siano łąkowe	129	2,6	110-118	1,0-1,6
Zbiory:				
zboża	163-173	5,0-5,7	112-126	1,1-2,3
ziemniaki	105	0,5	84	-2,1
buraki cukrowe ..	149	4,1	111	2,5
oleiste	150	4,1	128	3,3
siano łąkowe	126	2,3	101	1,2

pewnego otrzeźwienia. Cytowany wyżej A. Woś, który w maju 1979 roku argumentował za koniecznością kolektywizacji w latach 1981-95, tłumaczył parę miesięcy później dziennikarzowi *Życia Gospodarczego*: „... Nie przypuszczam, abyśmy mogli zrealizować w bliższym czy nawet odleglejszym czasie ten model rekonstrukcji technicznej rolnictwa, który wykształciły wysoko rozwinięte kraje. Nie pozwolą na to bilanse surowców, materiałów i energii... Prawdopodobnie nie będziemy w stanie zrealizować tego, co nazywamy jednorazowym „przekuciem” całego aparatu wytwórczego w rolnictwie. Obok enklaw nowoczesnej techniki będą musiały istnieć spore obszary technologii i technik tradycyjnych, 'chłopskich'” (*Życie Gospodarcze*, Nr 49/1979).

Na ostatnim zjeździe partyjnym w lutym tego roku Gierek ponowił obietnicę popierania *wszystkich* sektorów rolnictwa. Wygląda na to, że rolnicy polscy wyciągnęli jedną korzyść z kryzysu ostatnich lat — zawieszenie egzekucji.

Nie jest jednak pewne, czy sama kolejna zmiana akcentów jest w stanie odwrócić spadkowy trend, na jaki gospodarka chłopska została przez dłużej wysiłki polityki rolnej zepchnięta. Upadek gospodarki chłopskiej nabrał już, jak się zdaje, własnego rozmachu. W nadchodzącym dziesięcioleciu nastąpi naturalna likwidacja poważnej liczby gospodarstw chłopskich z powodu braku następców. Szacuje się, że ich liczba zmniejszy się o 800 tysięcy i posiadana powierzchnia spadnie o 2,8 mln ha w perspektywie 1990 roku. Z konieczności większość tej ziemi przejdzie do sektora socjalistycznego i będzie wołać o środki kapitałowe dla efektywnego zagospodarowania, na które gospodarki polskiej nie stać, więc ich nie otrzyma i będzie kuleć.

Prywatnie ludzie w Polsce zdają sobie dziś sprawę, że jedyną racjonalną drogą rozwoju polskiego rolnictwa byłby rozwój, unowocześnienie i poprawa struktury gospodarki rodzinnej oraz jej techniczna modernizacja. Wynaleziono nawet kryptonim „gospodarstwo specjalistyczne”, pod hasłem którego taki proces mógłby się odbywać bez prowokowania ideologicznych uprzedzeń, zwłaszcza u sąsiadów. Jest jednak wątpliwe, czy w obecnej rzeczywistości polskiej ta wielce spóźniona inicjatywa ma jakiegokolwiek szanse sukcesu. Jej powodzenie wymagałoby nie tylko całkowitej zmiany klimatu kulturalno-ideologicznego, ale też radykalnego przestawienia przemysłów obsługujących rolnictwo oraz całej gospodarki narodowej w kierunku adaptacji i asymilacji nowoczesnego rozwiniętego gospodarstwa rodzinnego jako podstawy ustroju rolnego. Wydaje się to równoznaczne z przystawowym domaganiem się od diabła, żeby się nie bał święconej wody*.

Zygmunt KOZŁOWSKI

* Artykuł niniejszy stanowi część obszerniejszego studium pt. *Socialism and Family Farming: Yugoslavia, Hungary, Poland* pod egidą *Social Science Research Council* w Wielkiej Brytanii.

Francuski minister kultury w Warszawie

Francuscy ministrowie tak często jeżdżą do Polski, że dzienniki odnotowują te podróże w kilku wierszach. Przed każdą podróżą p. Giscard d'Estaing liczbą ich się zwiększa. W trzy dni po spotkaniu prezydenta Francji z Breżniewem, przygotowanym (?) przez Gierka, pojechał do Warszawy francuski minister handlu zagranicznego, co dało pretekst do złośliwych uwag.

Wizyta ministra kultury Jean-Philippe Lecat (16-20 lipca br.) stała pod znakiem przygotowania wrześniowej podróży (czwartej, nie licząc spotkania z Breżniewem) prezydenta Francji.

Złośliwi twierdzą, że kiedy dyplomaci nie mają sobie nic do powiedzenia, podpisują umowę kulturalną. Nie twierdzimy, że p. Lecat brakowało tematów do rozmów ale sprawozdania prasowe z wyników tej wizyty były — jak na nasz gust — trochę mętne.

Jeśli chodzi o odnawianie miast i dzieł sztuki, dziedzina w której Francuzi chcą się nauczyć czegoś od Polaków na grudniowym kongresie w Nancy, to projekt zdaje się zupełnie realny. Polacy mieli trochę więcej do odnawiania i restaurowania po ostatniej wojnie niż Francuzi.

Wystawa polska w paryskim Centre Pompidou w przyszłym roku i wystawa w Warszawie, poświęcona gen. de Gaulle, są także możliwe do wykonania.

Następny punkt, to znaczący sprzedaż książek francuskich w Polsce i polskich we Francji, już napotyka na trudności. Francuzi chcą zachować

status quo, a strona polska domaga się zwiększenia ilości tłumaczeń. Francuzi odpowiadają, że polscy autorzy (z wyjątkiem Kuśniewicza) nie mają powodzenia. Oczywiście wiele zależy od tego, jakich autorów się tłumaczy, czy tłumaczenia są dobre i jak się wydane książki reklamuje.

Kwestia nauczania języków i wymiany uniwersyteckiej nie należy do resortu p. Lecat, ale do min. oświaty i uniwersytetów. Przyjmijmy, że p. Lecat uzgodnił z nimi stanowisko w tych sprawach. O co tu chodzi? Reforma szkolnictwa w PRL wymaga, żeby każdy uczeń od 13 do 17 roku życia uczył się jakiegoś języka zachodniego; francuski jest obecnie na trzecim miejscu (po niemieckim i angielskim). I tu także Francuzi chcą zachowania *status quo*.

Trudności zaczynają się przy nauczaniu polskiego we Francji. Polonia francuska, a w szczególności „Wspólnota Polsko-Francuska” domaga się rozszerzenia nauczania polskiego we Francji. Notatka zamieszczona w *Le Figaro* z 18. VII br. mówi, że w ciągu ostatnich trzech lat ilość liceów, w których wykłada się język polski, wzrosła z trzech do dwunastu. Szkoda, że nie podano ich listy, bo jakoś tych dwunastu trudno się doliczyć. Na uniwersytetach (17) są katedry lub lektoraty języka i literatury polskiej; dodajmy: o bardzo słabej frekwencji.

Cytowany tekst milczy jednak, jeśli chodzi o sprawę wykładowców. Kto uczy i kto będzie uczył w tych 12 liceach i 17 uniwersytetach? Jak wiadomo, organizacje Polonii francuskiej spowodowały odgrzebanie dekretu z 1938 roku o ustanowieniu *agrégation* z polskiego; jest to stopień jednocześnie naukowy i zawodowy, pozwalający na nauczanie w liceach i otwierający drogę do nauczania na uniwersytetach. Niestety, ilość *agrégés* każdego roku musi odpowiadać ilości etatów przewidzianych przez budżet. Od dwu lat mamy po jednym *agrégé* każdego roku (w 1980 było 4 kandydatów). „Wspólnota Polsko-Francuska” domaga się wprowadzenia egzaminu zawodowego C.A.P.E.S., który także pozwala wykładać w liceach (do *agrégation* trzeba mieć *maîtrise*, a do C.A.P.E.S. wystarczy licence-magisterium). Dotychczas bez skutku!

Odnosi się wrażenie, że milczenie na temat wykładowców polskiego w szkolnictwie średnim i wyższym nie jest przypadkowe. PRL nie nalega na kształcenie kadry profesorskiej we Francji, bo jest zawsze gotowa uzupełnić luki przysyłając wykładowców z Polski; jakiś statut dla szkolnictwa średniego zawsze można stworzyć, dla wyższego już istnieje. Jakie to ma skutki praktyczne? Zacytujmy przykład lektorki na jednym z uniwersytetów na prowincji, której przysłano uczniów zdających maturę z polskiego (od 1975 roku jest to możliwe w 9 akademiach Francji); owa pani zaczęła od pytań: „Co robią Twoi rodzice?” „Kiedy przyjechali do Francji?” itp. Pani ta nie wiedziała, że we Francji nie ma punktów za „pochodzenie”. Skutek: chłopak — płynnie i bez akcentu mówiący po polsku, czytany — dostaje 14 z polskiego, a 18 z angielskiego, w którym nie był specjalnie mocny.

Polska jest na drugim miejscu w dziedzinie współpracy między uniwersytetami i szkołami wyższymi: 60 uczelni. Cieszymy się z tego, choć wolelibyśmy znać trochę szczegółów w tej dziedzinie.

Trzecie miejsce w wymianie młodzieży! Podobno korzysta z niej 2.000 młodych (Francuzów czy Polaków?), a w 1983 roku ma ich być 5.000. Znakomicie, ale co ci młodzi robią w tych krajach, bo termin „wymiana” niczego nie wyjaśnia: studiują, zwiedzają Francję, czy wreszcie mają inne zajęcia? Kilka miesięcy temu przyjechała na paszport turystyczny młoda romanistka z Polski; miała z czego żyć, nie chciała od Francji azylu, ale po prostu przedłużenia wiza żeby — poza Paryżem — trochę zwiedzić kraj przez... 10 dni. Tłumaczyła na prefekturze, że jest nauczycielką, że opowiada swoim uczniom o Francji a nie zna tego kraju: nic nie pomogło! Oto praktyczny przykład „wymiany”.

„W ciągu dwu ostatnich miesięcy tego roku — mówi cytowany tekst — przybyło do Francji 1.000 Polaków w ramach wymiany kulturalnej”. Nawet gdyby podliczyć pełne składy „Mazowska”, „Słaska” itd. nie dałoby to 500 „kulturalników” miesięcznie; Rosjanie mają dobre powiedzenie: *Wri no mieru zna!*

Podobno sumy jakie wydaje Francja na wymianę kulturalną z PRL przekraczają sumę przeznaczoną na wszystkie inne kraje „podsowieckie”, oczywiście z wyjątkiem ZSSR. Możliwe, ale nie jest tego aż tak dużo! Paryż, 27 lipca 1980 r.

Już po napisaniu tej notatki pokazaliśmy ją profesorowi uniwersytetu, świeżo przybyłemu z kraju. Oto jego uwagi:

Dziwne to, ale na Węgrzech i w Rumunii odczuwa się bardziej troskę Francuzów o propagandę własnej kultury. Jednym z przykładów tego stanu rzeczy (w Polsce) jest np. „Salle de lecture” (przemianowana niedawno na „Institut Français”) przy ul. Świętokrzyskiej. *Gazety* (poza *L'Humanité*) dochodzą w bardzo małych ilościach i są zatrzymywane przez cenzurę, jeżeli jej się jakiś artykuł nie podoba; nie słychać o jakichś protestach ze strony francuskiej, na bazie układu w Helsinkach! Można się tam uczyć francuskiego, ale wśród wykładowców ... nie ma Francuzów: jeden Tunezyjczyk i Polacy rekrutowani na miejscu, tylko na bazie znajomości języka, ale bez kwalifikacji pedagogicznych.. „Tydzień Kultury francuskiej” to przyjazd reżysera filmowego Leloucha i kilku nieznanymi śpiewaków minął bez echa! Ośrodek kultury francuskiej na uniwersytecie warszawskim jest ciekawszy i bardziej aktywny. Wśród języków zachodnich, których się młodzież uczy w Polsce, na czoło wybija się oczywiście — i to bardzo — angielski, a nie niemiecki, jak głosi tekst zamieszczony w *Le Figaro*. Jeżeli chodzi o stypendystów, którzy się gdzieś mieszczą między tymi 2.000 młodzieży lub setkami „kulturalników”, to Francuzi nie potrafili zastrzec sobie wyboru kandydatów (Amerykanie wybierają sami *połowę kontyngentu* młodych, którym udzielają stypendiów). Wynik: stypendia zarezerwowane są dla „czerwonej burżuazji” młodego pokolenia. Może rzeczywiście Francuzi wydają wielkie sumy na finansowanie „wymiany kulturalnej”. Z Warszawy tego nie widzą nawet przyjaciele tego kraju.

Prezydent Francji ma, w czasie swojej podróży, podpisać umowę o wymianie kulturalnej. Jeszcze jedną!

Paryż, 7 sierpnia 1980 r.

Jerzy JANKOWSKI

Ostatnie wiadomości

RUCH OAZ, „ORGANIZACJA NIELEGALNA”?

Na początku lipca odbył się w Krościenku doroczny obóz letni dla uczestników młodzieżowego ruchu „Światło — Życie”, zwanego również ruchem Oaz. Na obóz przybyło ośmiu studentów katolickich z USA. Zainteresowały się nimi miejscowe władze wojewódzkie. Poddano ich przesłuchaniu w No-

wym Sączu, gdzie przedstawiciel wojewody oświadczył, że dopuścili się wykroczenia, a mianowicie „kontaktu z nielegalną organizacją”. Nic nie pomogły wyjaśnienia, że ruch Oaz stanowi część składową struktur Kościoła w Polsce, czego widomym znakiem była obecność na obozie jednego z biskupów (z diecezji tarnowskiej). Otrzymali nakaz opuszczenia terytorium PRL w ciągu 48 godzin. Pięciu wydalonych studentów amerykańskich dołączyło w Rzymie do polskiej pielgrzymki oazowej (ok. 160 osób), przybyłej na międzynarodowy kongres ruchu Oaz, w którym uczestniczyli przedstawiciele 12 krajów (łącznie ok. 800 osób). W dniu 24 lipca Jan Paweł II przyjął uczestników tego kongresu w swej rezydencji letniej w Castel Gandolfo. W homilii Papież nazwał ten ruch „zaczynem ukrytym, lecz bezcennym, w społeczeństwie łakącym pewności i ocalenia... Świat potrzebuje Waszej wiary, radości, czystości, pomocy i Waszego uśmiechu”. Do zebranych młodych ludzi Papież wygłosił potem krótkie przemówienia po francusku, angielsku, hiszpańsku i portugalsku. Do polskich uczestników powiedział m.in.: „To dzisiejsze spotkanie z Wami jest przedłużeniem wszystkich poprzednich kontaktów, jakie miałem z Wami jako Arcybiskup Krakowski, przedłużeniem naszego spotkania w Nowym Targu, w Krakowie na Skałce... Moi Drodzy! Cieszę się bardzo, że jesteście, że działacie w Ojczyźnie i że reprezentanci Waszego ruchu mogli przybyć do Rzymu (uwaga redaktora: kilkunastu odmówiono paszportu)... Zanieście proszę moje serdeczne pozdrowienie papieskie wszystkim Waszym Kolegom i Koleżankom, Braciom i Siostram, uczestnikom ruchu 'Światło — Życie' w Polsce...”.

Amerykańscy studenci złożyli przy tej okazji Papieżowi sprawozdanie ze swych tarapatów w Polsce. Przygoda jaka ich spotkała ma być podobno przedmiotem interwencji zarówno ze strony Watykanu jak i amerykańskiego sekretarza Stanu E. Muskie, wydalenie ich stanowi bowiem jaskrawe pogwałcenie przez władze PRL treści postanowień Aktu Końcowego w Hel-sinkach („trzeci koszyk”). Kompetentne czynniki watykańskie powinny ponadto postawić władzom PRL pytanie, czy aprobują stanowisko wojewody w Nowym Sączu w sprawie rzekomo „nielegalnego” charakteru ruchu oazowego.

K O M U N I K A T

ZE 174 KONFERENCJI PLENARNEJ EPISKOPATU POLSKI

Na Górze Świętej Anny w klasztorze Ojców Franciszkanów w dniach 27 i 28 czerwca 1980 roku obradowała 174 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski. Obrady te związane były z uroczystościami jubileuszu 500-lecia istnienia słynnego sanktuarium świętej Anny. Posiedzeniu Rady Głównej, a następnie obradom plenarnym przewodniczył Prymas Polski Stefan kard. Wyszyński. W obradach wzięło udział 64 biskupów. Podajemy ważniejsze fragmenty.

Księża biskupi zaznajomili się z przebiegiem i wynikami ostatniej wizyty w Polsce abpa Luigi Poggi, nuncjusza apostolskiego do specjalnych porużeń i kierownika zespołu Stolicy Apostolskiej do stałych kontaktów roboczych z Rządem PRL. Wysłuchali także sprawozdania sekretarza Episkopatu bpa Bronisława Dąbrowskiego z rozmów prowadzonych z przedstawicielami władz państwowych. W szerokiej dyskusji nad zagadnieniem dalszej normalizacji stosunków między Kościołem a Państwem stwierdzono brak zasadniczych postępów. Wynika to m.in. z tego, że nie ma jak dotąd rozmów na właściwym szczeblu na temat uregulowania spraw istotnych dla

Kościola i warunkujących możliwości i owocność współdziałania dla dobra Ojczyzny.

Biskupi stwierdzają, że na terenie ich diecezji notuje się wypadki negatywnego stosunku aparatu administracji państwowej do różnych przedsięwzięć duszpasterskich, służących podnoszeniu życia religijnego i moralnego społeczeństwa. Taka postawa rodzi klimat nieufności, a nawet stwarza sytuacje konfliktowe...

Wobec wielorakich trudności, z którymi w dalszym ciągu musi liczyć się nasz kraj poważne zadania stoją przed społecznością katolicką. W warunkach różnego rodzaju niedomogów życia społecznego i moralnego w naszej Ojczyźnie ludzie wierzący, katolicy, ponoszą tym większą odpowiedzialność za losy Polski. Kościół jako społeczność wiernych poprzez parafie i wszelkie wspólnoty, które tworzy, ożywia wciąż na nowo ducha sprawiedliwości społecznej, ludzkiej solidarności i służby. Wszyscy tworzący Kościół powinni odważnie przeciwdziałać społecznemu złu i ludzkiej krzywdzie, nieść pomoc potrzebującym i ukazywać drogi naprawy...

Nikt zatem nie może pozostawać biernym wobec spraw i aktualnych zadań kraju. Wszyscy jednak katolicy poczuwający się do odpowiedzialności za Ojczyznę, podejmując działalność w życiu publicznym, zwłaszcza społecznym i politycznym, powinni stać wiernie na gruncie katolickiej nauki społecznej i wstrzymywać się w Magisterium Kościoła. Do prowadzenia takiej działalności katolicy mają prawo i dla niej musi znaleźć się należyte miejsce w naszym Państwie.

Tym większe też zadania stoją obecnie przed wychowaniem religijnym i etycznym, które spoczywa na barkach rodziców i duszpasterzy. Wychowanie to w większym jeszcze zakresie niż dotąd powinno uwzględniać przygotowanie młodego pokolenia Polaków do życia społecznego. Cała młodzież w ramach katechizacji ma obowiązek starać się o mocną formację religijną i moralno-obywatelską, kształtować w sobie poczucie odpowiedzialności za kraj i współobywateli, a także za los rodziny ludzkiej. Katecheza musi w należyтым stopniu obejmować zasady katolickiej nauki społecznej, jak również niezbędne obiektywne wiadomości o dziejach Kościoła, własnego Narodu i jego kultury.

Stałym przedmiotem zainteresowań Konferencji Episkopatu jest sytuacja ludzi pracy w różnych sektorach gospodarki narodowej. Biskupi diecezji, na terenie których znajdują się państwowe gospodarstwa rolne, przedstawili warunki i czas pracy, negatywnie wpływające na życie religijne i moralne robotników rolnych i ich rodzin. Zwrócili uwagę na dokonujące się przemiany społeczne i obyczajowe wsi polskiej oraz wskazali na potrzebę szukania nowych form kontaktu i pracy duszpasterskiej w środowiskach robotników rolnych. Ważne zadanie spoczywa na duszpasterzach tych środowisk. Wielkie grupy robotników, zatrudnionych w pracy zależnej, nie mogą pozostać bez należytej opieki duszpasterskiej. W dyskusji biskupi stwierdzili, że u podstaw nawet problemów czysto duszpasterskich dotyczących wsi leży potrzeba zdrowej, odpowiadającej interesom Narodu polityki rolnej państwa.

SŁOWO ORDYNARIUSZA ŁÓDZKIEGO DO WIERNYCH DIECEZJI ŁÓDZKIEJ

(fragmenty)

... W dniu 31 maja 1980 roku w numerze 123 *Głosu Robotniczego*

opublikowana została następująca wypowiedź I-go sekretarza Komitetu Dzielnicowego PZPR Łódź-Śródmieście:

„Uważam za wskazane, aby (...) zaostrzyć kryteria w polityce kadrowej resortu oświaty i wychowania oraz szkolnictwa wyższego i techniki. Kryteria te powinny stanowić gwarancję edukacji młodzieży w duchu

Przytoczona wypowiedź niedwuznacznie domaga się wyłącznie zatrudnienia ateistów w charakterze nauczycieli i wychowawców w szkolnictwie i instytucjach wychowawczych wszystkich szczebli oraz niedopuszczania do tych funkcji obywateli wierzących. Ponadto narzuca wychowanie i kształcenie młodzieży jedynie w duchu światopoglądu materialistycznego — niezależnie od woli rodziców i samej młodzieży. Jest to przeto publicznym zaprzeczeniem podpisanych przez Polskę umów międzynarodowych oraz wezwaniem do otwartego łamania obowiązującego w naszym kraju prawa...

W tym stanie rzeczy opublikowana w *Głosie Robotniczym* wypowiedź jest bezprawna i nie tylko obraża obywateli wierzących przez jawne nawoływanie do ich dyskryminacji, ale także godzi w ustawę zasadniczą Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i podważa tylokrotnie deklarowaną przez władze centralne jedność Narodu...

Dla pełniejszego zabezpieczenia prawa [do chrześcijańskiego wychowania] Episkopat Polski opracował specjalną „Deklarację w sprawie wychowania katolickiej młodzieży w Polsce” (1973), którą przesłał do Sejmu PRL. Mimo to w dalszym ciągu usiłuje się łamać uprawnienia ludzi wierzących w imię arbitralnych założeń ideologicznych i narzucać dzieciom oraz katolickiej młodzieży ateizm przy pomocy nielegalnych środków administracyjnych.

Ojciec święty Jan Paweł II wzywa chrześcijan, aby nazywali „właściwym imieniem niesprawiedliwość, wyzysk człowieka przez człowieka, czy wyzysk człowieka przez państwo. Trzeba nazywać po imieniu każdą niesprawiedliwość społeczną, każdą dyskryminację, gwałty stosowane wobec ciała i ducha ludzkiego, wobec sumienia człowieka i jego przekonań” (przemówienie z 21. II. 1979 roku).

Dlatego usilnie przypominam, że wszyscy wierzący obywatele w przypadku zetknięcia się z faktami zabronionej prawem dyskryminacji wyznaniowej — tak w szkolnictwie, jak i w jakiegokolwiek innej służbie publicznej — mają moralny obowiązek dochodzenia swoich uprawnień z powodu ponoszonej współodpowiedzialności za życie zbiorowe w naszym kraju. Podpisując Pakty Praw Człowieka władze państwowe uroczystie zobowiązały się do zapewnienia obywatelom skutecznej obrony przed dyskryminacją wyznaniową. Trzeba, żeby ludzie wierzący jak najszerzej z tej gwarancji korzystali.

† Józef ROZWADOWSKI

Łódź, dnia 12 czerwca 1980 r.

Sąsiedzi

Rozmowa ze Światosławem Karawanskim

Na zaproszenie Stowarzyszenia Pisarzy Ukraińskich przybył do Toronto na wieczór autorski Światosław Karawanskyj, znany ukraiński opozycjonista, tłumacz Szekspira, publicysta i poeta. Nie była to jego pierwsza wizyta w Kanadzie po tym jak nagle uzyskał paszport i wizę wyjazdową z ZSSR. Wraz z żoną, biologiem, która przez lata dzielnie kołatała do władz sowieckich o zwolnienie męża, bawił już krótko w Toronto, gdzie odbyły się spotkania ze społecznością ukraińską. Oboje opowiadali wówczas nie tyle o swoich przeżyciach, ile o sytuacji na Ukrainie. Potem osiedlili się w Stanach Zjednoczonych, ale nawiązane kontakty kanadyjskie zdają się być mocne i ważne. Stąd i ostatnia wizyta.

Wieczór autorski odbył się w dużej sali domu św. Wołodymyra — siedzibie Związku Studentów Ukraińskich w Toronto. Publiczność witała i żegnała poetę owacyjnie. Karawanskyj wydawał się głęboko wzruszony.

Spotkaliśmy się następnego dnia w zacisznej sali bibliotecznej jednego z wydawnictw ukraińskich.

— Miło mi poznać przedstawiciela *Kultury* — mówi wyciągając do mnie rękę wysoki, postawny mężczyzna. Czerstwa twarz, grzywa siwych włosów i miły uśmiech oraz zaciekawione błyski w oczach zdają się zapraszać do kameralnej rozmowy.

— Nie będzie Pan nagrywał? To dobrze. Nie, nie mam żadnych zastrzeżeń, ale bez magnetofonu będziemy rozmawiać swobodniej. Będę mówił po ukraińsku, ale Pan może stawiać pytania w języku polskim. Czytam po polsku swobodnie, trudniej z rozmawianiem.

— Kiedy opublikuje Pan swoją relację z lat spędzonych w więzieniach i obozach sowieckich?

— Nie wiem, natomiast w najbliższym czasie ukaże się tom moich poezji. Proszę, oto egzemplarz do ostatniej korekty. Widzi Pan, zatytułowałem tom „Sutyczka z tajfunom”. Ukaże się nakładem wydawnictwa „Słowo” w USA. Właściwie będzie to mój debiut; niemal wszystko co dotychczas pisałem ukazywało się tylko w czasopiśmie, i to wyłącznie *samizdatowych*. Poszczególne utwory trafiały czasami na Zachód i ukazywały się po ukraińsku, niekiedy też po angielsku. Ale dopiero teraz, w wieku 59 lat, zobaczę pierwszy tom moich wierszy w przyzwoitej szacie, w jednym, wcale obszernym zbiorze. Zważywszy, że 30 lat spędziłem w więzieniach ZSSR, można to chyba uznać za sukces.

— Jest Pan nie byle jakim rekordzistą. Patrząc na Pana z podziwem. Wyobrażam sobie, ile Pan doświadczył i jak wielką odpornością duchową się Pan odznacza, skoro potrafił Pan tyle lat wytrzymać w więzieniu i wyjść zeń z taką postawą. Czy spotykał się Pan w więzieniach z Polakami?

— Tak, ale tylko do 1953 roku. Po śmierci Stalina moi polscy towarzysze więźnienni zniknęli. Mówiono nam, że ich odesłano do Polski. Nie wiem oczywiście, czy to prawda, faktem jednak jest, że od tego czasu nie siedziałem z żadnym Polakiem. Wśród tych, których poznałem, byli różni, zresztą jak i wśród Ukraińców. Niektórzy wkupywali się w łaski donosami, inni nie dawali się złamać. To normalne w sowieckim życiu więziennym.

— Podobno spotkał się Pan z człowiekiem, który był świadkiem zbrodni katyńskiej?

— Nie, natomiast mam relacje niejako z drugiej ręki. Kiedy przyjechałem do więzienia we Włodzimierzu, kilku moich towarzyszy opowiedziało mi, że siedział tam w pojedyncze niejaki Andrejew, gajowy lasku katyńskiego. Był on koronnym świadkiem komisji zwołanej przez Niemców po wykryciu grobów. Przed przybyciem transportów jeńców polskich miejscowy komendant NKWD zabronił mu wchodzić do lasku. Andrejew słyszał serie strzałów, obserwował ruch wokół lasku, ale oczywiście nie próbował nawet tam wejść. Potem dwaj strzelcy z ochrony lasku, Magiszew i Medzydow, powiedzieli mu, że w lasku są groby rozstrzelanych Polaków — stąd jego ochrona.

Andrejew wychodził na *spacernyk* sam i pod strażą. Raz jednak strażnik zostawił go z niewyjaśnionych powodów samego. Andrejew skorzystał z okazji i dostał się do celi politycznych. Przez piętnaście minut jakie w niej spędził opowiedział o zbrodni katyńskiej. Za jej ujawnienie skazany został wraz z żoną na dożywotnie więzienie. Oboje Andrejewowie zostali wywiezieni w niewiadomym kierunku.

Tę relację moich współwięźniów uzupełniam dalszą. Otóż mnie sprawa katyńska intrygowała, stanowi ona bowiem przykład działania władz bolszewickich. Dlatego też, będąc w więzieniu, poruszyłem ją w listach do prokuratora, władz sądowych itp.

Naturalnie wlepiono mi za to następny wyrok. Byłem na to przygotowany.

Innym świadkiem owej międzynarodowej komisji zwołanej przez Niemców był niejaki Mienszagin, za niemieckiej okupacji burmistrz Smoleńska. Został on następnie skazany przez władze sowieckie na 25 lat za oszczerstwa, kolaborację itp. Kiedy we wrześniu 1969 roku wniosłem o ponowne rozpatrzenie sprawy katyńskiej, domagając się powołania na świadków strzelców Magiszewa i Medzydowa, i wspominałem przy tym o zeznaniu Mienszagina, wniosek o przesłuchanie obu strzelców odrzucono. Poprosiłem wobec tego o odczytanie protokołów ich zeznań i uzasadnienia wyroku: zakomunikowano mi, że nie ma protokołów tej sprawy. Mienszagin natomiast odwołał swoje zeznania. Zrobił to zapewne w naiwnym przekonaniu, że zostanie za to zwolniony. Nie wiem, co się z nim stało.

Moja rozprawa „katyńska” odbyła się dokładnie 23 kwietnia 1970 roku. Dostałem 10 lat więzienia za oszczerstwa pod adresem ZSSR. Wobec tego, że sprawa rozpoczęła się we wrześniu 1969 roku, zwolniony zostałem w 10 lat później, w 1979 roku. Mój stan zdrowia był bardzo podły. Zaczęliśmy z żoną starać się o zezwolenie na wyjazd z ZSSR. Miałem świadomość, że długo z tej sowieckiej wolności korzystać nie będę. Jak się sprawy dalej potoczyły, Pan wie. Nie muszę chyba dodawać, że konsekwentna akcja na rzecz więźniów sowieckich społeczności ukraińskiej oraz wspierających ją sił na Zachodzie odegrała swoją rolę.

— Jak Pan ocenia sytuację na Ukrainie? Czy istnieją tam nastroje rewolucyjne?

— Pytanie jest dla mnie trudne. Jako że 30 lat spędziłem w więzieniach, moje obserwacje i doświadczenia z tzw. wolności są ograniczone. Bez wahania mogę stwierdzić, że przeżywamy na Ukrainie renesans narodowy. Umacnia się świadomość odrębności narodowej, rozwija się działalność kulturalna i społeczna. Walczy się uporczywie i świadomie o wolność słowa. Chodzi o to, by wyrwać choć jeden pręt z krat cenzury — bez tego niewiele można zdziałać. Walczy się więc o język, o jakąś, choćby względną, swobodę wypowiedzi. W tych postulatach powołujemy się na obowiązujące ustawodawstwo. Jak Panu wiadomo, i za to sypią się kary. Jestem tego zresztą przykładem. O ile wiem, nie ma na terenie Ukrainy żadnej niekomunistycznej organizacji. Wszelkie przejawy opozycji są likwidowane. Bodajże wszyscy członkowie tzw. grupy Helsinek zostali aresztowani. O nastrojach rewolucyjnych nie może być mowy. Powtarzam: ludzie walczą o margines wolności osobistej i narodowej. Trzeba przy tym uważać, żeby nie stracić pracy; zwalnianie jest jedną z form represji wobec niepokornych. Ważnym problemem jest pomoc dla aresztowanych, a liczba ich wzrasta, nie spada. Jedność i solidarność narodową obserwujemy właśnie gdy chodzi o pomoc dla aresztowanych i prześladowanych.

— Czy wykluwają się załączki jakichś programów politycznych?

— Nie sędzę. Mówiąc o jedności i solidarności narodowej miałem na myśli to tylko, że Ukraińcy pragną zasadniczej zmiany jeśli chodzi o stosunek do Rosji, do ZSSR. Jesteśmy jednak na tyle realistami, żeby nie spierać się o ustrój ani programy. Niewątpliwie wszyscy pragniemy wolności i demokracji, a o szczegóły nie tocymy bojów.

— Tutaj, na Zachodzie, emigracja ukraińska jest politycznie zróżnicowana. Także ostatni przybysze, w tym i ci zwolnieni z więzień i szpitali psychiatrycznych, zajmują różne stanowiska. Włączyli się oni do poszczególnych — powiedzmy delikatnie — orientacji, i wzajemnie się zwalczają. Co Pan o tym myśli?

— Nie jestem partnerem w tych dyskusjach i sporach. Powtarzam, że u nas na Ukrainie sytuacja jest inna. Nie kłócimy się o przyszłość, tocymy uciążliwą walkę o teraźniejszość, o wyrwanie czegokolwiek naszemu ciemiężcy. Tutaj, na Zachodzie, dzieli się skórę na niedźwiedziu, tymczasem niedźwiedź jest jeszcze piekielnie silny i zdrów. A gdy patrzę na politykę wielkich zachodnich mocarstw demokratycznych wobec ZSSR, ogarnia mnie smutek. Zgodzi się Pan chyba ze mną, że to co się dzieje nie może sprzyjać procesowi rozluźniania więzów ucisku narodowego na Ukrainie. Jak można w obecnej sytuacji, przy takim stosunku Zachodu do ZSSR, zakładać, że jakkolwiek ruch narodowo-rewolucyjny w Związku Sowieckim ma szanse? Zachód przecież nie osłabia, a wzmacnia bolszewickiego, rosyjskiego niedźwiedzia.

— Pozwoli Pan, że zadam jeszcze jedno pytanie: jak się Pan zapatruje na stosunki z Polską?

— Jestem za jak najściślejszą współpracą we wszystkich dziedzinach. Nic nas nie powinno dzielić. Nie mam jednak niestety żadnych konkretnych propozycji współdziałania. Uważam, że losy naszych narodów nawzajem od siebie zależą. Oczywiście Polacy są obecnie w grubo lepszej sytuacji aniżeli Ukraińcy, ale czy można uważać ten stan rzeczy za niezmienny? My, którzy dobrze poznaliśmy system sowiecki, tendencje i cele polityki bolszewickiej, jej skrajny, bezwzględny i brutalny imperializm, dalecy jesteśmy od brania zapewnień Moskwy za dobrą monetę. Nie ukrywamy obaw co do przyszłości: im dłużej imperializm bolszewicki pozostanie u władzy, tym większe będą straty, i to zarówno narodów zniewolonych bezpośrednio, przymusowo włączonych w granice Związku Sowieckiego, jak i tych, które zachowały własną państwowość, ale są pod ścisłym nadzorem Moskwy. To chyba wszystko, co mógłbym na ten temat powiedzieć.

— Dziękuję za rozmowę i życzę Panu sukcesów literackich.

Rozmawiał Benedykt HEYDENKORN

Rozmowa z Natalią Małachowską

Na zwołanej przez ONZ międzynarodowej konferencji w Meksyku w 1975 roku postanowiono, że dziesięciolecie 1975-1985 będzie dziesięcioleciem walki o wyzwolenie kobiet. Dotarliśmy do półmetka i szacowna Organizacja Narodów Zjednoczonych postanowiła podsumować dotychczasowe wyniki realizacji dziesięcioletniego planu naprawy kobiecej doli. Właśnie zwołano w Kopenhadze kolejną konferencję organizacji kobiecych, którą osobiście otworzył sekretarz generalny ONZ. Wśród uczestników konferencji niewątpliwie najosobliwszym gościem duńskiego rządu była pani Leila Khaled, terrorystka z Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która już dwukrotnie uczestniczyła osobiście w porwaniach samolotów pasażerskich.

Pani Leila Khaled byłaby zapewne główną atrakcją tej konferencji, gdyby nie zamach stanu w Boliwii oraz decyzja KGB o wydaleniu z ZSSR trzech kobiet, redaktorek dysydenckiego pisma dla kobiet *Maria*.

21 lipca przewieziono samolotem do Wiednia Tatianę Mamonową, Katierinę Goriczewą oraz Natalię Małachowską. Dzięki staraniom Komitetu Sacharowa w Danii Natalia Małachowska przyjechała 25 lipca do Kopenhagi. Oczywiście nikt nie zamierzał umożliwiać jej wystąpienia na samej konferencji. Przewodniczką zamachu stanu w Boliwii stworzono taką szansę.

Nad moralnym aspektem tej historii nie warto się rozwodzić. Jeśli idzie o jej aspekt polityczny, to wydaje się, że otoczony czułą opieką ONZ ruch feministyczny nie różni się w swoich reakcjach od ruchów zdominowanych przez płęć brzydka.

Andrzej Koraszewski: — Jak to się stało, że znalazła się Pani wśród dysydentów?

Natalia Małachowska: — Myślę, że wszyscy u nas są dysydentami, wszyscy myślą inaczej niż pisze się w prasie, chociaż nie wszyscy o tym mówią. Pyta Pan zatem, dlaczego zaczęłam mówić to co myślę? Od dzieciństwa czułam, że ludzie u nas co innego myślą i co innego mówią. Potem zaczęłam pisać i moja pierwsza książka nie została dopuszczona do druku, bo zawierała zbyt wiele prawdy. Zrozumiałam wówczas, że wszystkie drogi są dla mnie zamknięte. W 1976 roku moją bliską przyjaciółkę, Julię Wozniesieńską, skazano na karę więzienia. To był przełom w moim życiu. W tym czasie zaczął działać w Leningradzie ruch niezależnych artystów, poetów i pisarzy. Uczestni-

czyłam w tym ruchu, a kiedy została rozbita grupa „Lift”, wokół której ten ruch się gromadził, założyliśmy samizdatowe pismo 37. Pracowałam w tym piśmie od 1976 roku do ubiegłego lata. Tam została ogłoszona moja powieść i wiele moich artykułów. Brałam udział we wszelkich pracach pisma i w 1979 roku zostałam sekretarzem redakcji. Czułam jednak, że ta działalność nie daje mi satysfakcji — problemy czysto artystyczne interesują niewielką grupę ludzi.

W 1979 roku pojawiła się idea założenia niecenzurowanego pisma dla kobiet. Dostałam do wniosku, że w tego rodzaju piśmie można pisać o wszystkim, o sprawach społecznych, politycznych i moralnych. Przystąpiliśmy do realizacji tej idei wspólnie ze zwolnioną w międzyczasie Julią Wozniesieńską i Katieriną Goriczewą. Pierwszy artykuł o problemie praw macierzyńskich napisałam w ciągu trzech godzin. Pierwszy numer pisma przygotowaliśmy w ciągu miesiąca.

A.K.: — Poświęciła się Pani sprawie obrony praw sowieckiej kobiety. Dlaczego uznała Pani właśnie ten problem za szczególnie ważny?

N.M.: — Kobieta w ZSSR znajduje się w bardzo ciężkiej sytuacji. Wszyscy są uciskani, ale kobieta jest niewolnicą niewolnika. Zła gospodarka kraju odbija się najbardziej na kobietach. Złe zaopatrzenie, brak usług, niedostateczna ilość miejsc w przedszkolach, wszystko to są sprawy, które mężczyźni odczuwają w mniejszym stopniu. A na domiar wszystkiego pijaństwo wśród mężczyzn.

A.K.: — Czy mogłaby Pani powiedzieć ile jest w ZSSR kobiet-więźniów politycznych?

N.M.: — Nie znam cyfr. Mogłabym natomiast powiedzieć wiele o sytuacji kobiet w więzieniach. Często zdarzają się przypadki gwałcenia kobiet przez konwojentów i strażników, znęcanie się nad więźniarkami właśnie dlatego, że są kobietami. Julia Wozniesieńska była świadkiem, jak w łaźni obłano grupę więźniarek wrzątkiem, żeby wyskoczyły na korytarz, gdzie czekała już duża grupa strażników. Nagie kobiety obrzucano wulgarnymi wyzwiskami, bito, znęcano się nad nimi w najbardziej bestialski sposób.

A.K.: — Powiedziała Pani, że większość ludzi w Pani kraju nie ujawnia swoich myśli. A jednak wielu ludzi wydaje się wierzyć w to co mówi oficjalna propaganda. Natalia Czukowska w swojej powieści „Opustoszały dom” opisuje, jak w 1937 roku władze aresztowały niemal połowę mieszkańców Leningradu, a pozostali na wolności wierzyli, że aresztowani musieli przecież popełnić jakieś przestępstwa. Czy taka sytuacja byłaby możliwa dzisiaj?

N.M.: — Nie, czasy się zmieniły. Dzięki istnieniu zachodnich

radiostacji nadających audycje w języku rosyjskim jest dziś znacznie więcej informacji. Robotnicy i urzędnicy, nie mówiąc o inteligencji, szukają informacji w radiu. Kiedy zesłano Sacharowa, wszyscy o tym mówili. Większość nie zna poglądów Sacharowa, ale wszyscy wiedzieli o jego losie.

Ludzie wiedzą dziś znacznie więcej niż dawniej. Co nie znaczy, że mają odwagę o tym głośno mówić. Pozostał strach, który powoduje rozbitcie osobowości, degradację człowieka, czyni z nas istoty obrzydliwe. I tu warto powrócić do problemu kobiet. Sytuacja kobiet w ZSSR jest tak ciężka, że wiele z nich znajduje się na pograniczu desperacji. Kiedy człowiek jest w stanie desperacji, to strach się kończy.

A.K.: — Ruch na rzecz obrony praw człowieka w ZSSR jest ruchem elitarnym, opiera się na wybitnych jednostkach. Co wie przeciętny mieszkaniec ZSSR na temat tego ruchu?

N.M.: — Mówiłam już, że większość nie zna poglądów Sacharowa. Ludzie znają jego nazwisko, wiedzą, że miał coś wspólnego z bombą wodorową, że zerwał z partią i że został opozycjonistą. Jeśli idzie o innych, takich jak Czalidze, Orłow, Twierdochlebow, to ich nazwiska znane są zaledwie małej grupce ludzi. A jednak ruch ten może mieć duży wpływ na społeczeństwo, szczególnie gdyby radiostacje zachodnie mówiły więcej o poglądach tych ludzi. Dziennikarze zakładają, że słuchacze znają te poglądy i informują tylko o wydarzeniach bieżących, o aresztowaniach, demonstracjach, itp. Ludzie nie słuchają radia systematycznie i informacje o programach i poglądach powinny być często powtarzane. Radio „Swoboda” jest niemal całkowicie zagłuszane. Popularne są obecnie audycje radia BBC i Deutschlandfunk, ale radiostacje te zbyt się koncentrują na informacjach bieżących.

A.K.: — W jakim stopniu dociera do ZSSR informacja o działaniach grup opozycyjnych w Polsce i w Czechosłowacji?

N.M.: — Informacja dociera głównie drogą radiową. Zainteresowanie jest duże, ale informacji nie ma zbyt wiele. Dopiero tu w Kopenhadze zobaczyłam *Zapis* i dowiedziałam się, w jakich nakładach drukowany jest w Polsce. U nas byłoby to zupełnie niemożliwe. Nasze pismo przygotowywałyśmy w Leningradzie w dziesięciu egzemplarzach.

Wracając jednak do opozycji w waszych krajach to muszę powiedzieć, że dla mnie osobiście przełomowym momentem było wysłuchanie tekstu Karty 77. Wstrząsnęło mną zdanie, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to co się dookoła nas dzieje. Po raz pierwszy ktoś powiedział głośno to, co sama myślałam. Po procesie mojej przyjaciółki, w końcu 1976 roku, odczuwałam stałe uczucie wstydu, chociaż sama niczego złego nie robiłam. Słuchając tekstu Karty 77 zrozumiałam, że jestem współodpowiedzialna

za zło, które się dookoła mnie dzieje, właśnie dlatego, że nic nie robię. Chciałabym podziękować ludziom, którzy sformułowali i podpisali Kartę 77. Mam nadzieję, że kiedyś się z nimi spotkam.

A.K.: — Opozycja intelektualna w Polsce zajęła się problemem obrony praw robotników i od kilku lat istnieje i rozwija się współpraca między środowiskami robotniczymi i intelektualistami. Czy w ZSSR obserwuje się podobną współpracę?

N.M.: — Boję się odpowiadać na to pytanie. Wydaje mi się, że opozycja robotnicza i intelektualna istnieją oddzielnie. Robotnicy, którzy przechodzą do opozycji tracą kontakt ze środowiskiem robotniczym. Ja sama przyjaźnię się z rodziną Borysowych. Władimir Borysow jest, czy też raczej był, robotnikiem. Wiem, że miał jakieś kontakty z ludźmi, którzy zorganizowali strajk w Mińsku. Więc jakieś kontakty są, ale trudno mi coś o tym powiedzieć.

A.K.: — Jaki jest Pani stosunek do bojkotu olimpiady przez USA i inne państwa zachodnie?

N.M.: — Gdyby Zachód był bardziej jednolity, olimpiada nie mogłaby się odbyć w faszystowskim kraju. Związek Sowiecki korzysta z tego, że ludzie w krajach zachodnich myślą bardziej o swoim dobrobycie niż o demokracji, korzysta ze sprzeczności między krajami zachodnimi. To smutne. Tymczasem olimpiada była okazją nie tylko do znęcania się nad dysydentami, ale odbywała się również kosztem całego społeczeństwa. W Leningradzie na długo przed olimpiadą nie można było dostać masła, sera, kiełbasy. Wszystko to pojawiło się w dniach olimpiady. Rejony do których nie docierali turyści zostały ogołocone z żywności. Przygotowania do olimpiady przypominały budowę potiomkinowskich wsi.

A.K.: — Bojkot olimpiady spowodowany został wojną w Afganistanie. Jaki jest Pani stosunek do tej wojny?

N.M.: — Co pewien czas ujawnia się sowiecki ekspansjonizm. W 1956 okupacja Węgier, w 1968 okupacja Czechosłowacji, teraz Afganistan. Kiedy władzy sowieckiej nie podoba się to, co się dzieje w sąsiednim kraju, sama przystępuje do robienia porządków. Niektórzy porównują wojnę w Afganistanie do wojny w Wietnamie, ale przeciwnicy wojny w Wietnamie nie byli w Ameryce prześladowani i w końcu wymusili zmianę polityki. My, którzy występujemy przeciwko wojnie w Afganistanie, jesteśmy wyrzucani z naszego kraju. Bezpośrednim powodem dla którego wyrzucono nas z ZSSR była nasza odezwa w sprawie wojny w Afganistanie.

A.K.: — Dlaczego władza sowiecka wybrała w Pani przypadku wydalenie z ZSSR?

N.M.: — Nasze pismo miało międzynarodowy rozgłos. Uniknę-

łyśmy więzienia dzięki zainteresowaniu naszą działalnością i naszym losem tu na Zachodzie. Na początku tego roku ukazał się zbiór naszych artykułów po francusku. KGB próbowało zorganizować proces przeciwko nam, ale wtedy zaczęły się protesty i demonstracje w naszej obronie na Zachodzie. Pierwszego maja odbył się we Francji wielki meeting pod hasłem „Kobiety przeciw totalitaryzmowi”. W kilka dni później wydano Julię Wozniesieńską. Potem represje przeciwko nam znowu się nasiliły. Pod domem stał milicjant, na ulicy jeździły za nami samochody KGB. Julia opowiedziała o tym podczas wywiadu w austriackiej telewizji i natychmiast cała obstawa zniknęła. Informacja o tym co dzieje się w ZSSR i reakcje opinii publicznej mają dla nas ogromne znaczenie.

A.K.: — Przyjechała Pani z Wiednia do Kopenhagi w związku z międzynarodową konferencją kobiet zorganizowaną pod auspicjami ONZ. Czy miała Pani szansę wystąpienia na tej konferencji?

N.M.: — Nie, na konferencji występowali tylko oficjalni przedstawiciele państw. Mój przyjazd wywołał jednak duże zainteresowanie prasy. Zwołano konferencję prasową, w której uczestniczyło ponad stu dziennikarzy. Stałam również z plakatem przed gmachem, w którym odbywała się konferencja. Ta moja mała demonstracja też wywołała spore zainteresowanie.

A.K.: — Czy Pani zdaniem ruchy opozycyjne w ZSSR będą się nadal rozwijać?

N.M.: — Wiele razy zdawało mi się, że to wszystko nie ma sensu, że władza jest silniejsza. Kiedy zaczęłam działać w ruchu feministycznym zrozumiałam, że jest to kwestia znalezienia odpowiednich form, trafienia do ludzi. Kiedy wyjeżdżałam, nawet urzędniczki, które załatwiały moje formalności odnosiły się do mnie życzliwie. U nas praktycznie rzecz biorąc wszystkie kobiety znajdują się w żałosnym położeniu. Zainteresowanie naszym ruchem było ogromne.

A.K.: — Jakie znaczenie mają dla rozwoju ruchów opozycyjnych w ZSSR wydawnictwa emigracyjne?

N.M.: — Ludzie dosłownie polują na literaturę emigracyjną. Pisma emigracyjne sprzedaje się na czarnym rynku za zawrotne sumy. Słyszałam, że pismo *Kobieta a Rosja* osiągnęło cenę stu rubli za egzemplarz. Niestety tych pism emigracyjnych dociera niewiele.

A.K.: — Jakie Pani ma plany na przyszłość?

N.M.: — Chciałabym zostać w Wiedniu, chciałabym kontynuować wydawanie naszego pisma. Spodziewam się, że ludzie nam pomogą.

Rozmawiał Andrzej KORASZEWSKI

Kopenhaga, 26 lipca 1980 r.

W sowieckiej prasie

Kiedy do Moskwy przywieziono pierwszą żyrafę, goście ogrodu zoologicznego nie posiadali się ze zdumienia. Przyglądając się długo dziwnemu zwierzęciu, jeden z nich zdołał tylko wybaćkać: To niemożliwe! Drugi wyciągnął ze zjawiska wniosek polityczny: co też bolszewicy potrafili zrobić z konia! Reakcja moskwičan wydaje mi się prymitywna: o żyrafie da się powiedzieć więcej. Przeczytawszy jednak przysłany mi przez jakąś dobrą duszę artykuł Władysława Machejka „Moskwa przed olimpiadą. Korespondencja własna”, najpierw zakrzyknąłem: To niemożliwe!, a potem: co też bolszewicy zdołali zrobić z polskiego dziennikarstwa!

Znawcą najnowszej polskiej dziennikarki nie jestem, przyznaję. *Kultura* i *Zapis* to jedyne, co udaje mi się przeczytać. Korespondencja własna”, najpierw zakrzyknąłem: To niemożliwe! Korkie uderza analfabetyzmem, grubiaństwem, hiperbolicznym lizusostwem, pragnieniem, aby za wszelką cenę przypodobać się gospodarzom. Wielki poeta rosyjski sto pięćdziesiąt lat temu radził: Pochlebcy, pochlebcy, starajcie się i w podłości zachować krzynekę szlachetności! Od Machejka oczywiście nie można wymagać, by czytał wielkich rosyjskich poetów: on czyta *Prawdę*.

W jednym Machejek się nie myli: moskiewska olimpiada przez kilka lat była ośrodkiem zainteresowania sowieckich obywateli. O przygotowaniach do niej mówiono bez przerwy w gazetach, radio i telewizji, a dla budowy miasteczka olimpijskiego zarzucono niemal całkowicie budownictwo mieszkaniowe w całym kraju. Obywatele sowieccy niecierpliwie czekali na olimpiadę, bowiem chodziły słuchy, że w czasie igrzysk w sklepach będzie wszystko.

Jakież było ich rozgoryczenie, kiedy się okazało, że Moskwę ujęto w żelazne kleszcze. Wjazd do miasta olimpijskiego zamknięto. Wywieziono zeń wszystkich biedaków, wszystkich dysydentów, wszystkie dzieci, słowem wszystkich, którzy mogli zepsuć szlachetny obraz i zarazić się czymś od cudzoziemców. Obywatele sowieccy zrozumieli, że środki te są niezbędne, bo gazety, radio i telewizja objaśniły im, że Zbigniew Brzeziński zorganizował w USA specjalne szkoły dla dywersantów, którzy zostaną nasłani na Moskwę, gdzie będą zatruwać napoje (np. Pepsi-Colę), żywność, a także prowadzić wywrotowe rozmowy.

Zasadnie nasuwa się skojarzenie — niejednemu przyszło ono do głowy — z olimpiadą 1936 roku w Berlinie. Berlińska olimpiada 1936 i moskiewska olimpiada 1980 w niejednym są do siebie podobne, ale i niejednym się różnią. Decyzja o przeprowa-

dzeniu igrzysk w Berlinie zapadła w 1932 roku, tj. przed dojściem Hitlera do władzy. Kampania za bojkotem zaczęła się po wprowadzeniu w życie ustaw rasistowskich. Zażartymi przeciwnikami bojkotu byli działacze Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, któremu przewodniczył amerykański *businessman* Avery Brundage. Przywódcy ruchu olimpijskiego wzbranił się przed „mieszaniem sportu i polityki”, a Brundage oświadczył po wizycie w Niemczech, że stosunek do Żydów jest wewnętrzną sprawą Rzeszy, „wewnętrznym sporem religijnym”, a bojkot może Żydom tylko zaszkodzić. Decyzja o przeprowadzeniu igrzysk w Moskwie zapadła w 1974 roku, czyli w pięćdziesiątym siódmym roku istnienia władzy sowieckiej. Idea bojkotu zrodziła się w kręgach sowieckich dysydentów. Poparcie zyskała po wtargnięciu sowieckich wojsk do Afganistanu. Andriej Sacharow pisał wówczas: „Przyjeżdżając do Moskwy, każdy gość i każdy sportowiec pośrednio udzieli poparcia sowieckiej polityce wojennej”. Zażartymi przeciwnikami bojkotu byli działacze Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, któremu przewodniczył lord Killanin. Wzywali oni, aby „nie mieszać sportu i polityki”.

„Wielki tam-tam”, jak Hitler nazwał igrzyska olimpijskie, sprzyjał konsolidacji młodej władzy nazistowskiej i pokazał, że potrafi ona tak samo otumanic Niemców co i obcych. Kolejne wydanie „Książki działacza partyjnego”, które ukazało się w Moskwie w przeddzień olimpiady, w nakładzie 500 tys. egzemplarzy, zawiera nowy, nieistniejący przedtem rozdział: „Moskwa stolicą Igrzysk Olimpijskich 1980 roku”. Poprzedzają go rozdziały: „Leninizm nauką rewolucyjnej walki i budownictwa komunizmu”, „Internacjonalizm proletariacki w akcji”, „Walka KP ZSSR o jedność i zwartość międzynarodowego komunistycznego ruchu robotniczego”.

Rozważania o „czystym sporcie” książeczka pozostawia lordowi Killaninowi. Podręcznik „działacza partyjnego” wyraża się jasno: „Historię ruchu olimpijskiego cechuje bezustanna walka między postępowymi i reakcyjnymi siłami”. W 1936 roku w Niemczech historię ruchu olimpijskiego przedstawiano jako walkę między aryjczykami (postępowcami?) i *Untermensch*ami (reakcjonistami?). W przededniu olimpiady działacze partyjni uznali, że o rezultatach Igrzysk olimpijskich (reakcyjnego i śmiesznego pojęcia 'igrzysk' używano tylko wtedy, kiedy nie dało się go obejść) decyduje „stosunek sił politycznych i klas na arenie światowej oraz istnienie dwóch przeciwstawnych systemów, zdezaktualizowanego kapitalizmu i krzepnącego z dnia na dzień socjalizmu”.

„Książka działacza partyjnego” miała w stu procentach rację (jakże by mogło być inaczej?). W 1936 roku *gros* medali na Igrzyskach(?) olimpijskich zdobyli Niemcy. W 1980 roku — sowieccy sportowcy. Niektórzy rozpaczliwie odważni dziennikarze zachodni napomykali w swych korespondencjach, że sędziowie pomagali gospodarzom w zdobywaniu kolejnych medali:

mistrzowi świata w trójskoku, Brazylijczykowi de Olivera, nie zaliczyli ani jednego skoku, Rumunce Nadii Comaneci odebrali parę punktów... Wszystko to nie miało oczywiście znaczenia — Związek Sowiecki — ucieleśnienie postępowych sił — nie mógł nie wygrać. I wygrał! „Należy podkreślić — powiada „Książka działacza partyjnego” — że największe kapitalistyczne kraje, zajmujące niegdyś poczesne miejsce w światowym sporcie (Wielka Brytania, Francja, Włochy itd.) nie należą już do pierwszej dziesiątki krajów olimpijskich, zalicza się do niej natomiast sześć krajów socjalistycznych”. Warto podkreślić, że na berlińskiej Olimpiadzie pierwsze miejsca także zajęły postępowe kraje faszystowskie: Niemcy, Włochy, Węgry, Japonia. Na drugie miejsce wcisnęły się co prawda Stany Zjednoczone, niewykluczone jednak, że i w Moskwie byłyby one naruszyły zachwycającą symetrię obrazu: pierwsze miejsce — ZSSR, drugie — NRD, trzecie — Bułgaria. Najlepsze miejsca przypadły najbardziej postępowym totalitarnym krajom.

Jest zrozumiałe, że Polska zajęła tylko piąte miejsce: pewne rozluźnienie reżymu nie sprzyja zwycięstwom olimpijskim!

Starożytni Grecy, twórcy olimpiad, wymyślili pojęcie pokoju olimpijskiego: w czasie olimpiad nie prowadzili wojen. Krzepnący z dnia na dzień socjalizm nie może sobie na to pozwolić. Nie mam na myśli wojny zewnętrznej, tej w Afganistanie. Chodzi mi o wojnę przeciw sowieckim obywatelom. Jeśli bym miał powiedzieć, w czym upatruję główną różnicę między berlińską i moskiewską olimpiadą, powiedziałbym, że stanowi ją odmienny stosunek Hitlera i Breżniewa do rządzącej ideologii. Hitler w nią wierzył i stworzył Berlin i Niemcy na oścież przed cudzoziemcami. Gestapo było oczywiście zmobilizowane i wszystkich śledziło. Ale w 1936 roku nazistom na myśl nie przyszło zamykać Berlin. W 1980 roku komuniści w Moskwie drżeli ze strachu. Liczba milicjantów wzrosła w olimpijskiej stolicy czterokrotnie, z 50 do 200 tysięcy. A ilu było agentów KGB, zliczyć nie sposób. W każdym razie przy 150 tys. turystów — w tym około 20 tys. z krajów zachodnich — porządek był idealny.

Na miesiąc przed rozpoczęciem Igrzysk członek moskiewskiej helsińskiej grupy, pisarz Wiktor Niekipielow, skazany został na 7 lat łagrów i 5 lat zesłania z oskarżenia o „rozpowszechnianie szkalujących wymysłów mających na celu podkopywanie i osłabianie sowieckiego ustroju politycznego i państwowego”. Tak brzmi artykuł 70 kodeksu karnego. „Przestępcza działalność” Niekipielowa sprowadzała się do autorstwa znakomych artykułów publicystycznych: „Instytut durni” (o instytucie ekspertyz psychiatrycznych im. Serbskiego — słynnej moskiewskiej *psychuszcze*) i „Stalin na widoku” (o dzisiejszym stosunku do Stalina). W tym samym czasie, kiedy pod Moskwą sądził Niekipielow, aresztowano poetę Wasyla Stusa, który niedawno wyszedł — po siedmiu latach — z obozu. W lipcu aresztowano w Moskwie Rostisława Galeckiego, przywódcę grupy obrony praw wie-

zących Cerkwi Wiernych i Wolnych Adwentystów Siódmego Dnia. Głową tej cerkwi, W. Szełkowa, w wieku 80 lat ponownie odprawiono do łagru i zamęczono w jakuckiej *obłasti*. Igrzyska olimpijskie były już w pełnym toku, kiedy trzy sowieckie feministki, redaktorki *samizdatowego* pisma „Kobieta a Rosja” Tatiana Goriczewa, Tatiana Mamonowa i Natalia Małachowska, zwróciły się do kobiet rosyjskich z apelem, aby skłaniały swych mężów i synów do odmowy udziału w wojnie afgańskiej. Redaktorkom pisma dano do wyboru: areszt albo wyjazd ze Związku Sowieckiego w ciągu 24 godzin. Kobiety wybrały emigrację.

Areszty i emigracja to tylko ułamek bogatego arsenału środków, jakimi dysponują sowieckie *organy*. Na miesiąc przed rozpoczęciem olimpiady kajał się w telewizji ksiądz Dymitr Dudko, najpopularniejszy z duszpasterzy cerkwi prawosławnej. Pięćdziesięcioośmioletni kapłan, który odsiedział już osiem lat w obozach, aresztowany został w styczniu 1980 roku. Kto go nie zdołał zobaczyć w telewizji 20 czerwca, mógł 5 lipca przeczytać tekst jego wystąpienia w *Izwestiach*.

Ojciec Dymitr czytał z kartki: „Świadom jestem, że poddałem się głosom propagandzistów, zmierzających do podkopania naszego ustroju. Odzegnuję się od tego, co robiłem, i przyznaję, że moja tak zwana walka przeciw bezbożnictwu była walką przeciw władzy sowieckiej”.

We wrześniu 1973 roku „pokajali się” znani działacze ruchu demokratycznego P. Jakir i W. Krasin. W 1976 roku — ukraiński dziennikarz Iwan Dziuba. Wiosną 1978 roku „kajał się” popularny gruziński obrońca praw człowieka Zwiad Gamzachurdia. „Kajania” zawsze organizowane są w więzieniu i choć niemało jest przyczyn, dla których człowiek może nie wytrzymać nacisku i załamać się, propaganda sowiecka zawsze triumfuje, oznajmiając o kolejnym zwycięstwie.

Z okazji „pokajania” księdza Dudko gazety sowieckie uroczyście pisały: oto najlepszy dowód, że cerkiew nie jest w ZSSR prześladowana.

Nie ulega wątpliwości, że moskiewska olimpiada się udała. To, że 60 krajów ją zbojkotowało, uszło uwadze sowieckiej propagandy, czyli tak jakby nie istniało. Żałosne próby niektórych zachodnich uczestników (np. Francji), aby zademonstrować swe „odrębne stanowisko” przez rezygnację z flagi i hymnu narodowego raz jeszcze utwierdziły władców sowieckich w ich przekonaniu o własnej potędze. Wizyta kanclerza Schmidta w Moskwie i spotkania z Giscard d'Estaing w Warszawie należą już do przeszłości.

Przypominając piątą rocznicę swego wielkiego triumfu — układu w Helsinkach, Breżniew w odpowiedzi na pytania *Prawdy* (30. 7. br.) nalegał na to, że „w polityce odprężenia nie może być przypyłów i odpływów”. Zdaniem Pierwszego Sekretarza główne zadanie polega na „zmniejszeniu wojennego zagrożenia

Europy, a co za tym idzie całego świata". Jak wszyscy czytelnicy *Prawdy* świetnie wiedzą, zagrażają światu tylko Stany Zjednoczone. Oceniając wyniki konferencji w Helsinkach jako „niewątpliwie pozytywne”, Breżniew powtórzył propozycję zwołania osobnej konferencji w sprawach odprężenia i rozbicia w Europie.

Wśród cennych myśli wiecznie żywego Lenina szczególne miejsce zajmuje idea „podstawowego ogniwa”: „Należy umieć w każdej chwili znaleźć owo podstawowe ogniwo łańcucha i uczyć się go ze wszystkich sił, żeby utrzymać w rękach cały łańcuch i przygotować solidne przejście do następnego ogniwa” (*Dzieła zebrane*, tom 36, str. 205). „Podstawowym ogniwem” jest dziś RFN.

Sowieckiej polityce zagranicznej chodzi o wbicie klina między USA i Europę. Jest to niezbędne dla przejścia „do następnego ogniwa”. Podczas wizyty kanclerza Schmidta w Moskwie Breżniew obiecał mu umowę na budowę rurociągu gazowego z zachodniej Syberii do Zachodnich Niemiec wartości ponad 13 miliardów dolarów. To — przynęta. Pierwszy Sekretarz pomachał i knutem — „Amerykanie — oświadczył swemu rozmówcy — ewentualną wojnę nuklearną zamierzają przeczekać za oceanem. Los Europy jest im najzupełniej obojętny”. Aluzja jest czytelna: los Europy będzie straszny. Ale i zbawienie nietrudne. 6 sierpnia *Literaturnaja Gazieta* opublikowała duży artykuł Nikołaja Portugałowa, jednego z ekspertów KC KPZS do spraw RFN, byłego korespondenta w Bonn. Dopóki Giscard d'Estaing i Schmidt spotykali się z Breżniewem, posunięciem ich przyklasowano jako sprzyjającym odprężeniu i sprzeciwiającym się amerykańskiej polityce „zimnej wojny”. Ale kiedy Giscard pojechał do Bonn na rozmowy ze Schmidtem, N. Portugałow dał wyraz ostremu niezadowoleniu Moskwy. Bońskie spotkanie, pisze moskiewski ekspert, „budzi w sąsiadach RFN zrozumiałą niepokój...”. Sąsiedzi w osobie Związku Sowieckiego obawiają się, że współpraca między Bonn i Paryżem zmieni Europę Zachodnią w „niezależną siłę wojskową”. Moskwa nie życzy sobie sojuszu Europy Zachodniej z USA, ale nie życzy sobie też, by Zachodnia Europa była niezależną siłą wojskową. W takim przypadku mogłyby się obudzić „niemiecki militarizm”.

A czego chce Moskwa? N. Portugałow pisze: „Niezależna polityka zachodnich krajów powinna się wyrażać odprężeniem, a przede wszystkim odprężeniem w dziedzinie wojskowej”. Zachodnioeuropejskie państwa winny się rozbiorć, a Związek Sowiecki zagwarantuje im bezpieczeństwo i współpracę.

Raymond Aron, rozmyślając o sytuacji światowej latem 1980 roku, dochodzi do smutnego wniosku. Amerykanie — pisze francuski politolog — mogą wybrać politykę izolacjonizmu, zamknąć się w „twierdzy amerykańskiej”: „We wrogim im świecie zdołają oni znaleźć na zachodniej półkuli niezbędne dla ich gospodarki źródła surowców”. Europejczykom „pozostanie łudzić się, że

Związek Sowiecki stworzy im warunki podobne do tych, jakimi cieszy się Finlandia”.

Rozumne głosy na wzór głosu Raymond Arona tak są rzadkie na Zachodzie, że dziwić się należy, że je w ogóle jeszcze od czasu do czasu słychać. W pewnym sensie lektura prasy sowieckiej jest ćwiczeniem o wiele zdrowszym aniżeli czytanie zachodniej literatury o Związku Sowieckim. Dziennikarze sowieccy — jak by powiedział Kisiel — „muszą”. Nie wiem, może nawet Machejek „musi”. Amerykanie jednak są na pozór wolni. Andriej Sacharow wspomina w artykule „Czas trwogi”, napisanym w Gorkim 4 maja 1980 roku, o „dwóch wielkich i wpływowych amerykańskich uczonych”, którzy „przyjechali do Moskwy i dostali w kopertach pieniądze na prywatne wydatki”. Owi dwaj profesorowie „z uprzejmości i zażenowania nie odmówili wzięcia kopert” i przekazali pieniądze Sacharowowi na pomoc dla bezrobotnych uczonych. Sacharow zastanawia się jednak, „o ilu analogicznych przypadkach w ogóle nie wiemy”.

Niestety nie tylko „kopertami” (w dawnych dobrych czasach, za przekłętą caryzmu, nazywano je „barankiem w papierku”) tłumaczy się niechęć do zrozumienia Związku Sowieckiego. Nie sposób założyć, że przekupiony był właściciel amerykańskiego *Time'a*, który w lipcu 1980 roku wydał specjalny numer poświęcony ZSSR. Pragnąc rozpaczliwie pokazać, jak bardzo jest obiektywny, naczelny redaktor pisma przedstawił ZSSR jako spokojny, szczęśliwy kraj, w którym — jak wszędzie — istnieją pewne niedociągnięcia. Ot na przykład na Ukrainie agenci KGB bestialsko pobili żydowskich i ukraińskich obrońców praw człowieka. Świadkowie widzieli, jak agenci KGB wciągali do samochodu popularnego ukraińskiego kompozytora Wołodymira Iwasiuka. W trzy tygodnie później znaleziono go powieszzonego na drzewie, z wyklutymi oczami. Autor artykułu o KGB komentuje to tak: „Takie przypadki okrucieństwa — nadal rzadkie, ale jednak coraz częstsze — są całkowicie sprzeczne z prawem”. Łatwo sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby się coś takiego zdarzyło w USA. Autor artykułu nie pochwała oczywiście działań KGB. Zauważa nawet, że „KGB samo sobie ustanawia prawa”. Tym niemniej stanowi ono w jego oczach normalny organ władzy.

Jeszcze bardziej zdumiewająca jest ulubiona zachodnia metoda obliczania poziomu stopy życiowej. Sowiecki robotnik zarabia tygodniowo tyle, amerykański — tyle. Z tego wynika, że sowiecki robotnik może nabyć tyle, a amerykański — tyle. W rezultacie okazuje się, że biorąc pod uwagę bezpłatne lecznictwo, tanie mieszkania, tanie podróże i wczasy oraz tanie gazety (*Izwestia* są pięć razy tańsze od *Daily News*), poziom życia jest w obu krajach niemal taki sam. Znacznie droższe niż w USA okazały się w ZSSR tylko samochody, kolorowe telewizory i złote pierścienie. Wedle obliczeń amerykańskich ekonomistów robotnik amerykański płaci za trzypokojowe mieszkanie 1.000 dolarów, a sowiecki li tylko 37. Redaktorzy *Time'a* nie potrafią sobie

wyobrazić, że robotnik sowiecki może dostać trzypokojowe mieszkanie tylko wtedy, jeśli ma pół tuzina dzieci, a i wtedy jego mieszkanie tak się będzie miało do amerykańskiego, jak *Izwestia* do *Daily News*. Zrozumienie tego najwidoczniej ich przeraża. Jednego tylko boją się amerykańscy sowietolodzy, tego mianowicie, że Breżniew umrze. Prof. S. Frederick Starr pisze: „Jest zupełnie możliwe, że przyszli amerykańscy przywódcy z nostalgią będą wspominać względną stabilność sowieckiej polityki zagranicznej w okresie SALT 2 i Afganistanu”.

W Moskwie z trwogą patrzą w jutro. Podczas olimpiady zrodził się następujący dowcip: strzygący „odpowiedzialnego pracownika” fryzjer pyta: co będzie po olimpiadzie? Odpowiedzialny pracownik milczy. Fryzjer znowu pyta. I znowu. I znowu. Wreszcie obstawa „odpowiedzialnego pracownika” odciąża fryzjera na stronę i powiada: przestań powtarzać to głupie pytanie, przecież widzisz, że pan nie chce odpowiedzieć. Na co fryzjer: Nie o to chodzi, tylko ilekroć zadam pytanie, temu panu włosy stają dęba. Łatwiej strzyc.

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Na mocy uchwały Senatu Hamburga jedna ze szkół miejskich, nosząca dotychczas nazwę *Bullenhuser Damm*, została przemianowana na *Schule im. Janusza Korczaka*. ■ W Berlinie Zachodnim w dzielnicy Spandau nadano jednej z ulic nazwę *Maximilian-Kolbe-Strasse*. Rada dzielnicy Spandau podjęła tę uchwałę na wniosek istniejącej tu od kilku lat parafii p.w. *Bł. Maximiliana Kolbego*. ■ Wilhelm Szewczyk na łamach *Życia Literackiego*: „Mimo nacisków ze strony zachodniemieckiej, by rozszerzać wymianę młodzieżową i poszczególnych szkół, trudno będzie ów słuszny postulat zrealizować”. W celu utrudnienia i zmatowienia stosunków na tym odcinku, Szewczyk stwierdza po prostu, że umowa w tej sprawie z 11. 6. 1976... nie posiada protokołu wykonawczego. W tym samym piśmie Władysław Machejek wyrokuje: „Polska jako państwo i jako naród z należytą czujnością obserwuje manewry RFN wokół zagadnienia pokoju i wojny. Albowiem zagrożenie pokoju dla naszego społeczeństwa może wyjść tylko z tego kierunku”. ■ Na zaproszenie ordynariusza diecezji augsburskiej bpa Josefa Stimpfle, metropolita krakowski kardynał Franciszek Macharski udał się do Ottobeuren (Bawaria) celem wzięcia udziału w obchodach jubileuszowych 1500-lecia urodzin św. Benedykta. ■ Nakładem wydawnictwa *Suhrkamp* ukazały się w RFN *dialogi* Stanisława Lema. ■ W Republice Federalnej otwarto cykl wystaw polskiej sztuki: kolejnym miejscem (po Stuttgartarcie) ekspozycji obrazów i rysunków Jacka Malczewskiego jest Kilonia. (*Frankfurter Allgemeine Zeitung*: „Wystawa pokazuje, że mamy do czynienia nie tylko z jednym z największych polskich malarzy, ale również

jednym z największych malarzy tej epoki w Europie. Specjaliści stają wobec konieczności wpisania nowego rozdziału do historii sztuki europejskiej, rozdziału, którego od dawna było brak”). ■ Inscenizowany przez Tadeusza Kantora w *Teatro Toscana* we Florencji spektakl *Wielopole — Wielopole* został sfilmowany przez zachodniemiecką ekipę filmową i nadany w programie telewizyjnym *WDR* z Kilonii. ■ Z inicjatywy senatora d/s szkolnictwa i Akademii Ewangelickiej w Berlinie Zachodnim, którą kieruje dr Franz von Hammerstein odbyło się kolejne, trzecie już, seminarium na temat nauczania historii i geografii w miejscowych szkołach, ze szczególnym uwzględnieniem obrazu Polski i historii stosunków polsko-niemieckich. Z PRL przybyli m.in. profesorowie Władysław Markiewicz i Marian Wojciechowski, a z RFN znany historyk prof. Walter Mertineit z Flensburga. Kuratorium szkół zachodniobierlińskich planuje wprowadzenie do programów nauczania jednolitych jednostek lekcyjnych na temat historii stosunków polsko-niemieckich i obrazu Polski. ■ Prasa i telewizja zachodniemiecka poświęciły wiele miejsca polskiemu zagłowcowi *Dur Pomorza*, który zwyciężył w tegorocznych regatach w Kilonii; statek został zbudowany w 1909 roku w Hamburgu jako *Prinzess Eitel Friedrich*; pod polską banderą pływa od 1929 roku (zakupiony ze składek społeczeństwa Pomorza). ■ Centrala Handlu Zagranicznego *Motoimpex* zakupiła w zakładach *Volkswagena* 1.000 samochodów osobowych typu *Golf* i *Jetta* za sumę 10 mln marek. Dostawa samochodów do Polski nastąpi jeszcze w tym roku; będą sprzedawane w sklepach *Motoimpexu* wyłącznie za waluty zachodnie. ■ Wiersze kilku pokoleń poetów polskich znalazły się w wydawnym przez Karla Dedeciusa tomie *Polnische Liebesgedichte (Polskie wiersze miłosne)*. Książka ukazała się we Frankfurcie nad Menem nakładem *Insel Verlag*. ■ Stołeczne Biuro Wystaw Artystycznych urządziło w *Galerii MDM* ekspozycję grafiki Armina Müncha, czołowego przedstawiciela średniej generacji plastyków NRD. Od 1976 roku Münch jest profesorem na uniwersytecie w Greifswald. ■ *Książka i Wiedza* wydała opracowaną przez Jerzego Krasuskiego *Historię RFN*. ■ Dyrektor zachodniemieckiej firmy spedycyjnej Egon Wenk przekazał na fundusz *Centrum Zdrowia Dziecka* 20 tys. marek. ■ Berliński *Oberbaum Verlag* przygotowuje wydanie antologii *Pokolenie 68*. Wydawcą jest Peter Raina (przedmowa: Witold Wirpsza; tłumacze: Karl Dedecius, Peter Lachman, Maria Kurecka i Peter Raina). ■ Wychodzący we Frankfurcie nad Menem *Börsenblatt des Deutschen Buchhandels* (nr 38/1980), z okazji *Międzynarodowych Targów Książki* w Warszawie został w całości poświęcony problematyce polskiej. *Oberbaum Verlag* napisał do *Börsenblatt* obszerną notę o przygotowywanej antologii. Tekst został na żądanie ambasady PRL w Kolonii usunięty. Ukazały się natomiast w *Börsenblatt* artykuły dyrektorów PRL-owskich wydawnictw (np. Andrzeja Wasilewskiego i Stanisława Bębenka). ■ Powieść Jerzego Kosińskiego *Blind date* ukazała się we frankfurckim *S. Fischer Verlag*. ■ Wincenty Broniów-Orlński (*PSL*), przedstawiciel rządu emigracyjnego w RFN odznaczył w Hanowerze Edmunda Habera (*PSL*) złotym i Stanisława Sołtysa (*PSL*) srebrnym Krzyżem Zasługi. ■ Lubecko-dortmundzkie przedsiębiorstwo *Orenstein + Koppel* otrzymało z Polski zlecenie na dostawę czterech wielkich koparek z kołem czepakowym, przeznaczonych do eksploatacji węgla brunatnego w kopalniach odkrywkowych. Wartość zamówienia, które ma zostać zrealizowane do 1983 roku, wynosi 200 mln marek. ■ Zakłady *Krupp-Koppers* z Essen budują urządzenie do wytwarzania gazu palnego na terenie kopalni *Janina* w pobliżu Katowic (koszt: 250 mln marek). ■ W wydawanym w języku polskim miesięczniku *Profil (Friedrich Reinecke Verlag* w Hamburgu na zlecenie *Federalnego Urzędu Prasy*), który nadal nie posiada wyrażonego debitu w PRL (wysyłany jest do Polski drogą pocztową i rozprowadzany przez amba-

sadę RFN w Warszawie), czytamy m.in.: „Istniejąca między Bremą a Gdańskiem umowa o współpracy partnerskiej jest stale wypełniana konkretną treścią. Na początku marca senator ochrony zdrowia, Herbert Brückner, uroczyście powitał już drugą z kolei, dziesięcioosobową grupę lekarzy i pielęgniarek z Gdańska, przybyłych do Bremy na okres trzech tygodni”. *Profil* kosztuje zachodniemieckiego podatnika ponad 300 tys. marek rocznie... ■ Winfried Lipscher został rzecznikiem prasowym *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadtzie; był działaczem *Bensberger Kreis* i przez szereg lat pracował w *Auswärtiges Amt*, ostatnio w ambasadzie RFN w Warszawie. Jest autorem szeregu przekładów z literatury polskiej. ■ Wydatki *Funduszu Społecznego Oddziałów Wartowniczych* (Mannheim, RFN) za 34 lata: 3.933.100,00 DM) opieka nad b. Wartownikami — 682.100,00; pomoc Wartownikom — 370.600,00; pomoc uczącej się młodzieży — 959.600,00; utrzymanie *Ostatnich Wiadomości* — 1.014.300,00; nagrody i dotacje kulturalne 120.200,00; oświata i sport — 601.800,00; wydatki administracyjne i inne — 184.500,00). ■ Kraków gościł znanego przemysłowca — Petera Ludwiga z Akwizgranu. Ludwíg wypożyczył krakowskiemu *Muzeum Narodowemu*, na okres 1,5 roku, zbiór 347 grafik Picassa. Wyraził życzenie, by dochód z wydanego przezeń katalogu przeznaczyć na odnowę Krakowa, na którą dał również 50 tys. marek. ■ Konsorcjum bankowe (*Deutsche Bank, Dresdner Bank i Commerzbank*) udzieli Polsce kolejnego kredytu w wysokości 1 miliarda marek. ■ Karl Dedecius dokonał przekładu i wydał w *Suhrkamp Verlag* (Frankfurt nad Menem) tom wierszy Wisławy Szymborskiej — *Deshalb leben wir (Dlatego żyjemy)*. ■ *Fundacja Alfred Krupp von Bohlen und Halbach* na osobisty wniosek prezesa rady nadzorczej, Bertholda Beitza, przyznała 2 mln marek na zakup nowoczesnego tomografu komputerowego dla *Centrum Zdrowia Dziecka. Trybuna Ludu* odnotowała tę wiadomość w jedenastowierszowej notatce. Natomiast ta sama gazeta poświęciła czterdzieści pięć wierszy informacji o zebraniu w Szwecji zaledwie 12 tys. koron (w ciągu 1979 roku!) na *Centrum Zdrowia Dziecka* w Warszawie. Uważamy ten szczegół za godny odnotowania. ■ Wydział konsularny ambasady RFN w Warszawie liczy, że w bież. roku wyda ok. 300 tys. wiz obywatelom polskim (przeważają wizy tranzytowe). W pierwszym półroczu bież. roku ok. 5 tys. Polaków z paszportami reżymowymi otrzymało czasowo ograniczone zezwolenie na podjęcie pracy zarobkowej w RFN. ■ Reinhold Vetter ogłosił w *Tageszeitung* obszerny wywiad z dwoma anonimowymi działaczami *Wolnych Związków Zawodowych* i współpracownikami *Robotnika Wyrzeża*. ■ *Związek Wysiedlonych* (BdV) skupiający 19 ziomkostw i innych organizacji domagał się na dorocznym zgromadzeniu federalnym w Bonn prawnego potwierdzenia na międzynarodowej konferencji w Madrycie istnienia Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 roku. Przewodniczącym BdV został wybrany ponownie Herbert Czaja (wiceprzewodniczącym: Herbert Hupka i Walter Becher). ■ Jedynie 40 % polskich uchodźców otrzymuje w RFN azyl polityczny (Czesi — w 100 %). ■ Wschodniobrzeżni *Centralny Antykwariat* sprzedaje w RFN polskie książki wydane przed 1945 rokiem. Najstarsze druki pochodzą z XV wieku. Ostatni katalog zawiera ok. 800 pozycji. ■ *Jury VIII Międzynarodowego Biennale Plakatu* w Warszawie (w grupie plakatów kulturalnych) przyznało złoty medal trzem plastynom zachodniemieckim. Laureatami nagrody za afisz teatralny *Otello* — zostali: Gerhard Lienemeyer, Günter Rambow i Michael van de Sand. ■ W NRD ukazało się dotychczas 710 przekładów z literatury polskiej. W Polsce wydano 694 przekłady z literatury niemieckiej i NRD. Od 1949 roku wyświetlono w NRD 311 polskich filmów fabularnych i 1.496 krótkometrażowych. Polska sprowadziła z NRD 211 filmów fabularnych i 30 krótkich na ekrany kin i do telewizji. ■ W gmachu Szkoły Podchorążych

w Parku Łazienkowskim w Warszawie otwarta została wystawa darów rządu RFN dla Zamku Królewskiego, przekazanych w latach 1973-1980. Otwarcia wystawy dokonał przewodniczący frakcji FDP w *Bundestagu* — Wolfgang Mischnick. Ekspozowane dary o wartości ok. 2 mln marek obejmują 15 malowideł, głównie portrety członków polskich dynastii królewskich, 15 rzeźb (popiersia, posągi i rzeźby) oraz 25 sztuk różnych mebli z okresu od XVI do XVII wieku. Dary wiążące się bezpośrednio z historią Zamku Królewskiego zostały zakupione przez rząd RFN po uprzedniej konsultacji z polskimi historykami sztuki. Prasa krajowa zamieściła zaledwie krótkie wzmianki o otwarciu wystawy. ■ Korespondentem warszawskim wydawanego w RFN organu *Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP)* — *Unsere Zeit* jest Karol Rzemieniecki: „W niektórych przedsiębiorstwach doszło do przerw w pracy ponieważ polscy robotnicy nie zostali dostatecznie poinformowani o systemie regulacji cen”... ■ Ostatnio prasa zachodniemiecka podaje alarmujące meldunki o bezprawnym przywłaszczaniu przez katolików na Pomorzu kościołów ewangelickich, zdarzają się też wypadki podpalania świątyń luterańskich (np. w Nowym Dworze); Ewangelicko-Augsburski Kościół w Polsce liczy obecnie zaledwie 80 tys. wyznawców. Co roku kilka tysięcy Mazurów i Kaszubów deklaruje niemieckie pochodzenie i wyjeżdża do RFN. Wiele kościołów ewangelickich — píše *Frankfurter Allgemeine Zeitung* — znajduje się w stanie całkowitej dewastacji. ■ *Dziennik Fuldaer Zeitung* zamieścił obszerny artykuł Rudolfa Ströbingera na temat działalności *Młodych Katolików* w Lublinie i tematyki wydawanego przez nich niezależnego pisma *Spotkania*. ■ Opozycyjny kwartalnik krajowy *Aspekt* (nr 2-3/1979) opublikował obszerną dokumentację dotyczącą spraw polsko-niemieckich i zaapelował do czytelników o wzięcie udziału w dyskusji: „Głęboki podział naszych poglądów i postaw w sprawie niemieckiej sprzyja... wrogom naszej suwerenności i naszej integralności, tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie”. ■ W hamburskim tygodniku *Der Spiegel* ukazał się esej Jacka Bocheńskiego — *Fehler des Jahrhunderts (Błędy stulecia)*. Autor ocenia reakcje polskiego społeczeństwa na sowiecką interwencję w Afganistanie oraz położenie i szanse polskiego ruchu opozycyjnego na tle oportunistycznej polityki krajów zachodnich. Ten sam tygodnik przyniósł także 3-stronicowy wywiad z Jackiem Kurońem na temat przyczyn ostatniej fali strajków i aktualnej sytuacji politycznej i gospodarczej w Polsce. ■ Sto osób z krakowskiej Archidiecezji zaprosił kardynał Joseph Höffner na uroczystości związane z jubileuszem katedry w Kolonii. Z Krakowa nadeszła negatywna odpowiedź („Była jednak do przewidzenia” — píše *Kölner Stadt-Anzeiger*). Jak wiadomo polscy duchowni i świeccy działacze katolicy nie wzięli również udziału w tegorocznym 86. *Deutscher Katholikentag*, który odbył się w Berlinie Zachodnim. Powodem pogorszenia się stosunków między Episkopatami Polski i Niemiec a przede wszystkim świeckimi katolikami były wypowiedzi bawarskiego ministra oświaty prof. Hansa Maiera w sprawie atlasów szkolnych. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi *Der Spiegel* Maier podtrzymał konstytucyjną ważność granic z 1937 roku, potwierdzoną rezolucją *Bundestagu* z 1972 roku. Nie byłoby w tym nic nowego gdyby nie fakt, że prof. Maier piastuje jednocześnie godność przewodniczącego *Centralnego Komitetu Katolików w RFN* (artykuł w wielkim tygodniku hamburskim *Die Zeit* komentujący opinie prof. Maiera został tydzień zatytułowany — *Wiecznie wczorajsi*). Byłoby jednak naiwnością przypuszczać, że tylko te względy zdecydowały o nieobecności polskich biskupów i świeckich działaczy katolickich w Berlinie Zachodnim: do nieobecności Polaków na *Katholikentagu* dąży partia a nie czynniki kościelne. Z drugiej strony kościół katolicki w RFN jest do tego stopnia *sfilcowany* z CDU i CSU, że nie może sobie pozwolić na bardziej samodzielne posunięcie, które byłoby sprzeczne

z chadecką wykładnią *Ostpolitik*. Jedyne organizacja *Pax-Christi* wyraziła swoje poparcie dla układu PRL-RFN z grudnia 1970 roku. Później z misją mediacyjną przebywał w RFN Andrzej Micewski (*Znak*), nie dała ona jednak widocznych rezultatów (bardzo rzeczowe było wystąpienie Micewskiego w programie telewizyjnym *WDR* w Kolonii); wiadomo również że prof. Stanisław Stomma, Władysław Bartoszewski, Tadeusz Mazowiecki i Jerzy Turowicz wystosowali do prof. Hansa Maiera list, w którym wyrazili zaniepokojenie z powodu braku postępów w stosunkach między katolikami obu krajów ■ W Londynie odbyło się pierwsze konstruktywne posiedzenie *Rady Narodowej R.P.* poświęcone sprawom niemieckim i polskiej działalności niepodległościowej oraz sytuacji Polonii w Republice Federalnej Niemiec. W posiedzeniu wzięło udział 9 członków oddziału *Rady* w Republice Federalnej. Podstawę dyskusji stanowiły wystąpienia dr Ludwika Frendla (Monachium), Tadeusza Podgórskiego (Monachium), Jacka Kowalskiego (Augsburg). Prezes Kazimierz Sabbat podsumował debatę w kwestii niemieckiej. Kazimierz Sabbat: „Polska polityka niepodległościowa nie może zaakceptować podziału Niemiec jako stanu trwałego. Nie może uczynić tego ze względów moralnych, bo nie może odmówić narodowi niemieckiemu prawa do jedności i do wolności, tego samego prawa o które walczą dla siebie”.

Andrzej J. CHILECKI

Młody prawnik (absolwent Uniwersytetu Warszawskiego) posiadający doświadczenie dziennikarskie, znający dobrze problematykę społeczną i polityczną PRL, władający językami angielskim i niemieckim, poszukuje odpowiedniej pracy na terytorium Europy Zachodniej.

Oferty proszę przysyłać na adres „KULTURY”:
91 AVENUE DE POISSY, LE MESNIL-LE-ROI
par 78600 MAISONS-LAFFITTE, FRANCJA.

Sprawy i troski

Polonia Amerykańska

Motto: „Dzisiejsza Polonia patrzy w światłą przyszłość”. Józef Wiewióra, redaktor *Zgody*, w broszurze: „Spadkobiercom Wielkiego Dziedzictwa Związkowego”, Chicago, 1975.

Jaką faktyczną siłę polityczną stanowi Polonia Amerykańska? Prawdopodobnie niewielką. Trudno nawet mówić o jednej Polonii. Jest ich właściwie pięć. Dwie najstarsze, które składają się z potomków dawnej „zarobkowej” emigracji i przybyłej po drugiej wojnie światowej „politycznej” emigracji — nazwijmy je Polonią Nr 1 i Nr 2 — wykuszają się, nie zostawiając dziedzica, „ani dla swojej lutni (patriotycznej), ani dla imienia (polskiego)”, bo ich dzieci, czyli Polonia Nr 3 i Nr 4, poza nielicznymi wyjątkami nie obracają się już w ogóle w kręgu spraw polskich. Jest poza tym najnowsza „zarobkowa” Polonia Nr 5, sącząca się żywotnym strumykiem z PRL.

Przed rokiem 1870-tym w Stanach Zjednoczonych osiadali głównie inteligenci, którzy opuścili kraj po upadku powstań. Ich działalność samopomocowa, charytatywna i kulturalna, prowadzona na kanwie patriotycznej, dała później rolnikom i robotnikom ze wszystkich trzech zaborów poczucie wspólnego losu i swoistego posłannictwa w sprawach Polski. W rezultacie powstał osobliwy twór w postaci olbrzymiej grupy Amerykanów, którzy przez kilka pokoleń pielęgnowali świadomość swojego pochodzenia, pomimo że większość z nich pamiętała Polskę jako kraj nędzy od której uciekli, albo znała ją tylko ze słyszenia.

Wbrew stereotypowym mniemaniom o ich chłopskiej zaściankowości ludzie ci udzielali pomocy rodakom w kraju i potrzebującym polskim imigrantom w Ameryce; fundowali kościoły,

szkoły i biblioteki; dopominali się w Delegaturze Apostolskiej w Waszyngtonie o prawo istnienia przy ich parafiach polskiego szkolnictwa, oraz wysyłali wprost do Watykanu poselstwa domagające się uwzględnienia polskiego duchowieństwa w nominacjach na biskupów.

Najbardziej jednak zadziwiająca była ich działalność ściśle polityczna. W wystąpieniach z okazji zjazdów międzynarodowych Polonia przypominała monarchom, mężom stanu i opinii światowej o losie Polski. W okresie pierwszej wojny światowej I. J. Paderewski krążył między Białym Domem a „polskim” Chicago i rozmawiając z prezydentem Wilsonem powoływał się na stanowisko 4 milionów Amerykanów w sprawie niepodległości Polski, jednocześnie zachęcając Polaków do dalszych wysiłków tym, że ich głos trafiał wprost do centrum dyspozycyjnego polityki Stanów Zjednoczonych. Wynikiem tych starań była brzemnienna w skutki mowa Wilsona, w której żądał Polski „zjednoczonej, niepodległej i samorządnej”. W tym samym czasie była organizowana pomoc materialna dla Kraju i energiczne interwencje u alianckich mężów stanu, by Komitet Narodowy Polski otrzymał status oficjalnej reprezentacji Polski na konferencji pokojowej w Wersalu. Dopiero w okresie międzywojennym, kiedy dramatyczne potrzeby i sytuacje przestały istnieć, polityczna działalność Polonii znacznie osłabła, żeby pomimo hitlerowskiego najeźdu na Polskę nigdy nie podnieść się do poprzedniego poziomu.

Po drugiej wojnie światowej Polonia zaczęła się rozpraszać. Razem z całą średnią klasą do której teraz należała, z nieznaną przedtem częstotliwością przenosiła się z miejsca na miejsce, idąc tam, gdzie otwierały się możliwości pracy w przemyśle. W podobnej sytuacji znalazły się dzieci Polonii Nr 2. Najnowsi zaś przybysze z PRL, którzy w większości przyjechali do Stanów Zjednoczonych z względnie dobrą znajomością angielskiego i uniwersalnymi zawodami technicznymi, w ogóle zaczęli swój pobyt w tym kraju od rozproszenia. W nowych warunkach przestały istnieć linie komunikacyjne pomiędzy starymi przybyszami a nowymi, zwłaszcza, że światopogląd tych młodszych grup zaczął formować się pod perwersyjnym wpływem radia i telewizji amerykańskiej, które dla średniej klasy stanowią główną strawę intelektualną. Po raz pierwszy w swojej historii i na przekór szeroko uprawianej retoryce o nonsensowności koncepcji „tygla” amerykańskiego, emigracja polska, jak wszystkie inne, zaczęła roztapiać się w „tyglu” anglosaskim.

Dotychczas dopływ nowych członków do organizacji polonijnych był prawie automatyczny. Rodzice zapisywali do nich dzieci wkrótce po ich urodzeniu. Teraz zabrakło nowego pokolenia, które by interesowała kontynuacja tej tradycji. Toteż w spra-

wozdaniu złożonym na 38-ym Sejmie Związku Narodowego Polskiego, który zebrał się w sierpniu 1979 roku, prezes Mażewski czuł się zmuszony poinformować delegatów, że na ogólną ilość 1294 grup Związku było „ponad 450 grup, które nie zapisały ani jednego nowego członka w obecnym okresie sprawozdawczym, a wielu z nich straciło członków przez proste zaniedbanie”. Ponieważ ten proces trwa już od pewnego czasu, można było ustalić, że ilość członków ZNP zmniejsza się stale o prawie 1 % rocznie. W innych organizacjach spadek wynosi 2 % do 4 %.

Dzieje się to pomimo imponującej ruchliwości prezesa Mażewskiego, który w swojej podwójnej roli głowy ZNP i na szerszej płaszczyźnie Kongresu Polonii Amerykańskiej troszczył się, by znaleziono „nowe podejście do dyskryminacji, od której cierpią Amerykanie polskiego pochodzenia, nowe drogi do ukrócenia tak zwanych „żartów etnicznych”, jak też uzasadnienie, że Amerykanie polskiego pochodzenia zasługują w pełni na więcej stanowisk federalnych i samorządowych, zarówno z nominacji, jak i wyboru”. Z innej okazji prezes Mażewski poruszał takie zagadnienia jak: „więcej nominacji Amerykanów polskiego pochodzenia do amerykańskiej służby dyplomatycznej, rozszerzenie działalności Radia Wolna Europa, obrona dysydentów w Polsce, kulturalna i gospodarcza wymiana z Polską i inne”. Przeprowadzał więc na te tematy rozmowy z dwoma kolejnymi prezydentami Stanów Zjednoczonych, wysokimi urzędnikami Departamentu Stanu i wieloma innymi.

Zbierając niejako owoce swej pracy, prezes Mażewski wziął udział w zaprzysiężeniu Mitchella Kobelińskiego na „wysokie i odpowiedzialne stanowisko Administratora Wydziału Drobnych Przedsiębiorstw”, uzyskał od prezydenta Forda proklamację obwieszczającą 11 października dniem Pułaskiego oraz długo oczekiwaną ustawę o pomocy dla polskich weteranów. Zdobył także od Kongresu Stanów Zjednoczonych pozwolenie nazwania nowego budynku federalnego w Chicago imieniem Jana C. Kluczyńskiego, zmarłego kongresmana z 5-go dystryktu, itd.

Prezes Mażewski jest dumny z tych i innych, niewymienionych tu sukcesów. Patrzy w przyszłość z optymizmem. Nie martwi go zbyt wiele nawet stałe ubytki w ilości członków ZNP, pomimo że 90 % członków polonijnych organizacji wywodzi się z zanikających najstarszych grup, a młodsze pokolenia nie mogą już być uważane za materiał rekrutacyjny. Jest przekonany, że przy zwiększonej gorliwości będzie można odwrócić tę tendencję. Wydaje się także nie spostrzegać, że przy szybkim wsiąkaniu młodszych grup w życie amerykańskie znalezienie wspólnego mianownika, dokoła którego mogłyby się ewentualnie skupić, będzie o wiele trudniejsze niż było ongiś, kiedy związani wspólnym

losem Polacy amerykańscy mieszkali w zwartych ośrodkach, które dzisiaj sami nazywają gettami.

Ta krótkowzroczność jego i innych przywódców Polonii jest tym dziwniejsza, że coraz wyraźniej manifestuje się nieudolność rozczłonkowanej grupy polskiej w realizowaniu jakichkolwiek wspólnych projektów. Przykładem tego były niedawne dziesiątki inicjatyw podjętych dla uczczenia wyboru Papieża-Rodaka, które pomimo powszechnej euforii z reguły kończyły się fiaskiem. W tej sytuacji obawiać się należy, że nawet tak konstruktywne pomysły jak Studium Spraw Polskich, będące łącznym produktem Polonii Nr 1 i Nr 2, przy notorycznym niewłączaniu się do nurtu życia polskiego młodszych Polonii będzie miało żywot tylko tak długi, jak długo te dwa najstarsze pokolenia będą czynne. To, że sporadycznie widzi się na zebraniach ludzi młodszych, nie zmienia ani całości obrazu, ani perspektyw na przyszłość.

Prezes Mażewski ze szczególnym zadowoleniem komentuje świetny stan majątkowy ZNP, którego zasoby i ubezpieczenia są większe niż wszystkich innych organizacji razem wziętych. W zestawieniu dziesięcioletnim podaje, że te zasoby ZNP wzrosły z \$ 138.000.000 w roku 1970 do \$ 163.380.000 w roku 1979, co oczywiście stanowiłoby fenomenalny wzrost, gdyby nie miały miejsca jednoczesne drastyczne zmiany w ekonomii amerykańskiej. Jeżeli bowiem przeliczy się wartość majątku ZNP w tych dwóch okresach w stosunku do ogólnie przyjętej podstawowej wartości dolara z roku 1967, to mamy poważny ubytek, a nie zysk.

Ważną część życia Polonii zawsze stanowiło i dotychczas stanowi duszpasterstwo. O polskich parafiach i polskim życiu religijnym pisał w *Kulturze* kilkakrotnie ks. W. Sojka, definiując nie tylko same zmiany, ale analizując także ich przyczyny. Nowym elementem jest, że od kilku lat rozwija na terenie Stanów Zjednoczonych ożywioną działalność założone w roku 1932 przez kardynała Augusta Hlonda Towarzystwo Chrystusowe, którego wyłącznym celem jest praca wśród Polonii zagranicznych. Wprowadzenie zakonników, mających stały kontakt z Kościołem w Polsce i swój amerykański, niezależny od diecezji ośrodek jest bardzo obiecujące. Może bowiem doprowadzić do wypracowania nowych zasad opieki duchowej, które by zastąpiły tradycyjny schemat oparty na istnieniu statycznego probostwa, nie bardzo efektywnego w warunkach postępującego rozproszenia. Potrzebna będzie także równoległa działalność kulturalna, bo do spraw czysto religijnych dochodzi zagadnienie przywracania polskości coraz bardziej oddalających się od niej członków Polonii Nr 3, Nr 4 i Nr 5.

Alarmująca jest sytuacja prasy polonijnej. Spośród wydawanych obecnie gazet i periodyków, dla ludzi z dawnych ośrodków polskich przeznaczone są detroicki *Dziennik Polski*, chicagowski *Dziennik Związkowy* z dodatkiem *Zgoda*, chicagowski *Naród Polski* oraz tygodnik *Gwiazda Polarna* z Stevens Point, Wisc., którego czytelnicy, dzięki zręcznej polityce redakcyjnej, rekrutują się częściowo także z nowszych grup emigracji. Do pism przeznaczonych dla czytelników, których znajomość języka polskiego uformowała się na poziomie literackim, należy zdecydowanie wybijający się zakresem zainteresowań i klasą publicystyki nowojorski *Nowy Dziennik*, wydający także dodatek kulturalny *Tydzień Polski* i po angielsku miesięcznik *New Horizon*. Prasa związkowa i zjednoczeniowa istnieje głównie dzięki subsydiom tych organizacji, które z roku na rok stają się coraz poważniejsze i są powodem coraz głośniejszych narzekań na sejmach. Troska o przyszłość prasy polskiej w Ameryce jest tym bardziej uzasadniona, że dotychczasową podstawę jej istnienia stanowili czytelnicy, którzy znali język polski lepiej niż angielski, a ta kategoria przestaje w ogóle istnieć.

Jest oczywiście ogromna różnica w traktowaniu spraw polskich przez gazety polonijne i amerykańskie, ale ten aspekt jest ważny tylko dla zanikających Polonii Nr 1 i Nr 2. Pisanie zaś w sprawach polskich po angielsku, zamiast po polsku (dla młodszych pokoleń) nie rozwiąże zagadnienia, ponieważ prasa polonijna, bez względu na język w jakim jest pisana, ani teraz ani nigdy przedtem nie była w stanie konkurować jakością obsługi z amerykańskimi środkami masowego przekazu, nie mając ani wielkich nakładów, ani związanych z tym dochodów z lukratywnych ogłoszeń. Musi więc ograniczać się do zapożyczeń materiału i podawać nawet bieżące informacje z jednodniowym opóźnieniem w metropoliach, a kilkudniowym poza nimi. A są to czasy, kiedy każdy szanujący się Amerykanin dowiaduje się o najbardziej aktualnych wydarzeniach za naciśnięciem guzika natychmiast.

Inną troską Polonii jest głęboki kryzys, jaki przeżywa istniejące od 1912 roku Kolegium Związkowe w Cambridge Springs w Pensylwanii, które ma w tej chwili tylko 178 studentów na pełnych studiach i 40 na częściowych. Pomimo specjalnych stypendiów ZNP, z nauki języka polskiego korzysta tylko 29-ciu na 129-ciu, którzy są pochodzenia polskiego. Tym samym Kolegium Związkowe nie może stanowić poważnego ośrodka naukowego, ani odgrywać prawie żadnej roli w krzewieniu znajomości polskiej kultury w najmłodszym pokoleniu.

Chociaż sprawa Kolegium żywo dotyczy całej Polonii, to z natury rzeczy decyzję co do jego przyszłości będzie musiał pod-

jąć Zarząd Centralny Związku Narodowego Polskiego. Nie będzie to decyzja łatwa, bo o ile celowość dalszego istnienia Kolegium budzi u większości poważne wątpliwości, o tyle jego likwidacja byłaby otwartym przyznaniem się do utraty młodego pokolenia. Mnożą się głosy, że bardziej wskazane byłoby użytkowanie pieniędzy wydawanych teraz na Kolegium na stypendia dla studentów polskiego pochodzenia, albo na tworzenie i utrzymywanie katedr polskich na uniwersytetach amerykańskich, bez obciążania Polonii ciągle wzrastającymi kosztami utrzymywania instytucji, która w zmieniającej się nieodwracalnie sytuacji nie ma szans spełnienia nadziei, jakie w niej niegdyś pokładano.

Nikt tych piętrzących się zagadnień nie rozwiązuje. Odnosi się nawet wrażenie, że nikt ich nie chce widzieć, żeby nie rozwiewać iluzji, że nie jest jeszcze źle. Polonia Nr 1 uspokaja swoje patriotyczne sumienie udziałem w rytualnych paradach i obchodach na cześć Konstytucji 3-go Maja, Pułaskiego i Kościuszki, podczas gdy Polonia Nr 2 pielęgnuje pamięć swojej politycznej roli przez udział w akademiach w rocznice bitwy pod Monte Cassino, Powstania Warszawskiego i Katynia. Pozostałe zaś trzy Polonie stoją na uboczu, zaabsorbowane kłopotami codziennego życia.

W tych warunkach dla odwrócenia procesu staczania się po równi pochyłej na pewno potrzebny jest program idący głębiej niż panująca obsesja *Polish jokes* czy kampania o powiększeniu ilości stanowisk w biurokracji amerykańskiej dla członków Polonii, żeby zgodnie z założeniami prof. Danuty Mostwin zjawiły się wśród młodszych pokoleń Polonii „nowe właściwości”, które by je popchnęły w kierunku podjęcia roli zanikającego uchodźstwa politycznego.

Jerzy SZEPTYCKI

Płyta

WIERSZE JANA PAWŁA II

w recytacji Haliny Mikołajskiej i Macieja Rayzachera, wspomnienia prymasa Stefana Wyszyńskiego poświęcone pamięci Jerzego Zawieyskiego, pieśni kościelne nagrane podczas „Sacrosongu” w kościele św. Marcjana w Warszawie, w czerwcu 1979 roku.

Cena 50 skr., względnie równowartość.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:
SAFRAN 78 — Jiří Pallas: August Södermans Väg 61, S-75249
Uppsala, S z w e c j a.

Kronika kulturalna

Przemiany w kulturze polskiej II

I

W ciągu kilku ostatnich lat zaszły w kulturze polskiej zmiany niesłychanie istotne, które wskazują, że znalazła się ona na drodze ku przewartościowaniu swego dorobku. Można nawet mówić o przesileniu. Jest to oczywiście sąd subiektywny, niemniej spróbuję go w tym krótkim szkicu uzasadnić. Rzecz jasna — będą zwracał uwagę na niektóre tylko zjawiska. Większość z nich i tak wymaga odrębnego, szerszego omówienia — tutaj mogę jedynie zasygnalizować istnienie problemu.

Na początek jednak krótka uwaga: niezależnie od tego czy fakty, o których będzie tu mowa należą do kręgu kultury „oficjalnej” czy „nieoficjalnej”, mają one wspólną cechę — jest nią przeciwstawianie się (bardziej lub mniej otwarte) redukcji wartości kulturowych do instytucji politycznych. Redukcja taka stanowi istotę każdego systemu totalitarnego — czy będzie nim system faszystowski w Niemczech, czy komunizm sowiecki, czy wreszcie fikcyjny świat stworzony w Orwellovskim „Roku 1984”. Kultura polska od chwili powstania PRL poddawana jest mniej lub bardziej udolnie owej redukującej presji ideologiczno-politycznej. Okresem najbardziej dramatycznym była tu niewątpliwie epoka stalinizmu, niemniej i obecnie, w sposób co prawda mniej prostacki, podejmuje się próby takiego manipulowania całym systemem kultury, by zakres jego działania ograniczyć w społeczeństwie do minimum. Ostatnio też widoczne są zewnętrzne objawy tych manipulacji: drastyczne ograniczenia ilości miejsc na wydziałach studiów humanistycznych, zagrażające podstawom kultury, cięcia przydziału papieru na książki, prasę i podręczniki,

policyjne represje w stosunku do grup i osób podejmujących niezależne inicjatywy wydawnicze i samokształceniowe, narastająca presja cenzury — oto tylko wybrane przykłady niszczenia sfery społecznej samoświadomości.

Równocześnie jednak obserwuje się szereg zjawisk niezwykle ważnych, które, choć mają ograniczony zasięg społeczny, stanowią o tym, że kultura nie tylko wytworzyła mechanizmy samoobronne, lecz również zapewniła sobie możliwość dalszego, wcale dynamicznego rozwoju. Bez wątpienia mamy tu do czynienia z rzeczywistością i chyba najbardziej dramatyczną po wojnie próbą sił w zmaganiach między paraliżującym świadomością ciśnieniem totalitarnej ideologii a środowiskami intelektualistów walczących o swobody twórcze. Nie jest to walka równa, lecz trudno również powiedzieć, że jej wynik jest w tej chwili ostatecznie przesądzony. Wynika to między innymi z tego, że w Polsce, w odróżnieniu od pozostałych państw bloku moskiewskiego (może jeszcze z wyjątkiem Węgier) nie ma ściśle wyznaczonej granicy między kulturą „oficjalną” i „nieoficjalną” — ta płynność sprawia, że autentyczne inicjatywy kulturalne nie są automatycznie skazane na niepowodzenie. Nie bez znaczenia jest tu również fakt, że w sferę „nieoficjalną” zaangażowana jest spora grupa ludzi z elity intelektualnej kraju.

Blisko 40-letni okres politycznych manipulacji stał się nie tylko przyczyną naruszenia równowagi humanistyki polskiej, lecz również doświadczeniem, które system kultury potrafił — mimo wszystko — spożytkować na własną korzyść. Warto tu zauważyć, że przy stałym podkreślaniu związków z tradycją europejską oraz przy uleganiu — powierzchownym na ogół — fascynacjom modami zachodnimi, humanistyka polska dokonała swego przewartościowania owej tradycji. Stało się to za sprawą specyficznego „wypробowywania” systemu wartości tej kultury w zderzeniu z miażdżącą maszyną postbizantyjskich instytucji politycznych, zwłaszcza z ideologią sowieckiego komunizmu. Zderzenie to wywarło olbrzymi wpływ zarówno na kształtowanie oblicza polskiego katolicyzmu, jak na powstanie bardzo specyficznego modelu literatury czy nawet życia literackiego. Oczywiście — i jedno, i drugie ma swe korzenie w polskiej tradycji, w historycznych i egzystencjalnych doświadczeniach narodu. Lecz trzeba pamiętać i o tym, że tradycja owa została w okresie dwudziestolecia międzywojennego niejako „zawieszona” — nastąpiła wówczas próba „normalizacji” życia kulturalnego w oparciu o suwerenność państwową. Jak daleka jest dzisiaj ówczesna atmosfera, świadczyć może chociażby martwa tradycja poetyckiego modelu Skamandra oraz bardzo daleko idące zakwestionowanie dorobku awangardy krakowskiej, zwłaszcza w sferze programowej. Na taką możli-

wość rozwoju sytuacji w poezji zwracał uwagę jeszcze w okresie okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wyka na łamach *Miesięcznika Literackiego*. Obecne przewartościowanie dotychczasowego dorobku ma jednak zakres dużo szerszy niż tylko poetycki.

II

Do niedawna właśnie w poezji najbardziej widoczne były próby przekomponowania systemu kulturowego. Jeszcze w początkach lat 60-tych zwracał na to zjawisko uwagę Jan Błosiński w *Zmianie warty*, podkreślając zarazem nieumiejętność zuniwersalizowania poza poezją i intelektualnego opanowania własnych doświadczeń historycznych i egzystencjalnych tak, by mogły się one stać składnikiem kultury Zachodu. I rzeczywiście — udało się to najpierw w poezji: nie przypadkiem właśnie wiersze Różewicza, Herberta czy ostatnio Szymborskiej torują drogę polskiej literaturze współczesnej (nie mówię tu o wyjątkach — Gombrowiczu, Mrożku, Lemie albo Lecu: literacki dorobek każdego z nich stanowi oddzielny problem). Ale też właśnie poezja stanowi najbardziej niewdzięczny system transmisji kulturowego dorobku — bariera językowa jest tu właśnie najtrudniejsza do przełamania.

Ostatnio jednak wiele wskazuje na to, że zarówno esejystyka jak proza (czy nawet publicystyka) znajdują formułę intelektualnej uniwersalizacji polskich doświadczeń, nie gorszą od tej, jaką w poezji wykształciła tradycja norwidowsko-leśmianowskiej linii. I te właśnie przemiany pragnę uczynić przedmiotem niniejszego szkicu.

Przedtem jednak chciałbym zwrócić uwagę na sprawę w kulturze polskiej zasadniczej wagi. Otóż tak w niej żywa tradycja romantyczna (przy czym, jak wiadomo, romantyzm polski miał w Europie swą trudną do „przełożenia” specyfikę) ufundowana była w dużej mierze na historyzmie. Ow historyzm sprawił, że kultura stała się podatna na narzuconą jej urzędowo po wojnie ideologiczną doktrynę marksizmu. Charakterystyczne jest zwłaszcza silne zakorzenienie się w polskiej humanistyce pojęcia postępu i wynikająca stąd predyspozycja do przeciwstawiania sobie intelektu i doświadczenia. Ostatnie lata owo przeciwstawienie zakwestionowały — efekty stały się też od razu widoczne; przede wszystkim poddane zostało krytycznej analizie samo pojęcie postępu w kulturze, co spowodowało z kolei osłabienie postawy dziejowego relatywizmu. Ten moment ma znaczenie przełomowe i znajduje odbicie w tak odmiennych dziełach jak „Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego, „Mała apokalipsa” Tadeusza

Konwickiego czy ostatnio w eseju Tomasza Burka „Jaka historia literatury jest nam dziś potrzebna?”.

Można powiedzieć, że lata ostatnie to okres silnej koncentracji i samokontroli kultury polskiej. Przy czym uwaga ta dotyczy zarówno całości jak poszczególnych twórców. Nie przypadkiem też nastąpił gwałtowny rozwój eseistyki, pamiętnikarstwa, obserwuje się też silne dążenia do opracowania syntez dorobku w poszczególnych dziedzinach kultury (jedną z nich stała się fascynująca wystawa Muzeum Narodowego w Krakowie „Polaków portret własny” — niestety rozmontowana po bardzo krótkim okresie funkcjonowania). Jest to jakby spełnianie postulatu zgłoszonego u progu lat 70-tych w głośnej książce krytycznoliterackiej Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony” — domagali się w niej wypracowania nowego paradygmatu kultury polskiej, uwzględniającego jej XX-wieczne doświadczenia, zwłaszcza zaś doświadczenia ostatnich dziesięcioleci.

W trakcie dyskusji nad wspomnianym wyżej esejem Burka, opublikowanej w zeszytach Towarzystwa Kursów Naukowych, jeden z uczestników zwrócił uwagę na fakt, iż na przełomie lat 60-tych i 70-tych nastąpiło znaczące dla kultury wkroczenie nowej generacji, zmierzającej do przewartościowania dotychczasowego dorobku. Rzecz dotyczy nie tylko literatury, a potrzeba nowego, syntetyzującego spojrzenia widoczna jest nie tylko u przedstawicieli nowej generacji — niemniej ona właśnie w swej twórczości położyła na te zagadnienia największy nacisk.

Bez względu na katalizator przyspieszającym ów proces przewartościowania stały się wydarzenia marcowe z roku 1968, ale początki odnaleźć można w działalności Klubu Krzywego Koła, Klubu Inteligencji Katolickiej czy w słynnym „Liście 34”. Rzecz polega m.in. na tym, że po wojnie kultura polska nie zdążyła opanować intelektualnie dorobku Drugiej Rzeczypospolitej oraz doświadczeń wojny — w stosunkowo krótkim czasie poddana została druzgocącej presji stalinizmu. Przełom Października — niosący tyle nadziei! — trwał zbyt krótko, by można było dokonać syntez, ale podjęte wówczas inicjatywy nie zostały doszczętnie stłumione przez coraz sztywniejszą instytucjonalizację kultury. Lecz na ich swobodną kontynuację przyszło czekać do roku 1976, który wyzwolił szereg ważnych, niezależnych ruchów społecznych i kulturalnych. Dzięki istnieniu wydawnictw pozacenzuralnych możliwa się stała nie tylko manifestacja swobodnej myśli, lecz także przełamany został ustanowiony w kulturze „oficjalnej” rozdział kultury krajowej od emigracyjnej. Nastąpiła swobodna — choć społecznie wciąż jeszcze bardzo ograniczona — cyrkulacja informacji i idei, oficjalne struktury oświatowe i wydawnicze uzupełnione zostały przez spontaniczny rozwój ruchu samokształ-

ceniewego oraz niezależnej prasy i literatury. To wyjście poza ramy ustalone przez „oficjalny” model życia kulturalnego stało się szansą autentycznej ewolucji polskiej humanistyki, po raz pierwszy po wojnie w tak wielkim stopniu wyzwolonej spod presji cenzury.

III

Efektom wydarzeń marcowych z 1968 roku było m.in. uformowanie się ruchu debiutanckiego w poezji, który otrzymał później nazwę Nowej Fali lub „pokolenia 68”. Był to w kulturze narodowej najostrzej widoczny moment krystalizacji postaw. Znalazło to swój wyraz w tomikach wierszy Juliana Kornhausera, Adama Zagajewskiego, Jerzego Kronholda, Jarosława Markiewicza, Krzysztofa Karaska, Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Jacka Biereżina i Ewy Lipskiej — by pozostać przy nazwiskach najgłośniejszych. Towarzyszył im, prócz własnych wypowiedzi programowych, zespół krytyków, spośród których warto wspomnieć Tomasza Burka, Tadeusza Nyczka, Leszka Szarugę, Michała Komara, Kazimierza Wóycickiego czy Krzysztofa Dybciaka. Najistotniejsze były jednak wypowiedzi samych poetów — książki Barańczaka („Nieufni i zadufani”, „Ironia i harmonia”), Kornhausera i Zagajewskiego („Świat nie przedstawiony”). Po początkowym ataku na pozycje swych bezpośrednich poprzedników w ciągu debiutów, odnaleźli młodzi gniewni rzeczywistości przeciwników w twórcach „pokolenia 56”. Podczas dyskusji na Kłódzkiej Wiośnie Poetyckiej w 1971 roku Adam Zagajewski wystąpił z twierdzeniem, że pisarze ci nie wykorzystali do końca szans, jakie przed nimi otworzył przełom październikowy, że nie podołali obowiązkowi opisu otaczającej ich rzeczywistości społecznej, nie kontynuowali też polemiki z oficjalnym modelem życia kulturalnego.

Młodej poezji towarzyszył niezwykle dynamiczny ruch nieprofesjonalnego teatru studenckiego. Warto tu wymienić zwłaszcza takie spektakle jak „W rytmie słońca” (według poezji Urszuli Kozioł) Teatru Kalambur z Wrocławia, „Jednym tchem” (według poezji Stanisława Barańczaka) Teatru Ósmego Dnia z Poznania, „Pakt” (według poematu Krzysztofa Mrozowskiego) i „Podtrzymując radosne pozory trwania pochodu” (według poezji Jarosława Markiewicza) Studia Prób z Łodzi, „Spadanie” i „Sennik polski” (m.in. z wykorzystaniem wierszy rówieśników) Teatru STU z Krakowa czy „Szłość samojedna” (na motywach poezji Mirona Białoszewskiego) Teatru Pleonazmus z Krakowa. Jest to, jak widać, teatr żywiący się materią poetycką: „Lata 1971-72 — pisał T. Nyczek — były, jak dotąd, najobfitsze w

teatralne prezentacje poezji. Mową (...) o „nowym nurcie” rewolucyjnym, pokoleniowym, gdzie odrzucono tradycyjną estetykę na rzecz znaczeń i przesłań. Liryka rówieśników okazała się materialem idealnie adekwatnym”. Jednocześnie z teatrem studenckim wzrasta aktywność studenckiego kabaretu — tu niewątpliwie najodważniejszą propozycją był warszawski Salon Niezależnych, którego centralną postacią stał się autor znakomitych tekstów i świetny wykonawca Jacek Kleyff.

Ruch przewartościowania rozpoczął się również w młodej plastyce, podejmującej, jak np. krakowska grupa „Wprost” (Sobocki, Waltoś, Grzymacz) próbę opisu rzeczywistości społecznej, bądź, jak Henryk Waniek, odwołującej się do systemu symboli europejskiej tradycji kulturowej jako punktu odniesienia w walce z chaosem historii. Ta sama atmosfera kulturowego niepokoju kształtuje poszukiwania Beksińskiego czy Andrzeja Bieńkowskiego (przy czym uderza wielokierunkowość artystycznej penetracji) oraz znakomite groteski Dudy-Gracza. Spontanicznością i świeżością pomysłów, a zarazem ostrością widzenia zaskakuje plakatowa plastyka Jana Sawki. Równie ważne, jednocześnie już bezpośrednio związane z opisem sytuacji społecznej i przewartościowaniem tradycji są rysunki i „karykatury” Krauzego, Czeczota oraz Mleczki. Najostrzej nurt ten widoczny był w okresie, w którym plastycy ci skupili się wokół redagowanych przez K. T. Toeplitza *Szpilek*.

Z opóźnieniem, dopiero w drugiej połowie lat 70-tych pojawia się nowy społeczno-polityczny, publicystyczny nurt młodego kina częściowo kształtowanego przez znakomitą szkołę polskiego filmu dokumentalnego. W tej grupie trzeba wspomnieć krytyczne, pełne świetnych obserwacji filmy Janusza Kijowskiego („Indeks” — zatrzymany przez cenzurę, „Kung fu”), Falka („Wodziej”, „Szansa”), Agnieszki Holland („Aktorzy prowincjonalni”). Holland była też współtwórcą scenariusza głośnego filmu Wajdy „Bez znieczulenia” — utworu tego samego nurtu. Innym ważnym, choć nieco inaczej penetrującym rzeczywistość utworem był obraz Żebrowskiego (współtwórcą scenariusza jest młody krytyk Michał Komar) „Szpital przemienienia”, stanowiący jakby polską replikę słynnego filmu Formana „Lot nad kukułczym gniazdem”.

Pod koniec lat 70-tych w młodej literaturze zachodzą istotne przemiany. Po okresie „Burzy i naporu” przyszedł moment głębszej refleksji, widoczne się stało dążenie do intelektualnego opanowania dotychczasowych doświadczeń. Jakby symboliczny wyraz tej tendencji odnaleźć można w tytule zbioru esejów Adama Zagajewskiego „Drugi oddech”. Do tego pogłębionego nurtu kulturowej refleksji zaliczyć należy takie książki jak Barańczaka „Etykę i poetykę”, Komara „Pieśń Conrada” (książka ta m.in.

w interesujący sposób podejmuje „conradowski” wątek powojennych dyskusji światopoglądowych polskiej inteligencji, zapoczątkowany głośną polemiką Dąbrowskiej z Kotttem), Szarugi „Własnymi słowami”, zbiór wierszy Karaska „Prywatna historia ludzkości”, tomik poetycki Krynickiego „Nasze życie rośnie”. Również i w prozie rówieśników, jak choćby w powieści Zagajewskiego „Ciepło, zimno” czy w „Paroksyzmie” i „Pantokratorze” Łozińskiego widać analogiczne zamierzenia.

Nie tylko jednak w literaturze, plastyce czy filmie obserwować można ów proces rozpoznawania, opisu i przewartościowania doświadczeń. Również w publicystyce. Tu w pierwszym rzędzie zwracają uwagę dwa eseje Adama Michnika — „Cienie zapomnianych przodków” oraz „Kościół, lewica, dialog”. Przedtem ukazują się dwie świetne książki, z których pierwsza (Marcina Króla i Wojciecha Karpińskiego „Sylwetki polityczne XIX wieku”) poświęcona jest odczytaniu tradycji polskiej myśli politycznej, zaś druga (Ewy Bieńkowskiej „Dwie twarze losu: Nietzsche - Norwid”) podejmuje centralne zagadnienia ukształtowanego w XIX wieku modelu kultury europejskiej, w którego centrum znalazło się zagadnienie tożsamości osoby ludzkiej. Kolejnym tomem esejów z kręgu tej generacji stała się głośna książka Tomasza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić?”, podnosząca pytania o sens, nie tylko polityczny, polskich zrywów niepodległościowych.

Po roku 1976 w wyrwanej spod presji cenzury niezależnej prasie problematyka ta ulega dalszemu rozwinięciu. Szczególnie interesujące wydają się tu takie pisma jak *Krytyka*, *Res Publica* oraz *Aspekt*. Warto też wspomnieć o zmierzającej do przewartościowania tradycji polskiej myśli narododemokratycznej publicystyce organu Ruchu Młodej Polski *Bratniak* oraz o interesujących tendencjach widocznych w politycznej i społecznej esejistyce pisma młodych katolików *Spotkania*. W tym nurcie mieści się też dorobek politycznego kwartalnika „pomarcowej” fali emigracyjnej — *Aneksu*. Jak już wspominałem, nie jestem w stanie dokonać w tym szkicu sytuacyjnym analizy poszczególnych zjawisk — staram się tu jedynie przynajmniej wstępnie uprzykradkować fakty.

IV

Jednym z zasadniczych momentów wyznaczających kierunek przemian kulturowych było raz jeszcze podjęte przewartościowanie tradycji romantycznej. W ciągu lat 70-tych obserwować można było w tej dziedzinie wysiłek szczególny — niestety, nie zdo-

łam tu rozwinąć tego tematu szerzej; niemniej istotne wydaje mi się przypomnienie kilku najważniejszych faktów.

Przede wszystkim rzuca się w oczy ogromny dorobek badawczy Marii Janion, która analizie funkcjonowania prawdy i legendy romantyzmu poświęciła trzy znakomite dzieła: „Romantyzm, rewolucja, marksizm”, „Gorączka romantyczna” i wspólnie z Marią Żmigrodzką napisaną monografię „Romantyzm i historia”. W posłowie tej ostatniej pracy czytamy: „Stosunek romantyzmu do historii stanowi problem szczególnie ważny zarówno dla literatury polskiej, jak i dla typu polskiego życia duchowego. W istocie rzeczy w Polsce romantyzm właśnie wytworzył obowiązujący zespół nie tyle literackich, ile moralnych kryteriów oceny zachowania się jednostek i zbiorowości narodowych w historii oraz narzucił je kolejnym generacjom — aż do współczesności”. Jednakże — podejmijmy temat — symbolika, mitologia romantyczna zawdzięcza swą żywotność w kulturze narodowej przede wszystkim specyfice doświadczeń historycznych. Bunt antyromantyczny, co raz to podnoszony przez kolejne pokolenia, bywał na ogół bunt abstrakcyjnym, presja historii przyznawała rację historyzmowi jako formule ocalającej perspektywę wolności aktualnie nieosiągalnej (postęp). Nigdy też na dobrą sprawę bunt antyromantyczny nie uzyskał rangi intelektualnego przewartościowania jego dorobku, w każdym zaś wypadku, gdy ku temu zmierzał — zagłuszany był przez jazgot doraźnej niedoli.

Legenda romantyczna stanowi więc swoisty kompleks kultury polskiej, który z pełnym powodzeniem udało się jak dotąd przezwyciężyć jedynie Gombrowiczowi. Ale też wysiłek Gombrowicza nie pozostał bez echa — pokazana została droga wyjścia z zaczarowanego kręgu, wiodąca do wolności nie poprzez odrzucenie romantycznej tradycji, lecz poprzez jej przekomponowanie, przez zredukowanie emocjonalnego do niej stosunku, zracjonalizowanie. I tutaj ujawniły się dwie tendencje. Jedną z nich odnajdziemy w neopozytywistycznej polemice, którą podjął z Janion Stefan Bratkowski, a która, przechwytyjąc romantyczny historyzm, zmierza ku zinstytucjonalizowaniu legendy oczyszczonej z „metafizycznego” naddatku (jednym z ubocznych skutków upowszechnienia się tej postawy jest reformatorska inicjatywa społeczna w postaci animowanego przez Bratkowskiego Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, redukująca system wartości kultury do „realistycznie” programowanych możliwości instytucjonalnych). Drugą znajdujemy w próbie intelektualnego zniesienia historyzmu, czego efektem m.in. wspaniała eseistyka Mariana Brandysa („Koniec świata szwoleżerów”), a także proza Konwického („Kronika wypadków miłosnych”, historyczne partie „Kom-

pleksu polskiego”), Władysława Terleckiego, a ostatnio również Witolda Zalewskiego („Ostatni postój”).

W eseistyce ta druga tendencja, prócz wspomnianych prac Janion, przyniosła znakomitą książkę Marty Piwińskiej „Legenda romantyczna i szydery” oraz — by pozostać przy najważniejszych przykładach — przenikliwy esej Ryszarda Przybylskiego „Ogrody romantyków”, wydany w serii redagowanej przez Janion w Wydawnictwie Literackim. W tym nurcie mieści się też ostatnio dorobek eseistyczny Adama Ważyka — chodzi mi zwłaszcza o „Cudowny kantorek”, ale również o „Prywatną historię awangardy”. Ten sam zespół problemów podnosi również Czesław Miłosz zarówno w „Ziemi Ulro” i „Ogrodzie nauk” jak we wcześniejszym zbiorze szkiców „Prywatne obowiązki”. Owo przezwyciężenie historyzmu widoczne w wymienionych utworach stoi też u podstaw propozycji T. Burka, wyłożonych w szkicu „Jaka historia literatury jest nam dziś potrzebna?”.

Nic też dziwnego, że coraz silniejszy w literaturze polskiej staje się nurt klasycystyczny — wyraz tego odnaleźć można w zbiorze szkiców R. Przybylskiego „To jest klasycyzm”, lecz także w tonacji eseistyki Zagajewskiego zawartej w „Drugim oddechu”. Niewątpliwie należałoby tu poddać w wątpliwość sens ciągłego operowania — w tak przekształconej sytuacji kulturowej — dychotomicznym podziałem na nurt klasycystyczny i romantyczny: pojęcia te wydają się dzisiaj niefunkcjonalne, a nawet wprowadzające zamęt. Jedno jest jednak pewne: przewartościowanie tradycji romantycznej zachwiało pozycję historyzmu w polskiej kulturze, pozwalając jej uzyskać specyficzny dystans wobec własnych doświadczeń. Jest nim ironia, będąca, wedle słów Barańczaka, „umiejętnością czynnego włączenia się w konflikty świata i ludzkiej świadomości oraz odnalezienia ich pozytywnej syntezy”.

Efekty tej zmiany perspektywy w literaturze staną się przedmiotem kolejnych rozdziałów niniejszego szkicu, w których zajmę się przemianami widocznymi zwłaszcza w prozie ostatnich kilku lat, zmierzającej z jednej strony do opisu polskiej rzeczywistości społecznej dnia dzisiejszego, z drugiej zaś konsekwentnie rozwijającej równoległą linię społecznej groteski. Podejmę również problemy związane z narastającą falą literatury typu biograficznego czy pamiętnikarskiego raczej, oraz zajmę się próbami syntetycznych opracowań dorobku humanistyki — oba te zjawiska wzajemnie się uzupełniają, stanowiąc jeszcze jeden wyraz przesilenia, jakie obserwujemy w polskiej kulturze.

(c.d.n.)

Krzysztof ZAWRAT

Wołanie na puszczy

Szczekanie aż po Sekwanę

W marcu 1979 umieściłem na tym miejscu felieton „Warszawskie naszczekiwanie jednostronne”, w którym ubolewałem, że szczekam tylko w Warszawie i na Warszawę, pozostając w ten sposób psem czysto regionalnym, bowiem psie głosy nie idą pod niebiosa. Aby więc wyjść z zaczarowanego kręgu między Okęciem a Targówkiem, gdzie się przeważnie obracam, napisałem książeczkę „Walka o świat”, w której zawarłem moje WSZYSTKIE przemyślenia na temat polityki naszego globu, pragnąc dać dowód, że z osobliwego miejsca pomiędzy ulicą Targową i Żelazną widać sprawy światowe nie gorzej, a może nawet lepiej niż z Waszyngtonu, Paryża lub Londynu. Książka, nawiązująca do mojego szkicu z roku 1976 „Czy istnieje walka o świat?” (zawierającego, nie chwając się, szereg prorocत्व, które się sprawdziły) wydana została przez „Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja”. Bardzo polecam tę młodziutką krajową oficynę wydawniczą, która w cieniu zasłużonej pionierki-weteranki NOW-iej próbuje zajmować się polityką i ideologią, uważając, że nie tylko Gombrowicz, Miłosz i Günter Grass są strawą polskiego dnia. Przeczytaj (jak dostaniesz) i daj drugiemu. Niech żyje! (z czego?!). Powtarzam: są tam WSZYSTKIE moje myśli — a więc niewiele!

Sądziłem zatem, że tylko ową mizerną „Walką o świat” wypłynę na szerokie światowe wody, gdy tymczasem doszły mnie majowy i czerwcowy numery *Kultury*, dowodzące, że moje różne szczekania dotarły aż nad samą Sekwanę, wywołując tam polemiczne echa. W majowym zeszycie dopiskiem do felietonu gromi mnie sam Redaktor *Kultury*, w czerwcowym Socjusz demonstruje „Polskie kwadratury koła”, urągając na moją geopolitykę i twierdząc, że „proponuję wyrzeczenie się postulatu niepodległości” (*nota bene* przysięgam, że to nie ja na to wpadłem: to zupełnie ktoś inny, bardzo duży i to przed 35 laty — pewno Socjusza przy tym nie było). Cieszę mnie te polemiki, a raczej

fakt ich istnienia: *vivat* dialektyczny konflikt przeciwieństw, sięgający aż po Sekwanę! W starym *Buncie Młodych* też tak bywało. A więc dalejże do fechtunku!

Jeśli chodzi o Redaktora, to najwidoczniej dopiekiły mu już moje jęki. Tyle, że ja, żartując, mówiłem poważnie („Wolna Europa”), a Redaktor żartuje całkiem, zestawiając mnie z Giertychem. Żart niech się żartem odciska, jak mówi poeta, ale z drugiej strony „co wolno Księżciu, to nie prosięciu”. A mora! — nie porywać się na swego Redaktora, choćby się go znało 45 lat. I słuchać się Zony, choć zna się Ją o 7 lat krócej. Ale Zony boję się bardziej niż Redaktora!

Zdradzę Wam tajemnicę, że, załagodziwszy z Redaktorem, mam w przyszłości zamiar porwać się na jeszcze większego Szefa: na samego Papieża. O horror, on oszalał! — zakrzykniecie. Ale nie bójcie się, jam nie jakiś Küng, wiem, kiedy Papież jest nieomylny, zresztą w sprawach teologicznych tkwie całkowicie po stronie obecnego Pontyfikatu. Mnie chodzi o politykę, a jeśli się ośmielę coś powiedzieć, to wiedząc, jak bardzo Ojciec Święty lubił kiedyś swobodne dyskusje polityczne w Krakowie, tym polskim Rzymie. Turowicz o polityce dyskutować nie będzie, choć ma paszport, bo zbyt jest na to pobożny. Ja się ośmielę — w przyszłości i bez paszportu. Wszakże, według zasad kanonicznych, zawsze odwołać się można do Papieża Poinformowanego. A w tym celu trzeba go poinformować...

No a na razie wstąpmy na arenę z Socjuszem. Co prawda trudna z nim dyskusja: ja proponuję grę w pokera, on gra w brydża i powiada, że wygrał. Jam taktyk, on prorok, ja sypię aluzjami, on twierdzeniami, ja sądzę, że człek odpowiedzialny, rozważając losy narodu, winien uwzględnić przede wszystkim hipotezy najbardziej pesymistyczne, on czuje się od tego obowiązku wolnym. Przy tym jam pół żartobliwy, on śmiertelnie poważny. Dlaczego? Po prostu sądzę, że gdy rozpatrujemy przyszy podział skóry na niedźwiedziu, który to zwierz na razie biega sobie zdrów i niczego nie podejrzewający, trzeba PT. Publiczności dać choćby uśmiechem do zrozumienia, że sprawa jest jednak z gatunku hipotez. Za to Socjusz zachowuje pełną powagę, jak ów historyczny swat z Kołomyi, który, swatając córkę kupca Rabinowicza z księciem Waliu pewny był swego na 50 procent, bo Rabinowicz już się zgodził...

Ale bądźmyż poważni, skoro nas do tego zmuszają. W artykule moim „Czy geopolityka straciła znaczenie?” (*Res Publica* nr 1), rozwiniętym później felietonem „O podwójnym myśleniu i działaniu” (*Kultura* Nr 3, 1980) proponowałem polskiej zbuntowanej młodzieży pewne myślowe ćwiczenie redukcyjne, coś w rodzaju równania z dwiema niewiadomymi. Równanie polegało na rozwiązaniu kwestii „co robić” przy założeniu, że nie będzie wojny, podział Europy będzie trwać bez zmian, jedynie z ewentualnością stopniowej, realizowanej przez Rosję „szwedzacji” Niemiec Zachodnich i resztki kontynentu, zaś ustrój komunistyczny realizowany polskimi rękami nadal niszczyć nas

będzie materialnie i moralnie, odbierając narodową tożsamość, bez której hasło „pełnej niepodległości” stanie się tylko pustym frazesem. Podsuwałem, czy w takiej sytuacji ludzie myślący o przyszłości narodu nie powinni rozważyć ewentualności bezpośredniego wy targowania u Rosjan innego statusu dla Polski, boć nie sposób dyskutować tego problemu z dzisiejszymi naszymi rządcami, skoro oni z obecnego statusu wynikli i na nim opierają swój los polityczny. Oczywiście „rozmowy z Rosjanami” traktowałem czysto symbolicznie: nie chodziło o to, aby złapać za telefon i dzwonić do ambasady, lecz aby przypomnieć młodemu, że graniczymy z 250 milionowym NARODEM SOWIEC-KIM. Socjusz parokrotnie usiłuje mi zasugerować, że graniczymy z kim innym, ma pewno na myśli Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. Otóż radzę mu, aby wczytał się uważnie w dzieła Sołżenicyna, Zinowiewa a także w znakomitą rubrykę Adama Kruczką w *Kulturze*, oraz w arcyciekawą książkę Alaina Besançon'a „Présent soviétique et passé russe”. Dowie się wówczas, że 60 lat prania mózgow, odcięcia od świata i przemieszczenia stworzyły na Wschodzie Europy nową sowiecką psychiczną zbiorowość, nową JAKOŚĆ, wobec której dawne podziały narodowe są fikcją. Od rządu tej zbiorowości my dzisiaj zależyśmy, geopolityka zdecydowała o tym przed 35-ciu laty, pytanie moje brzmi: w jakim stopniu musimy dać się wchłonąć poprzez system (sowietyzację), w jakim zaś stopniu opór nasz może skłonić Rosjan (nazwa symboliczna) do ewentualnych ustępstw od swojej „ideologicznej” linii, co wszakże od czasu do czasu im się zdarzało.

Takie więc ćwiczenia dyskusyjne proponowałem w moich geopolitycznych rozważaniach, postulując zawężenie debaty do okoliczności czy ewentualności najgorszych. Uważałem przy tym, że mówienie o polityce nie jest jeszcze robieniem polityki, jest szkoleniem się i przygotowywaniem materiału. Jednakże Socjusz nie chce przyjąć żadnych założeń czy dyscyplin, chce rozszerzyć dyskusję do okoliczności wszelkich, rozwiązywać równanie o wielu niewiadomych, czyli w istocie fantazjować i improwizować. Bóg z nim, ale co to ma do mojej dyskusji i jej ram?! Ja nie zajmuję się sytuacjami idealnymi, lecz ograniczonym wariantem pesymistycznym, zakładam stabilizację pesymizmu. To jest zresztą moja pedagogika wobec zaprzyjaźnionych grupek młodzieży, które w opozycyjnej euforii (a jam opozycjonista znacznie od nich starszy) zapomnieli o milionach radzieckich już ludzi na wszystkich naszych granicach i o Zachodzie, pozabawionym politycznej wyobraźni oraz ideologii, który sprzedał nas lat temu 35 za własny spokój. Trudno już nawet wyobrazić dziś sobie, jakiego światowego wstrząsu by potrzeba, aby narody środkowej i wschodniej Europy odzyskały nagle wolność i osobowość. Zapalny punkt świata przeniósł się teraz gdzie indziej, do Azji i Afryki, a szczątków Europy nie ruszy się dziś z odretwienia obietcywaniem gruszek na wierzbie, co Socjusz czyni dosyć zresztą nieskładnie, opierając się widać na tym, że skoro

kiedyś trzech europejskich cesarzy padło, to i dziś mury Jerycha muszą się same zaważyć.

Socjusz twierdzi, że zmiany w Europie od 35 lat („wewnątrz stref”) są ogromne, ja twierdzę, że są negatywne, bo podział kontynentu spetryfikował się i ulegalizował pokojowo, owo „złagodzenie napięć”, którym Socjusz się zachwycy, to po prostu kapitulacja zachodnich demokracji, które uznały wszystko z murem berlińskim włącznie i zapomniały też wszystko, czego od nich żądano, z własną historią na czele. Również „różnicowanie polityki” przez Zachód wobec poszczególnych państw bloku wschodniego to fikcja. Pisałem o tym kilkakrotnie (tu „smutne nie poinformowanie” Socjusza), że Amerykanie mogą sobie flirtować z naszym reżymem i faszerywać go forsą, a on robi swoje, pogłębiając katastrofę i moralną, i gospodarczą. Zaś co do strategii nuklearnej choćby, to rozróżnień żadnych nie ma — warto by, o Socjuszu, przeczytać właśnie „prasę fachową”, na którą się powołujesz, lecz której najwyraźniej nie znasz. Jeśli zaś wybuchnie wojna, to dzieci nasze (choć Socjusz się temu dziwi) pójdą na front chiński czy niemiecki (jeśli takowy powstanie) i bić się będą z determinacją Bartka Zwycięzcy. Tak bowiem toczy się ludzki światek...

Ale nie prowadźmy dłużej dialogu gęsi z prosięciem, powróćmy do sprawy wyboru metody. Ja proponuję wybrać za podstawę rozważań wariant, że nic się nie zmieni, Socjusz, że wszystko się zmieni. Podstawę mamy obaj hipotetyczną, z tym, że ja opieram się na obserwowaniu stabilności sytuacji europejskiej od lat 35, a Socjusz na... doświadczeniach Piłsudskiego, który czekał na cuda i doczekał się, za to Daszyński i Dmowski przystosowali się do „cudów” z „kosztownym opóźnieniem”. A więc dobrze, odstąpmy Socjuszowi rolę Piłsudskiego, ja mogę być Daszyńskim a nawet choćby byle Piltzem. Wszak, jak słusznie gdzie indziej pisze Socjusz, „żadna grupa ludzi nie może robić wszystkiego na raz, konieczny jest podział pracy”. Święte słowa. Socjusz (i Amerykanie) dążą do tego, aby wyrzucić presję na Gierka, ten zaś z kolei poprosi Breżniewa o więcej wolności dla Polski (wilk wstawia się za owieczką!). Ja dążę do tego, aby zbiorowo ZASTANOWIĆ SIĘ, jak by można bez Gierka nakłonić Rosjan aby dali Polsce więcej wolności. Czyż już i zastanawiać się na własną rękę nie wolno? A przecież Socjusz niefrasobliwie twierdzi, że swobód wewnętrznych mamy dziś „znacznie więcej niż cztery lata temu”. Zaręczam Mu, że jeśli jest u nas gdzieś więcej wolności niż dawniej, to nie z inicjatywy rządu lecz z „inicjatywy prywatnej”, z którą rząd musiał się pogodzić. Rząd lubi zastaniać się naciskiem Rosji, ale może by raz sprawdzić, jak to naprawdę jest? Zwłaszcza że Socjusz nagle twierdzi, iż trzeba „brać pod uwagę przekształcenie się ZSSR w narodowe państwo rosyjskie i w tej perspektywie rozważać nasze przyszłe stosunki zarówno z Rosjanami jak i z naszymi bezpośrednimi sąsiadami”. No to dobra, bierzmy pod uwagę, ale dla czegoż możemy na rozmowy ze Wschodem ma mieć tylko oficjalny aparat

komunistyczny, dla którego Socjusz robi się nagle bardzo łaskawy, będąc skłonny wybaczyć mu wszystko, wraz z sowietyzacją duchową i plajtą materialną? Dziwne!

W tej swojej nieoczekiwanej pobłażliwości zbliża się Socjusz nieoczekiwanie, bo z drugiej strony, do postawy Giertycha i Bromkego, którą określiłbym jako zewnętrzno-historyczną. Dla Giertycha i Bromkego najważniejsze jest, aby naród uznał geopolityczną logikę przynależności do Wschodu, wszelkie za to walki o tożsamość duchową uważają za niebezpieczne dla geopolityki, zresztą nie obchodzą ich one, bo autorzy ci mieszkają za granicą i naszych problemów nie odczuwają, tylko „historię”. Nie przychodzi im do głowy, że naród konieczność geopolityki uznać chcąc czy nie chcąc 35 lat temu, a teraz, jeśli się kto bije, to o to, żeby być nadal narodem — nie naruszając geopolityki. Socjusz natomiast myśli tylko o tym, jak by tu NIE UZNAĆ teoretycznie geopolityki, zaś walka z niwelującym wszystko USTROJEM marksistowskim (tak, upieram się przy tym, Rosjanie to jedyny naród, który wziął dosłownie utopię Marksa i wprowadził ją oraz utrzymuje siłą) mniej go dziś interesuje, bo on czeka na zmianę („cuda”). Pociesza się, że nie jest tak źle, wszak mamy już legalny pluralizm w postaci „DIP”-u i profesora Szczepańskiego. Nie zraża go fakt, że memoriały „DIP”-u czytało w Polsce kilkaset osób, a prof. Szczepański to typowy „jajogłowy” na pokaz dla Zachodu. Wieloletnie praktykowanie kadłubowej socjologii, kadłubowej filozofii, kadłubowej publicystyki nie czyni zeń miarodajnego reprezentanta jakiegokolwiek opinii w Polsce. Za późno, kwiatku, za późno!

Uff, ale grochu z kapustą narobił dziwny artykuł Socjusza, aż i mnie zaraził, nie sposób przecież odszukać wszystkiego z Warszawy do Paryża! Ale zamierzam uporządkować sprawę i odpowiedzieć generalnie wszystkim dyskutantom w nr. 6 krajowej *Res Publici*. Myślę, że nie mogło nie zostać postawione generalne zagadnienie: *jak zachować tożsamość narodowo-społeczną w wypadku długotrwałego pozostawania w orbicie ZSSR, oraz czy stanowisko Rosjan w tej sprawie uznać należy za przesądzone i niezmiennie?*

KISIEL

Polemiki

W obronie Orłosa

Wydaje mi się, że nie ma przepisów na dobrą literaturę, natomiast krytyk literacki powinien przestrzegać wobec autora recenzowanego utworu pewnej podstawowej uprzejmości. Zwrócić uwagę, co autor chciał napisać, po czym osądzić, jak się z tego zamierzenia wywiązał. Sprawa dalsza to wyjawienie „lubię” lub „nie lubię” w stosunku do obranej przez autora formy literackiej.

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu p. Janina Katz Hewetson tym razem, w recenzji z ostatniej powieści Kazimierza Orłosa „Trzecie kłamstwo” (*Kultura* nr 1/393), tym dwóm regułom się sprzeniewierzyła. Z krzywdą dla omawianej książki, i z krzywdą dla omawiającej ją recenzji. Dłuższej niż zazwyczaj, a jakoś matowej.

Orłoś napisał, i jest jasne, że chciał napisać, klasycznego „produkcyjniaka”. Z budową, betonem i żwirkiem w roli głównej. A czyta się tę powieść jak dreszczowiec, jak się kiedyś oglądało film „Cena strachu”, w którym wszystko kręciło się koło ciężarówek i transportu. Wniosek stąd chyba ten tylko, że nuda produkcyjniaków „minionego okresu”, której nie potrafili pokonać nawet utalentowani Brandysi, wynikała nie z tematu, ale z metody. O znanej nazwie i znanej definicji „przedstawiania rzeczywistości nie jaką jest, lecz jaką być (z socjalistycznego zaplanowania) powinna”. Orłoś opisał ją, jaką jest. P. Katz Hewetson natomiast nazwała ją „niemal socrealistyczną”. Trudno o większe nieporozumienie.

Domyślam się, że pani J. Katz Hewetson lubi „formalizm” a nie lubi „realizmu”. Jej prawo. Lepiej byłoby jednak, by ów nie lubiany nazywała utartym (aczkolwiek umownym) imieniem zamiast „aliterackością”, czy „rezygnacją z dobrodziejstw literatury pięknej”. Lepiej, bo jaśniej dla czytelników recenzji, a sprawiedliwiej dla powieści. Dobry „realizm” w literaturze jest zmysłaniem bez fałszowania. A więc uczciwość + znajomość rzeczy

+ imaginacja. Konfiguracja nader trudna i dlatego zapewne tak rzadko się zdarza dobra powieść realistyczna. Czy to wystarczający powód, by odmówić jej miejsca w literaturze pięknej? I to akurat wtedy gdy się komuś udała?

O to właśnie chodzi: udała się Orłosiowi, czy nie udała? Pani J. Katz Hewetson twierdzi, że się nie udała, bo „Orłoś odrzucił psychologię”. I na poparcie zarzutu dekretuje recepty na powieść psychologiczną. Za długo by było kwestionować punkt po punkcie niewzruszoność jej przepisów; z powoływaniem się na Prousta, Dostojewskiego, Stendhala i wszystkich świętych psychologicznych. Wystarczy chyba to, że czytając „Trzecie kłamstwo” „widzimy jak żywych” wszystkich niebohaterskich bohaterów opowieści, nie mylą nam się, a jest ich sporo. A później korci nas, żeby pod sytuację tego, tej i owego podstawić naszych znajomych. Zwłaszcza tych najlepiej widzianych „gości z Polski”, co potrafiliby się jakoś „urządzić” bez brudzenia rąk (dosłownie i przenośnie), nie molestują, nie nudzą własnymi kłopotami (kto ich nie ma?), a bawią nas dowcipami o reżymie i komunizmie, są dobrze ubrani bez naszej pomocy, wiedzą, czym się co je, potrafią udzielić praktycznych rad, np. jaki proszek do prania jest u nas najlepszy, co się w tym sezonie „nosi”, i jaki film powinniśmy koniecznie zobaczyć. Słowem — swojscy i swoi. Najtrudniej w tej grze wyobraźni znaleźć odpowiednik dla inż. Sochy. Ale też jest to jedyna postać prawdziwie tragiczna. I nie dlatego, że umiera w niewygodnej pozycji (fizycznej, psychicznej, bytowej). Dlatego, że jego codzienne „antypaństwowe prasówki” (trafne określenie p. J. Katz Hewetson) były tylko wentylem, luksusowym dodatkiem dla higieny ducha w blokach „inżynierii” wyposażonych w co trzeba dla higieny i wygody brzuchów. W mini-ustroju socjalistycznym, jakim jest „budowa”, wszystko czemuś służy. Cokolwiek by robił Socha, będzie służyło temu, czego nienawidzi. Chyba, że zaczęłby strzelać...

Powieść z tezą? jak chce pani J. Katz Hewetson? — Raczej powieść do refleksji. Czyta się ją prędko, a nawraca myślami do niej długo. Ot, na przykład, takie pytanie mi w tej chwili przychodzi do głowy: jak to by wyglądał taki ucziwie realistyczny „produkcyjniak” w czasach 6-letniego Planu, zwanych wówczas „bohaterską walką o socjalizm”, czy czymś w tym rodzaju, a dziś „minionym okresem błędów i wypaczeń”, czy czymś w tym rodzaju, kiedy to socrealistyczne produkcyjniaki nudziły jak tran, niewiele chyba jak tran krzepiąc? Gdyby się ktoś na napisanie takiej powieści, niechby „do szuflady”, wówczas ważył... Nie byłoby codziennych „antypaństwowych prasówek” Sochy, siedziałby w więzieniu. Może by go ktoś zastąpił monologami „w pijanym widzie” przed lustrem. Bo woda by się także lała, tyle że pita inaczej. Beton i żwirek, oś powieściowej akcji, czyli sprawa nieodpowiedniego kruszywa używanego przy budowie, aby podpedzić plan, pozostałyby niezmiennione. Tylko motywacje brakoróbstwa byłyby odmienne: nie samochód ale „stara

matka”, nie meble z importu ale „żona dzieci”, nie wysokie premie ale strach. Nagi strach przed oskarżeniem o sabotaż w razie niewykonania planu, w zмовie z „wrogami ludu” albo i „obcą agenturą”, strach dosłownie o własną skórę i jej wytrzymałość. „Strach ma wielkie oczy”, to prawda. I ci, co go szerszą, i ci, co się jemu zbyt łatwo poddają, są jednakowo zainteresowani, żeby świeciły złowrogo. Inna sprawa, czy usprawiedliwienia z zawodowej nieuczciwości dałoby się rozciągnąć na brzydsze jeszcze postęпки, jak np. pisanie samoobronnych donosów? Nierzadkie przecież... Więc nasuwa się pytanie: który z socjalizmów bardziej degradował człowieka? Ten z batem, czy ten obłaskawiony? Ten łamiący, czy ten korumpujący? Być może, myślę, taki prawdziwie realistyczny produkcyjniak z tamtego okresu budziłby więcej współczucia dla łamanych charakterów i wyłamanych sumień. I ci jednak z „Trzeciego kłamstwa”, małe kanalie, półkanalie, ćwierćkanalie i nieświadome kanalie budzą litość. Dla jedynej wartości, łaskawie im rzuconej i łapczywie pochwyconej — przywileju imitacji zachodniego stylu życia. Kiczowatego, w samej rzeczy, ale to już nie z winy Orłosia. Zasługą natomiast jego dojrzewającego talentu, a może formy, jaką tym razem wybrał, jest owa — być może niezamierzona — litość. Postaci jego poprzedniej powieści budziły tylko odrazę. Pani J. Katz Hewetson tamtą stawia wyżej, i w tym się nie zgadzamy:

„'Cudowna melina', książka o korupcji i wódce, kończy się klęską dobrego i zwycięstwem złego. Ale pozostawia złudzenie, że gdyby odważnych i uczciwych było więcej, być może udałoby się zreformować i oczyścić socjalizm”.

— Co więcej warte? — pytam ja. Prawda czy fabrykacja złudzeń?

Barbara TOPORSKA

KWARTALNIK POLITYCZNY

„ ANEKS 23 ”

KULTURA — NAUKA — POLITYKA

W numerze m.in. K. Dorosz: Śladami Kolumba; A. Besançon: Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość; J. Szadek: Zjazd funkcjonariuszy; O MYŚLI SOCJALISTYCZNEJ: Wywiad „Aneksu” z C. Castoriadisem; P. L. Berger: Mit socjalistyczny; I. Hove: Socjalizm a liberalizm — warunki pojednania; O „STYLACH POLITYCZNEGO MYŚLENIA” M. KRÓLA: A. Jakubowski — P. Bodnar; NOTY I REFLEKSJE.

Rocznie 4 numery — \$ 15,00, FF/Skr. 50,00, w W Brytanii £ 6.00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

A N E K S

61 Dorset Road, London W5 4HX, England.

Książki

Aby podnieść różę...

*Co tutaj opowiadam, poezją, zgoda, nie jest
Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie,
pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją,
że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument*

Czesław Miłosz, *Ars Poetica*?

Według Maryny Cwietajewej sztuka jest procesem naturalnym, organicznym, niezależnym od woli i etyki twórcy. W tym procesie artysta pełni rolę biernego medium. Komunista Majakowski, pisała, jakby mimo swej woli napisał poemat, w którym złożył hołd Wranglowi, „białemu”, podczas gdy ona, antykomunistka, pisała wiersze epickie, oparte na ludowych podaniach, które wyraźnie zapowiadały nadchodzące rewolucyjne przemiany. „Moje dzieła zawsze wybierały mnie według moich możliwości i często pisałam mimo własnej woli. Takie są wszystkie moje utwory rosyjskie. Pewne sprawy Rosji pragnęły zostać wyrażone i wybrały mnie”. Jeśli w tym przekonaniu kryje się źródło mistycyzmu i irracjonalizmu, to nie mniej irracjonalizmu znaleźć można w postawie odwrotnej.

Stanisław Barańczak w tomie esejów zatytułowanym w porządku przyczynowo-skutkowym *Etyka i poetyka*¹ pisze o Marcu 68 jako o przeżyciu, które zadecydowało o postawie młodego pokolenia: „To marzec zmusił młodą poezję końca lat sześćdziesiątych do poszukiwania nie tyle piękna, co prawdy — i do poszukiwania języka nie pięknego lecz takiego, którym dałoby się tę prawdę wyrazić”. Sprzeczność, jak pisze Miłosz, jest zdrowiem poezji i zdrowiem wszelkiej sztuki. Ale jeśli zasugerowana tu sprzeczność bywa czasami prawdziwa, należałoby złożyć poezji i poetom, aby nigdy nie zachodziła. Osobiście nie wierzę w konieczność wyboru między prawdą a pięknem. Nie wierzę w niemożność wyrażania prawdy językiem przynależącym poezji i w jej tylko właściwym zakresie.

1. St. Barańczak, *Etyka i poetyka*. Szkice 1970-1978. Paryż, Instytut Literacki, 1979.

Od dawna już, chyba od pokolenia „zarażonego śmiercią”, nie było w Polsce poetów o tak wyostrzonej — i tak wyolbrzymionej — świadomości pokoleniowej. „Pokolenie 68” wypełniło według własnej opinii pustkę po estetyzującym „pokoleniu” poetów zgromadzonych wokół klubu studenckiego *Hybrydy*. Nie jest pozabawione komizmu, że nikt — nawet tak niegołosłowny krytyk jak Błoński² — ani jednego z nich nie wymienia z nazwiska. Byli, estetyzowali, przepadli. Po poetach *Hybryd* zostało coraz bardziej błędne pojęcie, a czytając co pisze się o nich trudno się oprzeć wrażeniu, że padli ofiarą zмовy, że istnieli tylko po to, aby następne pokolenie miało od czego się odciąć.

Odcięcie nastąpiło, zadokumentowane szeregiem tekstów krytycznych i wierszy. Odcięto się od poezji „wewnętrznej”, „prywatnej”, zwrócono do rzeczywistości politycznej, tego „powietrza którym oddychamy wszyscy” — jak pisze w wierszu Barańczak. Poezja mówiąca prawdę miała zastąpić zakłamaną gazetę. Odcięto się od Różewicza. W zbiorze Barańczaka, w którym mowa o tylu i tak różnych poetach, Różewicz praktycznie nie istnieje. Ale wiersze „pokolenia 68” tkwią znacznie głębiej w poetyce Różewicza niż w poetyce Herberta czy Miłosza, których pokolenie — choć nie bez oporów w stosunku do Herberta — wybrało na patronów. To cytaty z wierszy Herberta i Miłosza stoją jako motta do zbiorów poezji i krytyk „pokolenia”, podpierając ich poetycko-ideowe intencje. Ale nic — poza dość mechaniczną ewokacją kadencji zdania Miłosza, czy imitowaniem „prostoty” Herberta — nie łączy uczniów z mistrzami. Utało się od lat przeświadczenie o ogromnym wpływie Miłosza na współczesną poezję polską. Błoński używa nawet zwrotu „polonistyczna tajemnica poliszynela”. Ale kiedy czyta się poetów z kraju i Miłosza, odnosi się wrażenie, że jest to przeświadczenie zbudowane na pobożnym życzeniu, albo na niepełnej, nieuważnej lekturze Miłosza. Na braniu powierzchownego naśladownictwa za głębsze pokrewieństwo poetyki i talentu. Na dobrą sprawę „gęstością” wiersza, gęstością obrazów i znaczeń jedynie Nowak przypomina Miłosza. I dawniej, oczywiście, Herbert. Ale Herbert jakby przez lata odcedził w sobie Miłosza, uprościł, dostosował do własnych potrzeb. A Miłosz w swoich ostatnich wierszach jakby zbliżył się do Herberta.

„Pokolenie 68” okrzepło pod wzmagającą się presją cenzury. Ta więz — dla samej poezji trochę sztuczna — będzie wzmacniała się proporcjonalnie do wzrostu hysterii i represji władz. Ale pokolenie liczy więcej członków niż ci, do braterstwa w których przynajmniej się oficjalnie. Obejmuje poza Krynickim, Barańczakiem, Bierzynem, Kornhauserem, Zagajewskim, Kronholdem — także Ewę Lipską. Poza poetami, także prozaik Janusza Andermana i dramaturga Helmuta Kajzara. To „pokolenie 68” w osobie Macieja Prusa wyreżyserowało ostatnio *Operetkę* Gombrowicza w Warszawie.

2. J. Błoński, *Odmarsz*. Kraków, Wyd. Lit., 1978.

Krynicky i Barańczak są wśród nich poetami najbardziej politycznymi. To nie znaczy że są najbardziej dla pokolenia typowi, czy że najpełniej, najdramatyczniej wyrażają jego miejsce w rzeczywistości, jego wyobrażenie o świecie. Należy to do ustaleń późniejszych i kto wie, czy za najbardziej typowe nie uzna się kiedyś wierszy zmarłego Wojaczka, czy poetyckich dramatów Kajzara. Ale Krynicky i Barańczak przywracają godność i wagę najpotoczniejszym moralnym oczywistościom. Budują na cnotach społecznych, na osobistej dzielności i dają ich przykłady. Tym oczywistościom jeszcze nie zawsze udaje im się nadać rangę poezji. Krynicky i Barańczak zgubili po drodze różę — to wytarty, ale użyteczny synonim samej istoty poezji, jej odrębności i piękna. Zgubili świadomie, albo może nigdy nie byli w jej pełnym posiadaniu.

Poeci „pokolenia 68” naśladują siebie nawzajem. Krynicky Barańczaka, Kornhauser Krynickyego. W sensie konsekwencji poetyckiego stylu, Barańczak jest z nich najsilniejszą indywidualnością. Jest tym poetą, który jak gdyby raz na zawsze wybrał język i sposoby jego użycia. Stylistyka Krynickyego jest równie łatwo rozpoznawalna i trochę tylko mniej manieryczna od stylistyki Barańczaka. Wyrazistość i niezmiennosc wybranych środków stylistycznych sprawia, że obydwaj poeci z taką łatwością narzucają się innym. Być może to jest także przyczyną, iż im samym tak trudno od nich odejść.

Przy powierzchownej lekturze dwóch zbiorów Kornhausera³ — jeszcze nie zawsze utrafiającego w słowo, zbyt rozrzuconego, ale utalentowanego poety — można wziąć jego wiersze za wiersze Krynickyego. Dopiero przy końcu *Stanu wyjątkowego*, w części zatytułowanej *Ankieta*, Kornhauser zdobywa się na własny głos i rytm. Jest to poezja z ziarnem, a raczej z uwierającym kamykiem: z Różewiczowskim poczuciem winy za fakt bycia poetą, za dobieranie i zestawianie słów. Ale Kornhauser czuje się także winny w stosunku do rówieśników, za to że jego poezja stara się być poezją. Istnieje cały cykl wierszy napisanych jakby świadomie w poetyce Różewicza, w których te dwa poczucia winy splatają się ze sobą. Można się w nich doczytać dialogu z pokoleniem, jakby prośby o cierpliwość i wyrozumiałość. I ten podskórny nurt wydaje mi się cenny. Może szczególnie cenny w zestawieniu z tonem niektórych fragmentów *Etyki i poetyki* Barańczaka, który w eseju o Zagajewskim, zatytułowanym linijką z jego wiersza *Powiedz prawdę do tego służysz* pisze:

„Zagajewski zdaje sobie (...) sprawę z rzeczy podstawowej: niezadowolony z literatury dotychczasowej nie musi — i nie powinno — prowadzić do jej samounicestwienia. Możliwe jest stworzenie takiej poezji, która byłaby nie, jak dotąd, „melodią”, ale „krzykiem” (przeciwstawienie często powracające w tych

wierszach), wyrazem buntu. I to buntu przemyślanego. Za najcenniejszą zdobycz tej poezji uważam świadomość, że wprawdzie obiekt buntu nie zawsze jest etycznie jednoznaczny (...) ale jednoznaczne etycznie powinno być postępowanie poety”. Przepraszam, ale brzmi to jak wyjaśnianie dzikim chemicznym wzoru, na przykład z czego składa się woda.

Przyznaję, że razi mnie ten pańsko-kapłański ton, w którym Barańczak uroczyście przyzwala na coś, co jemu samemu wydaje się oczywiste. Ale co to znaczy „postępowanie poety”? Czy postępowanie poety to jego wiersze, czy też publiczne zachowanie Iksa, który jest poetą? I czyją poezję ma na myśli pisarz mówiąc o „melodii”? Czy Różewicz, on który tyle zrobił, aby poezja właśnie nie „śpiewała”, czy Herbert, Nowak i Szymborska „śpiewają”? Zwątpienie Kornhausera cenię sobie wyżej — jako „postępowanie poety” — niż pewność wyborów i niezmiennosc poetyki jego rówieśników. Ale wiem, że wybory pewne wcale nie muszą być łatwe i że pod żadnym względem nie jest to czas łatwy dla poetów. Kornhauser pisze o tym w wierszu *Odpowiedzialność*:

„Zboczyć z drogi / to nie tylko utonąć w puchu wspomnień / to także wziąć odpowiedzialność za / nienazwane / Rzeczywistość ma kilka twarzy / Jasną jak noworoczne braterstwo / Szyderczą jak każde porównanie / Ciemną jak forma / ... / Rzeczywistość jest głucha jak pień dlatego / Nie krzyczę (święte wartości nabierają wagi)...”.

W eseju *O niewiedzy, wyuczonej i literackiej*⁴, który dotyczy zależności między rzeczywistością a sztuką, Miłosz przeprowadza dość brutalny podział: „Z dawien dawna tak już jest, że ci, którzy wiedzą, nie mówią, ci, którzy mówią, nie wiedzą”. Miłosz ma raczej na myśli doświadczenia ostatniej wojny niż klasowo-educacyjne podziały. Ale ten schemat można łatwo przenieść na sytuację w Polsce: ogromna, milcząca choć wiedząca większość i mała grupa ludzi, która mówi za nich i do nich. Poeci „pokolenia 68”, uprzywilejowani tylko przez swój instynkt moralny, gniew i cywilną odwagę, zadali sobie sporo trudu, aby ów podział zniknął. Chyba nigdy od czasu *Poematu dla dorosłych* Ważyka nie było takiej zgodności, takiej wspólnoty wiedzy między poezją a jej potencjalnym odbiorcą. Poezja Barańczaka i Krynickyego jest w wielu aspektach kliszą mózgu przeciętnego Polaka. „Niestety” — pisze Miłosz — „problem nie da się sprowadzić do wiedzy albo niewiedzy, bo dołącza się tutaj i zyskuje prymat zagadnienie formy. (...) Niełatwo się przyznać, nawet wobec siebie, do obojętności na szlachetne intencje naszych bliźnich. A jednak powieści czy wiersze społecznego, nie tyle protestu ile obrzydzenia, choćbyśmy byli z ich autorami solidarni, muszą być dotknięte jakąś chorobą, jeżeli ich czytelnik walczy z dojmującym uczuciem nudy. Paraliż form ma przyczyny obiektywne, niezależne od woli twórcy, i te przyczyny należałoby zbadać”.

3. J. Kornhauser, *Zjadacze kartofli*. Kraków, Wyd. Lit., 1978 i *Stan wyjątkowy*, Warszawa, PIW, 1978.

4. *Kultura* Nr 6, 1980 r.

Myślę że paraliż form nierzadko zależy od twórców, od ich jednorazowego wyboru. Formą, która paraliżuje poezję Krynickiego i Barańczaka jest zakłamanie, skamieniały, zakrzepły język gazety, sloganu politycznego i stereotypów oportunistycznego myślenia. Ten język, świadomie przez nich wybrany i ogrywany na wszystkie możliwe sposoby, pożera i obezwładnia poezję. Jedyne co przez niemal dosłowny cytat, poszerzony tylko o ironiczny kontekst udaje im się uzyskać — to demaskacja i ośmieszenie wzorca. To powinno wystarczać, ale nie wystarcza. Siła tego konceptu, tej językowej finty, powtarzana z wiersza na wiersz przestaje oddziaływać. Krynicki, o temperamentie bardziej liryka niż demaskatora-satyryka, gorzej na tym wychodzi — choć jego wiersze są tematycznie i poetycko bogatsze niż wiersze Barańczaka. Miłosz ma najprawdopodobniej na myśli poezję protestu (obrzydzenia) społecznego na Zachodzie. Różnica — moralna, społeczna i formalna — między poetami polskiej opozycji a zachodnimi *self-styled revolutionary poets* jest ogromna, na korzyść poetów polskich. Ale problem formy dotyczy jednych i drugich: „(...) kto mówi o rzeczach realnych nie nadaje im przez to jeszcze tej dotykaności, jaka jest potrzebna, żeby istniały w dziele sztuki. Przeciwnie, może się zdarzyć, że je odrealnia”.

Treści wierszy Krynickiego i Barańczaka budowane są na wspólnym — poetów i czytelników — odczuwaniu rzeczywistości. Na podobnym odczuciu opresyjności powszedniego dnia, na posługiwaniu się tym samym, zatrutym kłamstwem językiem. To ich powszechny sen i pospólna jawa. Ich program poetycki zrodził się z heroicznej decyzji przeciwstawienia się zniewoleniu umysłów, decyzji, którą ułatwiła im natura ich talentu. Ta zgodność moralnej intencji z poetyckim temperamentem stanowi o sile ich wierszy. Ona też ogranicza zakres ich poezji.

Poezja „pokolenia 68” jest uderzeniem pięścią w stół, a nie jak jej twórcy często podkreślali wynikiem rozczarowania do „wychowawców” i próbą zastąpienia oranżeryjnej poezji poprzedników. Ich wiersze rodzą się z gniewu, a nie — z małymi wyjątkami — z żalu nad sobą czy z troski o czytelnika. O rozczarowaniu mogło mówić pokolenie Października 56 i „pryszczaci”. Pokolenie Marca 68 jest pokoleniem gniewnych w czynie, tak jak gniewnymi w języku byli Hłasko, Bursa, Czycz i młody Iredyński. Poezja Barańczaka i Krynickiego nawołuje do ocknięcia się, do zrzucenia kajdan i kagańca, które nałożył system. I jest perfidnie zakodowana w języku tego systemu, w języku propagandy. Osobiście wolałabym inny język. Ale ten inny język — który, nie wątpię, istnieje i czeka na swojego poetę — być może nie służyłoby tak sprawnie, tak radykalnie demaskowaniu kłamstwa.

Pierwsze wiersze Barańczaka z jakimi się zetknęłam pochodzą z roku 1972⁵, ostatniego po Grudniu roku pozornej swobody.

5. *Twórczość* Nr 6, 1972 r.

Noszą tytuły: *Całym sercem po stronie, Wypełnić czytelnym pismem, Protokół*. Pierwszy zapowiada stale już później stosowaną metodę: stereotyp, slogan, nagle odcięte od swojego pnia, jakby przecięte w pół, z przyczepionym kadłubem prawdziwej, a ukrytej w nich treści. Dwa następne są rodzajem ankiety, którą od lat, mniej lub bardziej świadomie, wypełnia każdy Polak. Anonimowy autor kwestionariusza, zarazem pytający i odpowiadający, czerpie część pytania z oficjalnych schematów, a drugą z własnej, ironicznej i zbuntowanej duszy: (...) czy koryzta / z telefonu zaufania? (tak, nie); czy żywi / i czym żywi nieufność? skąd czerpie / środki utrzymania się w ryzach / posuszeństwa?...”.

Ten doskonały schemat zaczyna się parokrotnie, na przykład w linijce: „(...) czy jest posiadaczem majątku / trwałego lęku?”. Ale poeta, jeśli nawet wyczuwa opór języka, pozostaje nań w jakiś sposób nieczuły, jakby nie mógł sobie pozwolić na żadne ustępstwa wobec treści. Jediną „ozdobą” tej poezji jest gra słów; sąsiedowanie ze sobą słów dźwiękowo podobnych a znaczeniowo odmiennych, na przykład „pieśń” i „pięść”, z których zderzenia wynika ich ironiczna tożsamość. Ogłuszenie pieśnią równa się ogłuszeniu pięścią.

Pierwszy zbiór wydany poza krajem, *Ja wiem, że to niestuszne*⁶, otwiera wiersz *W zasadzie niemożliwe*, który jest wizytówką autorską. Na tle ulic kilkanaście razy do roku dekorowanych odświętną czerwienią pojawia się poeta: „W zasadzie nie ma prawa pojawić się ktoś taki / o mózgu tak wyzywająco szarym...”. Przez podkreślenie owej szarości mózgu Barańczak identyfikuje się, niejako zrównuje się z tymi, którym nie jest potrzebny. „W zasadzie niemożliwe aby się pojawił” — powtarza. Ale to właśnie owa niemożliwość znamienne go wyróżnia, zaprzeczając wyzywającej szarości mózgu, podważając przyjętą rolę.

Znakomity jest środek wiersza, prezentacja tych, którzy nie potrzebują poety; ponury, epicki tok, nie pozbawiony liryzmu: „nie potrzebują go ci ludzie, którzy w zimowy przedświt / jadą tramwajem do pracy: ich ręce / zbyt są zajęte przytrzymywaniem tezek / z drugim śniadaniem, aby mogły sięgnąć / po książkę, zresztą jest zbyt ciemno, nie potrzebuje go ta starsza kobieta, ciężąca / samej sobie jak siatka z zakupami: na jej / nogach żyłki biegną linią i tak prostszą / niż najprostszą linijki wiersza...”.

Pierwsza część zbioru zatytułowana *Ugryź się w język* to szyderczy poradnik oportunisty, podtrzymujący fikcję tożsamości autora z adresatem wierszy. Co w nich najlepsze, i niestety rzadko stosowane, to kulminowanie wiersza powagą i bólem, przed którymi ustępuje szyderstwo, pod którymi stereotyp łamie się skuteczniej niż przy wyciskaniu z niego wszystkich językowo-

6. St. Barańczak, *Ja wiem, że to niestuszne*. Wiersze z lat 1975-1976. Paryż, Instytut Literacki, 1977, str. 63.

treściowych możliwości, co prowadzi często do precyzji sztucznej, ocierającej się o nieporadność. Treść bowiem rozsadza slogan, ową zbitkę słów na której się opiera i nie chce dać się weń wtłoczyć.

Z chwytów retorycznych najczęściej stosuje Barańczak ironię, która podszywa się pod autoironię. Ale to wiersze tylko na połę ironiczne, te w których patos i powaga, ironia i autoironia zostają rozdzielone — wydają się najtrafniejsze. Są zresztą oparte na podobnej zasadzie ogrywania, demaskacji stereotypu co wiersze które wydają mi się znacznie mniej udane. Ich siłą jest logika, opanowanie retorycznego kunsztu, ale także rzadkie u Barańczaka — niespodzianka i skrót.

Barańczak z absolutnym słuchem imituje slogan polityczny, gołosłowie, ukrytą groźbę oficjalnych przemówień, poddańczą dialektykę myślenia: „nie pójdę ja, to pójdzie inny”. Ale idealnie podsłuchane, kompromituje się samo, nie trzeba go dopełniać, znosi się jako poezja. Tylko wtedy, kiedy poeta zaufa językowi i czytelnikowi — język sam go nagradza potocznością, niechby nawet kosztem precyzji. Jak w zakończeniu wiersza *Humanistyczne warunki*: „(...) nic, / co ludzkie, nie jest mi obce, a także / nic, co obce, nie jest mi ludzkie, żyjemy / tu w swoim kółku, obcych nam nie trzeba, / dobrzy znajomi, sami swoi, / ludzie”.

Niektóre wiersze, szczególnie te, w których desperacja i ból nie kryją się za językową ironią, mogą wydać się przesadzone, przedramatyzowane. Ale Barańczak wie, że żyje się przede wszystkim w krajobrazach prywatnych, i te wrastają w nas mocniej niż owa rzeczywistość tylko trochę szersza, która wymaga interwencji bardziej ryzykownej. Nikt wychodząc rano po bułki i gazetę nie myśli o sobie w kategoriach kolaboranta: „Najutrz po kolejnym zbiorowym samobójstwie zawsze tak samo / idzie się rano po gazety, / zawsze tak samo bieli się świeżo / spadły śnieg albo wschodzi / czyściutkie słońce letniego poranka...”. Poezja Barańczaka wyraża bezwzględność i ostrość podziałów, od której poezja normalnie raczej stroni. W wierszu w którym przyjaciel-oportunista dosłownie przestaje dla niego istnieć, umiera, niewiele łagodzi zakończenie, w którym poeta wyobraża sobie siebie w podobnej sytuacji.

Barańczak apeluje formalnie do własnego sumienia, do sumienia swoich rówieśników, do czytelnika, który ma dostęp do jego wierszy, czyli praktycznie już przekonanego. Ale w rzeczywistości jest to poezja skierowana do czytelnika, na wspólnotę z którym Barańczak powołuje się tylko z grzeczności i w celach pedagogicznych. Do czytelnika, który jest dla niego *bardziej niewytłumaczalny* niż „wytłumaczony”, jak w tym wierszu *Tłum, który tłum i tłumaczy*, w którym Barańczak wyraźnie ustawia się poza „milczącą większością”, w poczuciu nieszczerzej winy, że zakłóca jej spokój. Do przeciętnego, zmęczonego życiem i socjalizmem Polaka, ale także do dwulicowca, karierywiczka, spryciarza. To im podsuwa poeta ich własny, mało ponętny obraz, ich nakłaniania do myślenia i rozsądku rozsądniej-

szego niż zdrowy. To im podstawia zwierciadło, pokazuje język, czasem współczuje, to ich wydrwiwa, do nich mówi: wy jesteście solą i opoką systemu, dzięki wam zwycięża głupstwo, kłamstwo i bezprawie. To tego czytelnika, „niewytłumaczalnego” w swoim oportunizmie, w swoim zręcznym lecz zgodliwym milczeniu, choć „wytłumaczonego” zmęczeniem — potrzebuje pisarz. Dla niego i do niego pisze. I oczywiście dla siebie. Z wielką godnością powie do swoich wierszach: „(...) są jedyną rzeczą, która nie jest do kupienia / i która czasem bywa odkupieniem”.

Poezja Herberta — *bête noire* „pokolenia 68” — tak różna od poezji Barańczaka i Krynickiego — naładowana jest dynamiką równie dla systemu groźnym, choć przynajmniej, bardziej opakowanym. Wystarczy przypomnieć wiersze *Heraldyczne rozważania pana Cogito*, czy *Pan Cogito o postawie wyprostowanej*, pierwszy drukowany w *Zapisie*, drugi, wcześniejszy, wydany w roku 1974 w tomie *Pan Cogito*. Zbiór Barańczaka *Sztuczne oddychanie*⁷ — nie wdając się w zależności chronologiczne — można odczytać jako polemikę z Panem Cogito. Motto tomu — motto przed którym każdy poeta powinien się wzdrygnąć — przepisane jest z Ewangelii według Mateusza: „Lecz niech mowa wasza będzie tak, tak, nie, nie. A co nadto więcej jest od złego jest”. Tego samego wzoru użył niedługo Herbert w wierszu *Kołatka*: „Moja wyobraźnia / to kawałek deski / a za cały instrument / mam drewniany patyk / uderzam w deskę / a ona mi odpowiada / tak — tak / nie — nie / uderzam w deskę / a ona podpowiada / suchy poemat moralisty / tak — tak / nie — nie...”.

Herbert napisał wiele wierszy, a jeszcze więcej linijek w poszczególnych wierszach, które pokrywają się ze słowem Ewangelisty. Ale napisał znacznie więcej wierszy, które nie przestając być moralistyką, nie mają nic wspólnego z „suchym poematem”. Herbert zdaje sobie sprawę ze sprzeczności nurtującej współczesnego poetę: powiedzieć najprościej, ale powiedzieć inaczej. Jest świadom oszustwa, którego dopuszcza się każdy poeta, ilekroć zamiast bezpośrednio interweniować w rzeczywistość podaje światu ... różę. Ale Herbert jest też jednym z niewielu poetów, którzy w żaden sposób nie oszukują ani siebie, ani czytelnika. Nie udaje że bycie poetą to niemal jak bycie cieleciem o dwóch głowach, a uprawianie poezji to toczenie pod górę kamieni. Pisanie wierszy sprawia mu przyjemność i ta przyjemność jest w nich wyczuwalna. Rola poety śmieszy go i zadziwia, ale także sprawia mu satysfakcję. Te sprzeczności tworzą w jego poezji łagodne, nieostre napięcia, które czytelnik rozumie i które akceptuje. Herberta niepokoi gra między misją a nieodpowiedzialnością poety, ale przyjmuje ją, bo wie, że musi ją przyjąć.

W zakończeniu wiersza *Pięciu*, który jest statecznym, prostym opisem egzekucji, czytamy: „nie dowiedziałem się dzisiaj /

7. St. Barańczak, *Sztuczne oddychanie*, Wyd. „Aneks”, Londyn, 1978, str. 45.

wiem o tym nie od wczoraj / więc dlaczego pisałem / nieważne wiersze o kwiatach / ... / a zatem można / używać w poezji imion greckich pasterzy / ... / a także jeszcze raz / ze śmiertelną powagą / ofiarować zdradzonemu światu / różę”.

N.N., bohater *Sztucznego oddychania*, nie jest Panem Cogito, chociaż Pan Cogito nie jest wolny od frustracji N.N. I nie jest w tym stopniu co Pan Cogito *alter ego* poety. Herbert wysnuł Pana Cogito z siebie, z własnych doświadczeń i lektur. Barańczak okazjonalnie zniża się do poziomu N.N. N.N. jest polskim anonimem, produktem i ofiarą systemu. Cierpienia i skrupuły moralne aplikuje mu pisarz. Barańczak prezentuje go w szeregu sytuacji, z których wiele jest jakby parodią sytuacji, w których stawia swojego luksusowego bohatera Herbert. Barańczak smaga N.N. biczem ironii, za to że tylko myśli. Czyli za to, za co ostrożnie chwali Pana Cogito Herbert. Śledząc kolejne stany w których Barańczak prezentuje swojego bohatera można ulec złudzeniu, że ulega on ewolucji: „Kim / jestem? / Budzi się. / Wciąga w głąb płuc / ostatni senny oddech niemego pytania. / Budzi się. Jestem. Jest. Otwiera oczy, / porusza głowę. Coś mi się przyśniło. Pytanie. Ktoś zapytał wewnątrz mnie”.

Przemieszczenie pierwszej i trzeciej osoby może oznaczać identyfikację autora z podmiotem lirycznym wiersza lub tylko monolog wewnętrzny: poranne rozdwojenie jaźni. Typowość N.N. zostaje zakwestionowana, zanim Barańczak podsunie ją nam w toku wiersza; nie każdy budzi się w zwykły ranek z poczuciem schizofrenii. Barańczak: „nazwijmy go imieniem używanym zwykle / przez nieznaną żołnierz albo w listach do redakcji: N.N. Co też się kojarzy / z ogromną liczbą wyrazów przeczących: / na przykład nic, niewiele, albo nieskończoność...”.

Zachowując dystans w stosunku do N.N., Barańczak może sobie pozwolić na bezwzględność. Jego ironia często przechodzi w szyderstwo, nie może być pobłażliwa jak ironia Herberta, bo Herbert wypróbował Pana Cogito w sytuacjach mentalnych, wyobrażonych, a Barańczak N.N. w sytuacjach przeraźliwie konkretnych, pospolitych. Herbert może sobie pozwolić na luksus współczucia i pobłażliwości, ale — prawem paradoksu — także na większe wymagania w stosunku do Cogito. Herbert jest z Panem Cogito równy, nie musi go urabiać. Barańczak pragnie osiągnąć bodaj tyle, że w jednym z końcowych wierszy N.N. zapisze na odwrocie pudełka z papierosami, że to on, nikt inny, jest wszystkim winien. Co było do okazania.

Barańczak zmusza N.N. do nieprzyjemnych spowiedzi, dwoi i troi jego frustracje. Jeśli czasem pozwala mu odetchnąć, to tylko po to, aby pogrążyć go w rozpacz lub zespolić z rozpaczą innych. Przyczyną frustracji N.N. jest fakt, że nikt go nie nauczył wolności, ani w myśleniu, ani w postępowaniu. Że w wieku dojrzałym zaczyna dopiero raczkować. Ale jak na typowego polskiego anonim, frustracje N.N. zdają się zbyt głębokie, a jego oportunizm — bo wszystko kończy się na zgodzie moralnej i gestach — prawie niezrozumiały na tle aż tylu prze-

myśleń i depresji. W jednym z najlepszych wierszy, *N.N. przekręca gałkę radia*, czytamy: „Nie wyjdzie dziś na dwór / Przeraza go już samo powietrze. Te słupy / wbijane młotem nieba w każdą głowę. / Konieczność oddychania tym płynnym betonem. / Trzeba zostać w pokoju. Zastanowić się. Trzeba / uporządkować wiele spraw. Przemysleć wszystko. / Dziś. Wyjątkowo dziś”.

Do najlepszych w cyklu należą wiersze, w których Barańczak przestaje się troszczyć o stopień typowości N.N., napisawszy tytuł zapomina o swoim bohaterze i mówi wprost od siebie. Tak jest w wierszu *N.N. rzuca w przetrzeń naiwne pytania* — swartym, jednolitym, napisanym z retorycznym ferworem, nie czerpiącym swej formy z gazety, demaskującym nie slogan ale jego twórcę i nosiciela: dziennikarza telewizyjnego, którego wina jest znacznie większa niż pospolita wina bierności N.N.

Przedostatni wiersz, z rzadkim i cennym u Barańczaka *crescendo* i spadkiem, nosi tytuł *N.N. zamierza popełnić głupstwo*. Szary człowiek, anonim, codziennie krzyżowany Chrystus socjalizmu wspina się na parapet okna, schodzi i pada, szlochając, na łóżko. I tyle by wystarczyło. *Hymn wieczorny*, monotony i pełen powtórzeń, wydaje się już zbędny.

Najwcześniejszy wiersz Krynickiego jaki przeczytałam nosi tytuł *Róża, tym wyrazistsza, im bardziej jest niema*⁸ z datą 1969. Wiersz, o czym w nim mowa, wywodzi się z „róży”, symbolu poezji Rilkego. Ale łączy się także z wierszem Różewicza, *Szkic do erotyku współczesnego*, z taką między innymi linią: „najplastyczniejszym opisem chleba jest opis głodu...”.

Róża Krynickiego: „Gwiazda o imieniu Duinejska Elegia, / która wtedy istnieje, kiedy się nie spełnia / nie — róża jak krew biała i jak śnieg czerwona ... / ... / wtedy się staje, kiedy niczemu nie służy, / wtedy się spełnia, kiedy zaprzecza — róży ... / ... / tym bardziej obecna — im bardziej jej nie ma ...”. Jest w tym określony program poetycki, odmowa poezji opartej na porównaniach, kontrastach, odmowa poezji, w której „słowo dziwi się słowu”. Krynicki rezygnuje w wierszu z piękna dla prawdy, ale asekuje się przeświadczeniem, iż nieobecność, *brak* są silniejsze od obecności, i bardziej uprawnione. Być może moje odczytanie jest intencjonalne i błędne, nie wszystkie linijki wiersza mieszczą się w tej interpretacji. W zbiorze *Nasze życie rośnie*⁹ poeta raz tylko powraca do motywu róży. Ale nie jestem pewna czy w podobnej intencji.

Nasze życie rośnie opieczętowane jest aż sześcioma mottami, wśród których znalazła się obowiązkowa linijka z *Przełania Pana Cogito* („masz mało czasu trzeba dać świadectwo”), a z nadobowiązkowych fragment wiersza *Rozważania o problemie narodu*, jednego z najpiękniejszych liryków patriotycznych polskiej poezji powojennej: „buntowałem się / ale sądzę że ten okrwawiony węzeł / powinien być ostatnim jaki / wyzwalający się potarga...”.

8. *Twórczość* Nr 4, 1973 r.

9. R. Krynicki, *Nasze życie rośnie*, Paryż, Inst. Lit., 1978, str. 103.

Poezja Barańczaka i Krynickiego jest poezją patriotyczną, czy, jak się dawniej mówiło, poezją obywatelską. Barańczaka poprzez zadania, jakie sobie stawia, Krynickiego także w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Krynicki pisze wiersze o ojczyźnie — niekochającej matce. Co więcej, należą one w tym zbiorze do najlepszych, bo temu poecie znacznie bardziej do twarzą w powadze — co nie jest tym samym co uroczysta podniosłość, w niepozabawionej sentymentalizmu lirycznej refleksyjności.

Jeden z najlepszych wierszy, *Język, to dzikie mięso*, zadedykowany jest „Panu Zbigniewowi Herbertowi i Panu Cogito”. Dedykacja została w przypisach opatrzona zagadkową notką, która wydaje mi się pretensjonalna, i której ironii — jeśli w ogóle obecna — nie pojmuje: „W swoim czasie ośmieliłem się przeciwstawić Zbigniewowi Herbertowi, mówiącemu, że dramat języka nie powinien nam przesłaniać tragedii świata. Wierzyłem że mam rację, ale — myliłem się”.

Autoironia Krynickiego jest zbyt stoicka, zbyt na wierzchu, aby można jej było zaufać. Aforystyczna prostota, szczególnie krótszych utworów, wydaje się zwodnicza: wiersz uchyla przed czytelnikiem głębi, jakby licząc na jego gotowość do podjęcia aluzji, i zostawia go z pustymi rękami. Tak jest w wierszach *To, nic, Tylko śnieg i Oddziały chorych na raka*. Nagradzają to inne utwory, na przykład *Jak sen, Jak serce* — melancholijne, pisane bez mędrkowania. Wiersze oparte na konkretnej sytuacji, których zgryźliwy morał po prostu z niej wynika, nie będąc wysiłonym konceptem. Wiersz *Przechodząc obok* swoją zrozumiałą fabułą podważa czystość zawartej w nim intencji. Forma modlitwy, nawet najbardziej świeckiej, nie sprzyja ostrym moralnym osądom. Nie można współ-czuć, wpatrując się jednocześnie w swoje czyste ręce: „Przechodząc obok podmiejskiego domu / widzę przelotnie przez otwarte okno / starca, jedzącego samotnie / przy jasno oświetlonym stole. / ... / Nie chciałbym mieć najmniejszego prawa, / aby nawet przez chwilę się zastanawiać, / czy on, który teraz łamie i spożywa chleb / kiedykolwiek musiał się zapierać / przyjaciół lub siebie, / aby przeżyć / czy na jego rękach nie ma cudzej krwi, / czy jego twarz / nigdy nie została opluta”.

Ta sama podniosłość tonu w wierszu *Będą ci wybaczone*, brzmiąca fałszywie w zestawieniu z prostą konstatacją, że ocalenie fizyczne nie jest równoznaczne z ocaleniem moralnym. Prostota Krynickiego, podobnie jak jego ironia, wydaje mi się zbyt świadoma siebie, zbyt w sobie zadufana. Krynicki poucza innych, udając że poucza siebie, i nadużywa stylistyki niedzielonego kazania: „Zostaną ci wybaczone wszystkie złe uczynki, / jeżeli je popełniłeś, / aby kogoś uratować / ja jestem tym, / dla kogo oślepiłem na cudze cierpienie / i ogłuchłem na cudze wołanie o pomoc”.

Ale rzadko wiadomo z góry, kiedy z dotkniętej struny wydobędzie się czysty, a kiedy fałszywy ton. Wiersz *Nie wyleczysz się już z nienawiści*, o tonacji równie podniosłej — kłamstwo

jako wstydliva choroba gazety, porównanej do chorego zwierzęcia, prawda — jako jej nigdy nie gojąca się rana — jest wstrząsającym obrazem, zaskakującym trafnością i siłą porównania. Więc jednak obraz, jednak porównanie...

W najlepszych utworach przeważa powaga przemieszana z ironią, są napisane językiem potocznym i nie są napuszone. I jako takie są bardziej poetyckie. Siłą Krynickiego, siłą którą trwoni i którą lekceważy jest liryzm, uliryczniona refleksja. Ta, której daje upust w wierszach patriotycznych *To moje serce tak się dobija czy Jeszcze nic*, w wierszach osobistych: *Moja ukochana w kulistym śnie* i w tym niejasnym dla mnie, niepokojącym wierszu pod tytułem *Różo*: „jawna tajemnico, prosty labirynt, / beztroska, nieśmiertelna, / złowieszczą różo, ja jeszcze nie chcę. / ... / ja jeszcze nie mam prawa umierać”.

Krynicki podobnie jak Barańczak bierze na siebie wszystkie wyliczane imiona czasu, całą jego ciemność, okrucieństwo i absurd. Utożsamia się z tymi, którzy zdradzili, poczuwa się do duchowej wspólnoty z tymi, którzy za wcześniej odeszli: Borowski, Bursą, Hłaską i Wojaczkim. Poematy jak *Podróż po śmiertna (III)*, *Piosenka*, *Co pewien czas* czy *Planeta Fantasmagoria* są rodzajem testamentu jego pokolenia i rachunkiem, który poeta wystawia uzurpatorom sprawującym władzę w jego kraju, nad jego życiem i czasem. I ta statystyka jest dotknięta śmiercią, poczuciem nieodwracalności dokonanych spustoszeń.

Jak u Barańczaka obsesja skażonego kłamstwem powietrza, tak u Krynickiego obsesja języka, który „rozsadza usta”, dławi się „wypowiedzianym kłamstwem” i „niewypowiedzianą prawdą”. Przyrównany do obnażonego serca, nagiego ostrza, czerwonej flagi, knebla, dziecka — ten narząd najbardziej zniewolony i zdeprawowany, jest także ich — a za ich pośrednictwem naszym — jedynym sprzymierzeńcem. Ten język dławiący się strachem, którym nie my mówimy, ale który nas mówi, wypłuka także artykułowaną prawdę i sprawiedliwy gniew.

Więc chwala Poetom cokolwiek tu napisałam.

Janina KATZ HEWETSON

Wspomnienia socjologa

Aleksander Hertz, wybitny polski socjolog o stanowisku niezależnym, jest autorem książki pt. „Wyznania starego człowieka” (Londyn 1979, Oficyna Poetów i Malarzy), stanowiącej doskonały wgląd w problemy tej części polskiej inteligencji międzywojen-

nej, która już całkowicie weszła w polską kulturę, ale jednocześnie nie zdołała — z przyczyn od siebie samej niezależnych — szczęśliwie rozwiązać kwestii samoidentyfikacji. Jak Hertz sam pisze o sobie, nieustannie stawało przed nim i jemu podobnymi pytanie: jak mogę się uważać za Polaka, kiedy Polacy uważają mnie za obcego? A w takim razie, kim jestem? Jak mam siebie określić? (str. 133).

Ta kwestia miała zasadnicze znaczenie dla spolonizowanych Żydów okresu międzywojennego, określała ich stosunek do polskiego nacjonalizmu, powodowała, że ulegali wpływowi komunistycznym, wysoce utrudniała przyjęcie chrześcijaństwa, stanowiła bolesny cierni w duszy. Wspomnienia A. Hertza stanowią bardzo interesujący dokument w tym względzie.

Istnienie tej książki jest szczególnie ważne choćby dlatego, że młodsze polskie pokolenia, które z polskimi Żydami albo w ogóle nie miały okazji się zetknąć, albo dysponują w tym względzie wiedzą pośrednią i ułamkową, po prostu zatraciły wyczuwanie złożoności i wieloznaczności całej sprawy. Dowodem tego jest choćby recenzja Edwarda L. Duszy z wyżej wymienionych „Wyznań” (*Pomost*, 1980, nr 7, str. 21-26), w której wykazuje on całkowicie niezrozumienie trudnych wyborów przed jakimi stają ludzie już kulturalnie zasymilowani w danej społeczności, ale jeszcze przez nią nie zaakceptowani. Takie skomplikowane wybory są zresztą dość częste we współczesnym świecie etniczno-kulturalnego przemieszania.

Tam, gdzie Dusza doszukuje się konformizmu autora „Wyznań”, mamy w gruncie rzeczy do czynienia z nieustannym poszukiwaniem akceptacji ze strony otoczenia. Znamienne jest również, że Dusza nie może wybaczyć Hertzowi zarówno niegustowania w pisarstwie Sienkiewicza (jak gdyby było świętokradztwem nie lubić tego co lubią inni!) co jego pozytywnego stosunku do Stanów Zjednoczonych. Zdaniem Duszy obraz Ameryki przedstawiony przez Hertza jest „przeidealizowany i z gruntu fałszywy” (*Pomost*, 1980, nr 7, str. 21). Duszy zdecydowanie nie podoba się ta książka. Widzi ją jako „popis erudyty, powierzchniowe twierdzenia o filozofii, socjologii, literaturze, zaprawione dużą dozą fanatyzmu i nienawiści” (*ibid.*, str. 26).

Książka tutaj omawiana jest spowiedzią całego życia człowieka, który położył wybitne zasługi w rozwoju niezależnej polskiej socjologii. Podczas gdy w Polsce powojennej orientacja marksistowska stała się w naukach społecznych dominująca, zachowane sprzed wojny książki i artykuły Hertza wędrowały, zwłaszcza wśród socjologów, z rąk do rąk, dając znakomite wprowadzenie w tę wiedzę, całkowicie wolne od doktryny oficjalnej. Nie przypadkiem nie wznawiano tych publikacji; otwarta postawa autora i jego pióro skutecznie działały przeciwko skostniałemu i jednostronnemu podejściu marksistowskiemu. Sam zawdzięczał Hertzowi bardzo wiele, wpiersz jako czytelnik jego publikacji, a potem — w czasie moich studiów i podróży w Stanach Zjednoczonych — jako gość pp. Hertzów. Każda moja rozmowa z Alek-

sandrem Hertzem była dla mnie wielką przyjemnością intelektualną, i to nie tylko ze względu na jego bardzo gruntowną wiedzę socjologiczną, ale przede wszystkim z uwagi na jego rzetelny i poważny stosunek do przedmiotu dyskusji. Wyobrażam sobie, że Hertz musiał być znakomitym pedagogiem i że potrafił przekazać studentom umiejętność i chęć poszukiwania prawdy.

Główną treść książki stanowi poszukiwanie przez autora dobra, prawdy, piękna, ojczyzny i sensu życia. Autor deklaruje się jako liberał, ale poszukiwanie sprawiedliwości społecznej związało go przez czas pewien z polskim socjalizmem demokratycznym. Na podstawie historycznych doświadczeń doszedł do przekonania że „rzeczywisty socjalizm ma najwięcej szans w tzw. kapitalizmie typu *welfare state*” (str. 71). Jeśli idzie o poszukiwanie prawdy, to autor zachowuje bardzo ostrożną postawę. Pisze o samym sobie: „Ja chcę mieć prawo do błędzenia, do wydawania błędnych sądów, do robienia pomyłek. Od siebie wymagam tylko, żeby to były błędy czy pomyłki popełniane w dobrej wierze, w przekonaniu że nie są błędami. Ale wymagam też od siebie bym stale przyjmował możliwość i prawdopodobieństwo błędności własnych sądów, bym z pokorą przyjmował, gdy błędność ich zostanie mi wykazana” (str. 98). Autor wysoko ceni koncepcję grzechu, w swych wyznaniach wiele mówi o Bogu. Faktem zasadniczym pozostaje dla Hertza, że „człowiek nie jest istotą doskonałą, że jest istotą błądzącą, bardziej kierującą się swoim szaleństwem niż rozumem. Mądrość Dziesięciorga Przykazań liczy się z tą niedoskonałością człowieka, z jego ułomnością i grzesznością” (str. 222). Autor stwierdza, że jego poszukiwanie sensu życia koncentruje się na „poszukiwaniu Boga i w przyjęciu Go”. Mówi przy tym o sobie: „Bóg, którego przyjmuję, stoi ponad taką lub inną doktryną kościelną, ponad takim lub innym systemem wierzeń. Jest Bogiem wybitnie ekumenicznym, przyjmującym, że każda droga może do Niego prowadzić. Na pewno nie jest biurokrata” (str. 170).

Lektura „Wyznań” będzie ciekawa i pobudzająca dla każdego czytelnika, któremu dla rozumienia własnego życia nie wystarczy zestaw gotowych formułek, ale który zdaje się na własne poszukiwanie w tym względzie. Kto dysponuje receptami na każdą okazję, ten zapewne nie znajdzie przyjemności w rozczytywaniu się w osobistych poszukiwaniach dokonywanych przez człowieka tak bardzo dziś nietypowego jak Aleksander Hertz. Osobiście jestem mu za tę ostatnią książkę bardziej wdzięczny niż za jakąkolwiek poprzednią. W dobie daleko idącej standaryzacji wszystko co nietypowe, unikalne, zasługuje na szczególną uwagę. Wszystkim nam potrzeba dystansu w stosunku do samych siebie, podsumowania co pewien czas naszego dorobku życiowego. Książka Hertza pokazuje, jak to można zrobić dobrze i ładnie.

Nadesłane nowości wydawnicze

- NOWAK (Jan) [Zdzisław Jeziorański]. *Polska pozostała sobą*. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1980).
- PAWLIKOWSKA - JASNORZEWSKA (Maria). *Czterolistna konieczna albo Szachownica*. Zbiór czterowerszy, wydany przez Tymona Terleckiego. Str. 115 i 8 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1980).
- MIRSKA (Klara). *W cieniu wiecznego strachu. Wspomnienia*. Str. 599. (Paryż).
- Pamiętnik literacki*, tom III, str. 142. (Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn, 1980).
- LAKS (Szymon). *Szargam świętości*. Str. 111. (Wyd. OPIM, Londyn, 1980).
- BLUM (Aleksander). *O broń i orły narodowe. (Z Wilna przez Francję i Szwajcarię do Włoch; wspomnienia, fotografie i dokumenty)*. Str. 312. (Wyd. nakładem kolegów, b. żołnierzy, ich rodzin, przyjaciół i subskrybentów, Londyn, 1980).
- Polak zwiedza Paryż*. Przewodnik. Opracował Jan Winczakiewicz. Str. 124 i 24 nlb. (Wznowienie, wyd. Księgarnia Polska, Paryż, 1980).
- SAWULAK (Mikołaj). *Polskie zmartwienia*. Str. 23 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1980).
- SCHAPER (Edzard). *Dzieciątka Jezus z karelskich borów*. Przełożyła z niemieckiego Krystyna Brzozowska. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn, 1980).
- W dobrej i złej woli*. Praca zbiorowa. Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. nakładem księży Marianów, Rzym, 1980).
- MICHAŁSKI (Tadeusz). *Co widziałem i przeżyłem*. Str. 332 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn, 1980).
- DROBNIK (Jerzy). *Wiersze*. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn, 1980).
- BYSZEWSKA (A. D.). *Przygody i przeżycia Polskiej Patriotki w czasie wojny i po wojnie oraz BYSZEWSKI (S.). Moje wspomnienia*. Cz. I str. 180, cz. II str. 93, cz. III str. 25. (Wyd. Veritas, Londyn).
- GAWLIKOWSKI (Lechosław). *Brak odpowiedzialności za błędy gospodarze w PRL*. Str. 12. (Wyd. Wydawnictwo Komitetu Głównego PPS w Niemczech, Monachium, 1980).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *List*. Wiersze. Ilustracje. Str. 45 i 2 nlb. (Wyd. Krakowska Oficyna Studentów, Kraków, 1979).
- DÜRRENMATT (Friedrich). *Upadek*. Str. 62 i 2 nlb. Przedruk z Kniznice Konfrontace Helvetia. Przełożył St. A. Owsianko. Projekt graf. Marek Orman. (Wykonano metodą sitodruku w Krakowskiej Oficynie Studentów, Kraków, 1980).
- HŁASKO (Marek). *Następny do raj*. Str. 164 i 4 nlb. Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, Paryż, 1973. (Wyd. Krakowska Oficyna Studentów, Kraków, 1980).
- JASTRUN (Tomasz). *Promienie błędnego koła*. Poezje. Str. 71. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1980, cena zł 12,00).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Sztuczne oddychanie*. Wiersze. Ilustr. Dorota Martini. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Krakowska Oficyna Studentów, Kraków, 1980).
- JERZEWSKI (Leopold). *Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych*. Str. 150. (Wyd. Biblioteka Głosu, Warszawa, 1979).
- ZGÓRNIAK (Marian). *Sytuacja militarna Europy w okresie kryzysu politycznego 1938 r.* Str. 341 i 5 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa, 1979, cena zł 94,00).

- LUKASIEWICZ (Stanisław). *Okupacja*. Str. 739 i 2 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1979, cena zł 60,00).
- GIBON de (Yves). *Témoignages d'un rendez-vous manqué. L'Eglise peut-elle disparaître*. Str. 255. (Wyd. Editions Paul Mari, Paryż, 1980).
- WOJTYŁA (Karol). *The Jeweller's Shop*. Tłum. Bolesław Taborski. Str. 62 i 4 nlb. (Wyd. Hutchinson et Co., Londyn-Melbourne-Sydney-Auckland-Johannesburg, 1980).
- The Strop Report. The Jewish Quarter of Warsaw Is No More. A facsimile edition and translation of the official Nazi report on the destruction of the Warsaw Ghetto*. Tłum. i opracowanie Sybil Milton. Przedmowa Andrzeja Wirtha. Strony nienumerowane. (Wyd. Pantheon Books, New York [1979]).
- Prisoners of Conscience in the USSR: Their Treatment and Conditions. An Amnesty International Report*. Str. 217. (Wyd. II, 1980).
- LU-KI — PETROV (Yvan). *The Two Crosses*. Powieść. Str. 345 i 2 nlb. (Wyd. S.a.m.d.t.).
- BROMKE (Adam). *Détente or Cold War II: East-West Relations after Afghanistan*. Str. 32. (Seria Behind the Headlines, volume XXXVIII, nr 2, 1980. Wyd. The Canadian Institute of International Affairs, cena \$ 0,75).
- MOSTWIN (Danuta). *American Families of East European Heritage*. Wykład wygłoszony podczas the Capitol Seminar on the Family. Str. 8. (Wyd. The American Family Institute, 1980).
- Letter to a Russian Friend. A samizdat publication from soviet Byelorussia*. Str. 64. (Wyd. The Association of Byelorussians in Great Britain, Londyn, cena: £ 1.00).
- LAUB (Gabriel). *Olympisches Laub*. Humoreski. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Bastei Lübbe, RFN, 1980).

NAKLADEM

Oficyny Poetów i Malarzy

WYSZEDŁ SPÓD PRASY
NIEZNANY TOM WIERSZY ZNAKOMITEJ POETKI

MARI PAWLIKOWSKIEJ-JASNORZEWSKIEJ

CZTEROLISTNA KONIECZYNA ALBO
SZACHOWNICA

w opracowaniu

TYMONA TERLECKIEGO

wydawcy jej „Ostatnich utworów” i „Ostatnich notatników”.

Jest to piękny dwubarwny druk bibliofilski zawierający fotograficzną podobiznę oryginału, portret Autorki rysowany przez Mariana Bohusza, kolorową winiętę Aleksandra Wernera na obu okładkach.

Cena: £ 4.00, przesyłka: 50 p.

Do nabycia u wydawcy:

Poets' and Painters' Press, 146 Bridge Arch,
Sutton Walk, London SE1. England

i w księgarniach polskich.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

11-6-80

Zmarł w Warszawie w wieku 84 lat generał Zygmunt Berling, żołnierz Legionów, dowódca pułku w Kielcach w okresie międzywojennym, w latach 1941-42 członek Sztabu Armii gen. Andersa w ZSSR, następnie współtwórca i dowódca I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, a później dowódca I Armii WP.

29-6-80

W Warszawie obradował VII Krajowy Zjazd delegatów Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Towarzystwo to skupia ponad 6 tysięcy członków i wydaje w języku ukraińskim tygodnik *Nasze Słowo*. Przewodniczącym Zarządu Głównego został Eugeniusz Kochan.

1-7-80

W Katowicach zmarł w wieku 72 lat prozaik i publicysta Aleksander Baumgarten.

4-7-80

W Warszawie miała miejsce międzynarodowa Konferencja na rzecz pokoju i praw człowieka, zorganizowana przez Armanda Hammera, amerykańskiego przemysłowca związanego interesami z ZSSR. W czasie tej konferencji znany polityk francuski Edgar Faure, prezes Międzynarodowego Instytutu Praw Człowieka w Strasburgu, udekorował Edwarda Gierka medalem za zasługi na polu krzewienia pokoju i praw człowieka. — Bez komentarzy.

11-7-80

W Katowicach zmarł w wieku 81 lat Bolesław Wojtowicz, kompozytor i pianista.

12-7-80

Reprezentacja Polski na Olimpiadę w Moskwie liczyła 322 osoby startujące w 18-tu dyscyplinach. Polacy zdobyli 32 medale w tym trzy złote, 14 srebrnych i 15 brązowych oraz zajęli czwarte miejsce w nieoficjalnej punktacji. Pobito jeden polski rekord świata (Władysław Kozakiewicz) oraz 20 rekordów krajowych.

13-7-80

W PRL wprowadzono nowe, wyższe ceny na niektóre gatunki mięsa. Bez zmian pozostały opłaty za wyżywienie w punktach żywienia zbiorowego (stołówki, szpitale, przedszkola itp.) natomiast w restauracjach ceny dań mięsnych będą kalkulowane w oparciu o ceny komercyjne.

17-7-80

W pałacu wilanowskim odbyło się spotkanie kierownictwa Urzędu do Spraw Wyznań z polskimi misjonarzami oraz duszpasterzami polonijnymi, którzy przybyli do kraju na wypoczynek. W spotkaniu tym brali udział ks. Franciszek Pytel SDS, wiceprezes Towarzystwa „Polonia”, ks. Jan Chmiel SDS z sekretariatu Episkopatu Polski i ks. Alojzy Poszorz SVD — dyrektor biura misyjnego Episkopatu. ■ Prezydium Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa przygotowuje obchód 100-letniej rocznicy urodzin gen. Władysława Sikorskiego. Planuje się m.in. wydanie okolicznościowego znacz-

ka pocztowego i nadanie jednej z ulic Warszawy jego nazwiska. ■ W Ust-Illinsku nad Angarą rozpoczyna pracę kombinat celulozowy będący inwestycją sześciu krajów RWPG: ZSSR, Bułgarii, PRL, NRD, Węgier i Rumunii. Koszt budowy tego kombinatu i miasta które wyrosło obok wyniósł 2 i pół miliarda rubli. Udział pięciu krajów RWPG wyniósł 328 mln rubli. W budowie i montażu brały udział polskie brygady młodzieżowe. Kraje RWPG w ciągu 12-tu lat mają otrzymać około 2 i pół mln ton celulozy. Po tym okresie współpraca będzie kontynuowana jedynie w oparciu o umowy dwustronne. PRL otrzyma pierwsze dostawy w przyszłym roku.

18-7-80

W ZSSR buduje się ropociąg „Surgucki” od złóż naftowych w Tiumieniu do europejskiej części ZSSR i dalej do krajów europejskich. Rurociąg ten ma być długości 3.500 km. PRL buduje odcinek 293 km między Andropolem i Nowopołockiem. Polska ekipa, licząca 4.000 osób pracuje w bardzo ciężkich warunkach i redakcja *Głosu pracy* apeluje o pomoc w zaopatrzeniu, wymianie zużytego sprzętu, należyte wyposażenie w maszyny i urządzenia oraz wypełnienie czasu po pracy.

20-7-80

Doroczne nagrody Polskiego PEN-Clubu za wybitne osiągnięcia w dziedzinie edytorskiej zostały przyznane prof. Konradowi Górskiemu z Torunia i prof. Karolowi Estreicherowi z Krakowa. ■ Głównymi importerami sowieckiej ropy naftowej w 1979 roku były: Czechosłowacja — 19,1 mln ton, NRD — 18,6 mln ton, Polska — 14,7 mln ton, Finlandia i Kuba — po 10 mln ton, RFN — 9,3 mln ton.

23-7-80

W południowo-zachodniej części Ukrainy rozpoczęto budowę chmielniczej elektrowni atomowej o mocy 4.000 megawatów. Elektrownia jest budowana wspólnie przez członków RWPG. PRL zaopatruje budowę w urządzenia elektrotechniczne, automatykę i wyroby walcowane. Ponadto w budowie biorą bezpośredni udział polscy specjaliści. ■ Na lektoraty języków obcych w PRL uczęszcza około 300 tys. osób. Na każdą przypada przeciętnie 90 godzin zajęć języka rosyjskiego i 120 godzin języka zachodniego.

25-7-80

W pobliżu Rozewia „Petrobaltic” (międzynarodowe przedsiębiorstwo wspólnych poszukiwań ropy naftowej — ZSSR, NRD i PRL) rozpoczął próbnie wiercenia w poszukiwaniu ropy naftowej na Bałtyku. ■ Została podpisana umowa o współpracę między uniwersytetami łódzkim i bagdadzkim. Przewiduje ona wymianę pracowników naukowych oraz organizowanie wspólnych konferencji-symposium. Jest to 34-ta umowa Uniwersytetu Łódzkiego z zagranicznymi partnerami.

27-7-80

Inflacja dyrektorów: warszawska *Kultura* podaje, że krakowski „Budomet” zatrudniający 1.028 pracowników ma 18-tu dyrektorów: „Transbud” mająca 1.800 pracowników ma jednego dyrektora i 18-tu zastępców; krakowska chłodnia składowa z załogą 1.374 osób ma 6 dyrektorów. Pismo zapowiada opublikowanie danych z innych terenów. ■ Resort budownictwa PRL wykonał do tej pory zaledwie 23 % skorygowanego i zmniejszonego planu budowy mieszkań. ■ Nagrody państwowe otrzymali m.in. Bronisław Zieliński za całokształt twórczości przekładowej i Marek Rostkowski za scenariusz wystawy „Polaków portret własny”. ■ Z powodu braku papieru w PRL mają miejsce duże ograniczenia objętości i nakła-

dów czasopism i książek. Jednocześnie jest niesłychane marnowanie papieru. Życie Gospodarcze cytuje kilka drastycznych faktów. Centrala Rybna wydała milion egzemplarzy informatora o rybie błękitku, która w rzeczywistości jest nie do dostania, a zamiast tego informatora można by było wydać 200-stronicową książkę w 20 tys. egzemplarzy. Ulotka PKO o pożytku oszczędzania równa się 20 tysiącom książek. Wydany przez spółdzielnię w Zielonej Górze „Dzienniczek ucznia”, którego resort oświaty nie zatwierdził i polecił wyrzucić równa się aż 1.250.000 książek 200-stronicowych.

30-7-80

Andriej Sacharow wystosował list otwarty do Leonida Breżniewa, w którym określa interwencję sowiecką w Afganistanie jako „prerażający błąd”. Proponuje on, by ZSSR i powstańcy zaprzestali działań wojennych i by podpisano zawieszenie broni; ZSSR zobowiązuje się do całkowitej ewakuacji swoich wojsk w miarę zastępowania ich oddziałami ONZ; neutralność, pokój i niezawisłość Afganistanu będzie zagwarantowana przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, jak również w miarę możliwości przez kraje sąsiadujące z Afganistanem; członkowie ONZ z ZSSR włącznie udzielą azylu wszystkim obywatelom afgańskim, którzy zechcą opuścić swój kraj; pomoc gospodarcza udzielona na zasadzie międzynarodowej Afganistanowi ma być zorganizowana w ten sposób, aby wyłączyć uzależnienie go od któregośkolwiek z państw: — ZSSR weźmie również udział w tej pomocy; rząd Karmala aż do wyborów przekazuje władzę radzie tymczasowej, w której wezmą udział zarówno przedstawiciele powstańców, jak i ustępującego rządu Karmala; wybory odbędą się pod kontrolą międzynarodową, członkowie rządu Karmala i jego zwolennicy będą mogli w nich wziąć udział na równi z innymi. Ponadto Sacharow zwraca uwagę na to, że od 63 lat w Związku Radzieckim nie było żadnej amnestii dla więźniów politycznych i domaga się jej ogłoszenia. Sacharow uważa, że jego deportacja do Gorkiego jest nielegalna i że do tej pory nie zawiadomiono go ani o motywach decyzji, ani o tym kto ją powziął. Jego interwencje powodują represje wobec jego bliskich, którzy w pewnym sensie stali się zakładnikami.

31-7-80

W latach 1970-78 PRL zakupiła za granicą 450 licencji za przeszło 2 miliardy złotych dewizowych. Z analiz opublikowanych w prasie wynika, że w 1978 roku wykorzystano mniej niż połowę zakupionych i wprowadzonych do planów licencji, zaś 1/4 już wdrożonych licencji nie osiąga pełnej zdolności produkcyjnej. Trzeba zaznaczyć, że wyżej wspomniane 2 miliardy złotych dewizowych to jedynie 10 % faktycznych kosztów uruchomienia produkcji licencyjnej. ■ Przewiduje się w PRL, że dostawy towarów w drugim półroczu bież. roku będą o 20 miliardów złotych niższe niż planowano. ■ W Polsce wycina się rocznie ponad 200 milionów m³ drzewa. Ostatnio betonowe podkłady kolejowe zaczęto wymieniać na drewniane.

5-8-80

Jan Paweł II powołał ks. Stanisława Stefanka, wikariusza generalnego Zgromadzenia Chrystusowców, na sufragana biskupa Kazimierza Majdańskiego, ordynariusza diecezji Szczecin-Kamień, który prawdopodobnie będzie przeniesiony na stałe do Watykanu w związku z mianowaniem go przez Papieża sekretarzem Komitetu do Spraw Rodziny (w ramach Papieskiej Rady Świeckich). ■ W ramach katechezy narodowej i duszpasterstwa akademickiego na terenie wielu diecezji wykłady wygłaszali ostatnio m.in.: prof. K. Dąbrowski z Warszawy, prof. K. Jajdzewski z Łodzi, prof. B. Lewicki z Łodzi, Red. Bohdan Cywiński, red. T. Mazowiecki, A. Wielowieyski, Wł. Bartoszewski z Warszawy, J. Woźniakowski z Krakowa. Zwraca

ca uwagę, że prelegenci należą do środowisk niezależnego ruchu katolickiego „Znak”, natomiast wykluczeni są z tej akcji przedstawiciele pseudo-„Znaku”, tj. grupy sejmowej J. Zabłockiego, kompletnie — jak wiadomo — zdyskredytowanej w społeczeństwie.

8-8-80

Władze PRL upoważniły ministra wyznań, Jerzego Kuberskiego, do odwiedzenia w październiku br. Izraela. Ma on się tam udać w charakterze prywatnym. Jest to traktowane jako nieśmiała próba znormalizowania za przykładem Rumunii stosunków z Izraelem.

10-8-80

Czechosłowacja anulowała Międzynarodową konferencję logiki matematycznej, która miała się odbyć w Pradze w sierpniu br. Czechosłowacja obawiała się, że na Konferencji będzie poruszona sprawa uwiezionych naukowców, jak np. znanego matematyka i filozofa Wacława Bendy.

ZACHÓD — EMIGRACJA

13-6-80

W mediolańskim klubie prasy została zaprezentowana, w obecności autora, nowa książka b. premiera Andreottiego *A ogni morte di Papa* — relacja o kontaktach osobistych włoskiego męża stanu z 6 ostatnimi papieżami. Jeden z prezentujących, wybitny publicysta i poseł do parlamentu europejskiego Enzo Bettiza, zajął się w pewnej chwili osobą Jana Pawła II: „Tego człowieka przybyłego ze wschodniej Europy oczekuje, być może, wielka próba. Zadaje sobie pytanie: gdyby — co nie jest bezzasadną hipotezą — w Polsce miała wybuchnąć rewolta przeciw dominacji sowieckiej, Wojtyła zachowałby się jak papież rzymski, czy raczej jak kardynał krakowski?”

■ W Londynie powstało Studium Spraw Polskich (Wielka Brytania). Choć wzoruje się na metodach działalności północno-amerykańskiego Studium Spraw Polskich, nie jest ono związane z nim organizacyjnie. Prezesem Studium została p. Aleksandra Stypułkowska, a sekretarzem generalnym redaktor Antoni Pospieszalski.

14-6-80

W Londynie odbyło się posiedzenie Rady Funduszu Społecznego Żołnierza. Ze sprawozdań wynika, że dochód w okresie 1979-1980 wyniósł £ 22.956.06, na który złożyły się głównie wpływy z trzech czynszowych nieruchomości (£ 19.846.18), z domów, spłaty drobnych pożyczek i dary. Na rozchód złożyły się wydatki na pomoc doraźną, pomoc ludziom w Kraju, zasiłki pogrzebowe i drobne pożyczki, łącznie £ 8.865.00. Dalsze wydatki są to koszty administracyjne i personalne oraz utrzymania domów. Rada ustaliła budżet na okres 1980/81 podnosząc wydatki na cele charytatywne o około £ 2.000.00. Przewodniczącym Rady Funduszu został p. Stefan Soboniewski. ■ Brazylijski *Lud* podaje, że episkopat brazylijski uchwalił wręczenie Papieżowi odpowiedniej sumy na wydanie w Rzymie Biblii w języku polskim, w nakładzie 100.000 egzemplarzy. Uchwała została spowodowana brakiem papieru w PRL oraz pozwolenia władz. Koszt jednego egzemplarza ustalono na 100 kruczeirów. Podobno na ten dar wpłynęła sugestia samego Papieża.

15-6-80

W Londynie odbyło się walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Prezesem został ponownie wybrany Józef Garliński. Jury Związku przyznało dwie nagrody: Kazimierzowi Sowińskiemu za całokształt twórczości i nagrodę im. Herminii Naglerowej Tadeuszowi Piszczkowskiemu za książkę pt. „Między Lizboną a Londynem”. Ponadto została wyróżniona książka Peter Rainy „Stefan Wyszyński — Prymas Polski”.

27-6-80

Papież powołał na prefekta Kongregacji do Spraw Kościołów wschodnich kardynała Wł. Rubina. W związku z tą nominacją prymas powierzył opiekę duszpasterską nad emigracją biskupowi Szczepanowi Wesołemu, sufraganusz archidiecezji gnieźnieńskiej, rezydującemu stale w Rzymie, powierzając go na stanowisko swojego delegata.

1-7-80

Andrzej Sacharow został wybrany do francuskiej Académie des Sciences Morales et Politiques na miejsce zmarłego ambasadora amerykańskiego Davida Bruce. ■ *Syndrom Piłsudskiego* — pod tym tytułem ukazała się w *Jerusalem Post* — w rubryce Marka Segala *Public Faces* — następująca notka: „Premier Menachem Begin zdaje się być dotknięty syndromem Piłsudskiego od chwili gdy objął resort Obrony Narodowej (Marszałek Piłsudski był wojskowym bohaterem Polski, gdzie nasz premier spędził swoje lata młodzieńcze; Marszałek był słynny ze swoich ozdobnych i wyorderowanych mundurów). Jeden przykład. Kiedy Begin przewodniczył po raz pierwszy na posiedzeniu Kwatery Głównej Armii, pierwszym w jego agendzie punktem była konieczność przebudowy najwyższych stopni wojskowych. Nalegał szczególnie na zastąpienie w Sztabie Generalnym rangi generała rangą marszałka zauważając, że w innych armiach dowódcy są marszałkami i feldmarszałkami, zwłaszcza w Armii Polskiej w której służył podczas drugiej wojny światowej. Ledwie Begin skończył perorować, na salę wypełnioną generalicją zstąpiło zakłopotane milczenie”. I pomyśleć, że w Izraelu mieszka wielu ludzi dobrze znających przedwojenną Polskę!

3-7-80

W Paryżu zmarł w wieku 88 lat Jurij Tierapiano, jeden z najwybitniejszych krytyków literackich emigracji rosyjskiej.

4-7-80

W Centre du Dialogue w Paryżu Kardynał Franciszek Macharski wygłosił odczyt na temat: *Udział świeckich w duszpasterskim synodzie archidiecezji krakowskiej 1972-1979.*

9-7-80

Znany pisarz rosyjski, Andrzej Siniawskij — Abram Terc został wybrany członkiem Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych za książkę pt. „W cieniu Gogola”.

15-7-80

Prasa francuska podaje, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odmówiło udzielenia prawa azylu czterem uchodźcom afgańskim, których odesłano do Bangkoku.

20-7-80

P. Zbigniew Racięski został wybrany prezesem zarządu Anglo-Polish Conservative Society. ■ Instytut Badań Opinii Publicznej w Allensbach obliczył, że 2% obywateli RFN włada językiem polskim. ■ Peter Menten został skazany przez Sąd Apelacyjny w Rotterdamie na karę 10 lat więzienia i 50 tysięcy dolarów grzywny za udział w mordowaniu mieszkańców Podhorceń koło Lwowa w lipcu 1941 roku. Peter Menten ma lat 81.

24-7-80

Znany pisarz sowiecki Wasyl Aksjonow, który w ub. roku opublikował almanach „Metropol”, opuścił Związek Sowiecki wraz z rodziną. Matka Aksjonowa, Eugenia Ginzburg, spędziła 10 lat w łagrach w okresie stalinowskim. Aksjonow zamierza osiedlić się w Stanach Zjednoczonych.

25-7-80

Francuski PEN-Club uchwalił organizowanie każdego roku „Dnia pisarza w więzieniu”. Zebrani brali tu pod uwagę dwóch uwięzionych pisarzy ukraińskich: Wasyla Stusa i Olesia Bordnika. ■ André Bergeron, sekretarz generalny *Force Ouvrière* we Francji, w wywiadzie udzielonym redakcji *France-Soir* wyraził pełną solidarność ze strajkującymi polskimi robotnikami, żywiąc nadzieję, że uda im się wywalczyć zarówno podniesienie stopy życiowej, jak zdemokratyzowanie ustroju politycznego.

30-7-80

Angielski Department of Environment przyznał 70 tys. funtów na wykończenie teatru w POSK-u. Decyzja ta jest umotywowana tym, że sala teatralna będzie służyła nie tylko Polakom, ale również mieszkańcom tej dzielnicy Londynu.

31-7-80

Z okazji 40-lecia ukazywania się *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* w Londynie wydał numer specjalny.

2-8-80

Nakładem wydawnictwa *l'Age d'Homme* w Lozannie ukazała się monografia wybitnego polskiego orientalisty Szymona Szyszmana, stale zamieszkałego w Paryżu, pt. „Le Karaïsme”. W książce tej autor analizuje doktrynę religijną karaimów, starotestamentowego wyznania, wywodzącego się od Esenezyków. Znajdujemy tam również wiele wzmianek dotyczących historii karaimów na ziemiach polskich i litewskich, od średniowiecza aż do czasów współczesnych. Książka Szymona Szyszmana, wydana w języku francuskim, jest pierwszą w literaturze światowej monografią zarówno teologii, jak i historii karaimów.

11-8-80

Zmarł w Londynie w wieku 80 lat Bohdan Jeżewski, autor kilku książek o polskim Londynie, roczników Polonii itd. Był niestrudżonym zbieraczem poloników na Wyspach Brytyjskich.

17-8-80

Rewelacja historyczna. Paryski *Journal du Dimanche* w korespondencji z Warszawy pisze, że w Warszawie 5.000 Polaków wzięło 15 sierpnia udział w imponującej manifestacji patriotycznej z okazji 60-tej rocznicy zwycięstwa odniesionego przez polsko-francuski korpus interwencyjny dowodzony przez generała Weyganda nad armią czerwoną”.

19-8-80

Mówi się w Bonn, że kanclerz Schmidt zaproponował Gierkowi zniesienie wiz między PRL i RFN. Ponadto ewentualne kredyty czy pożyczki mają być udzielane ratami co ma umożliwić kontrolę ich wykorzystywania.

20-8-80

Prof. Rolf Fieguth, któremu uniwersytet w Harvardzie zaproponował objęcie katedry literatury polskiej, odpowiedział odmownie na znak solidarności ze Stanisławem Barańczakiem. Prof. Fieguth nie był, jak się okazuje, poinformowany o sprawie Barańczaka. Piękna nauczka zarówno dla Harvardu jak i dla działaczy polonijnych. Prof. Fieguth został zaangażowany przez Wolny Uniwersytet w Berlinie. ■ Fundusz im. Kazimierza F. Vincenza przedłuża termin nadsyłania wspomnień na konkurs „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939” do dnia 11 listopada 1980. ■ Ofiarodawcy i subskrybenci, którzy dokonali wpłat na *Bibliografię historii Żydów w Polsce, 1772-1939* bezpośrednio na konto bankowe Acc. No. 515-078443, Security Pacific National Bank w Kalifornii, proszeni są o przesłanie do prof. dr. Jerzego Lerskiego lub dr. Tadeusza Wojnickiego kopii przekazu pieniężnego, ponieważ bank nie jest w stanie tego zrobić. Wszystkie dalsze wpłaty prosimy kierować na nazwisko któregośkolwiek z autorów, na adres: 239 Noriega St., San Francisco, California, 94122. USA.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Danuta Mostwin otrzymała promocję na profesora zwyczajnego w Szkole Social Work (prac społecznych) Uniwersytetu Katolickiego w Waszyngtonie. Jej specjalnością jest zdrowie psychiczne rodziny. Wykłada ona teorię i praktykę terapii rodzinnej na Uniwersytecie Katolickim, oraz (jako profesor psychologii) na wydziale psychologii Loyola College w Baltimore. Wydała w tym roku książkę, *Social Dimension in Family Treatment* (Społeczny wymiar terapii rodzinnej) opisując w niej model terapii rodzinnej, którą rozwinęła i stosuje od przeszło 10 lat. ■ W czerwcu 1980 roku *YAD VASHEM Martyrs' and Heroes' Remembrance Authority* w Jerozolimie nadał Stefanowi Korbońskiemu, obecnemu przewodniczącemu Polskiej Rady Jedności w Stanach Zjednoczonych, medal za ratowanie ludności żydowskiej w czasie drugiej wojny światowej w okupowanej przez hitlerowców Polsce. ■ Biblioteka Hoover Institution zakupiła od Mariana Mikołajczyka archiwum i bibliotekę jego Ojca, Stanisława Mikołajczyka. Archiwum to zawiera akta: Kraj 1939-1945, Emigracja i Stronnictwo Ludowe — w tym samym okresie, Kraj i PSL w latach 1945-47, PSL i Unia Chłopska w latach 1947-66 oraz Archiwum Rządu Stanisława Mikołajczyka 1943/44 (są to oryginalne dokumenty rządowe i dyplomatyczne, gdyż w Londynie St. Mikołajczyk pozostawił tylko ich kopie). ■ Ukraińska Akademia Naukowa im. Mohyla-Mazepy w Filadelfii nadała doktorat *honoris causa* z nauk politycznych rektorowi Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie prof. Jerzemu Gawendzie. ■ 26. 2. br. zmarł w wieku 84 lat w Belray Beach Roman Dębicki, wieloletni pracownik MSZ, do 1942 r. poseł RP w Jugosławii, później minister pełnomocny na Kubie do 1948 r., po czym w USA profesor International Relations w University of Georgetown. ■ 10 i 11. 7. br. odbyła się w Waszyngtonie konferencja okrągłego stołu, w której wzięli udział przedstawiciele kół politycznych USA i PRL. Konferencja ta została zorganizowana przez Center for International and Strategic Studies przy Georgetown University. Ze strony amerykańskiej w konferencji wzięli udział m.in. Zbigniew Brzezinski oraz Andrzej Korboński

z University of California, z PRL przyjechali: dyrektor Instytutu Spraw Międzynarodowych — J. Simonides, redaktor *Polityki* — Mieczysław M. Rakowski, członek Wydziału Spraw Międzynarodowych KC PZPR — Krzysztof Ostrowski, redaktor K. Małcużyński, ekonomista J. Pajestka, prof. Jan Szczepański, rektor U.W. Zygmunt Rybicki oraz reprezentant neo-Znaku, Janusz Zabłocki, a wreszcie przedstawiciel koncesjonowanego Stronnictwa Ludowego, Witold Lipski. Zaproszenie rektora Rybickiego, człowieka powszechnie znienawidzonego przez środowiska uniwersyteckie, i Janusza Zabłockiego wywołało powszechne zdziwienie. ■ 18. 7. br., w lokalu redakcji *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku, odbyło się przyjęcie z okazji otwarcia Księgarni Polskiej. Na lokal tej księgarni redakcja przeznaczyła dwa pokoje. Mieścić się w nich będą wszelkiego typu wydawnictwa polskie ukazujące się za granicą. Poza tym redakcja *Nowego Dziennika* utrzymywać będzie antykwariat wzbogacony głównie darami osób prywatnych. Księgarnia ta, założona z inicjatywy *Nowego Dziennika*, w najbliższej przyszłości ma również rozwinąć działalność wydawniczą. ■ Zmarł w Stevens Point, Wis. w wieku 86 lat Adam Bartosz, senior dziennikarzy polonijnych; przez 20 lat był on redaktorem *Gwiżdzy Polarnej*. W 1975 roku Bartosz przeszedł na emeryturę. ■ 2 lipca br. zakończyła w Nowym Jorku swe obrady Konwencja Amerykańskich Bibliotekarzy (A.L.A.). Wzięto w niej udział ok. 12.000 bibliotekarzy z całych Stanów Zjednoczonych A.P. z bibliotek uniwersyteckich i publicznych. Podczas tej Konwencji odbyło się zebranie wyborcze Sekcji Sławistycznej i Krajów Europy Wschodniej, do której należy ok. 600 bibliotekarzy. Po raz pierwszy w historii ALA prezesem tej Sekcji wybrany został Polak, dr Wojciech Zalewski, długoletni kurator księgozbiorów rosyjskich i krajów Europy wschodniej w Uniwersytecie Stanford w Kalifornii. Dr W. Zalewski przedstawił program najbliższych prac Sekcji Słowiańskiej i Krajów Europy Wschodniej następująco: — przeprowadzenie wspólnie z Biblioteką Kongresową romanizacji tytułów i nazwisk autorów tj. ujednolicenie pisowni słowiańskich nazwisk i tytułów; rozbudowa współpracy pomiędzy bibliotekami uniwersyteckimi i publicznymi w zakresie publikacji dotyczących wschodniej Europy; przygotowywanie materiałów do zaprojektowanej Encyklopedii Grup Słowiańskich w USA. ■ W czerwcu odbyła się w Orchard Lake w stanie Michigan konferencja zwołana przez Kongres Polonii Amerykańskiej, jako narada przygotowawcza do zapowiedzianego spotkania w Departamencie Stanu, na którym przeprowadzona ma być konsultacja w sprawie wymiany kulturalnej z Polską. Termin spotkania z przedstawicielami Polonii będzie ustalony we wrześniu.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Australia przyjmuje obecnie większe ilości emigrantów z Europy wschodniej (głównie z obozów w Austrii). W ub. roku przybyło do Australii około 1.000 Polaków, a w br. przewiduje się przybycie około 2.000. W związku z tym Federalny Rząd australijski powołał do życia stałych opiekunów społecznych polskiej grupy etnicznej. Polska emigracja w Australii ze swej strony organizuje pomoc i opiekę dla nowoprzybyłych. ■ Federalne Ministerstwo Imigracji ogłosiło amnestię dla nielegalnych imigrantów tj. tych którzy nie mają prawa pobytu. Amnestia dotyczy jedynie osób, które znalazły się w Australii przed 1 stycznia 1980 roku. ■ W maju bież. roku zmarł w Nowej Zelandii w wieku 70 lat Antoni Głowacki, polski lotnik myśliwski. Był pilotem Polskich Sił Lotniczych od 1932 roku, w czasie wojny był dowódcą poznańskiego Dywizjonu Myśliwskiego 302

i zestrzelił 16 niemieckich samolotów. Od 1970 do 1975 roku pracował jako instruktor lotniczy w okręgu Wellington i uchodził za najstarszego pilota helikopterów w Nowej Zelandii. ■ 24. 7. br. zmarł w Melbourne w wieku 69 lat O. Józef Janus T.J., b. więzień łagrów sowieckich, senior polskiego duszpasterstwa w Wiktorii, działacz społeczny oraz publicysta.

KRONIKA KANADYJSKA

W Barry's Bay, centralnym ośrodku kaszubskim w Kanadzie, jedną z ulic przemianowano na Karol Wojtyła Street, dla uczczenia papieża Jana Pawła II. Stało się to z inicjatywy miejscowych Kaszubów, w czwartym i piątym pokoleniu potomków polskich imigrantów. W pobliżu kościoła św. Jadwigi w Barry's Bay, na wzgórzu, wzniesiono rodzaj pomnika: ścianę z 1014 cegieł odpowiadających ilości lat Polski chrześcijańskiej; w białoczerwony mur wkomponowano godło państwa polskiego oraz herb Pomorza; wzdłuż biegnie napis — Karol Wojtyła — a między imieniem i nazwiskiem herb Papieża. W środkowej części pomnika umieszczono tablicę z napisem w języku polskim i angielskim, głoszącym iż parafianie św. Jadwigi dla uczczenia pierwszego papieża Polaka nazwali jedną z ulic jego imieniem. Uroczystości poświęcenia pomnika dokonał biskup diecezji Pembroke z udziałem duchowieństwa, organizacji kaszubskich i licznej publiczności. ■ Skład zarządu Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie na następną trzyletnią kadencję pozostał niemal bez zmian. Prezesem wybrano ponownie prof. Bohdana Ławruka, wiceprezesem prof. Irenę Bellert, sekretarzem generalnym i kierownikiem biblioteki dr A. Poray-Wybranowską, a skarbnikiem prof. A. Michałowskiego. Członkami zarządu zostali ponadto: dr Cynberg, dr Namowicz-Zdanowicz, T. Romer de Bellefeuille, prof. A. Wolski i p. Wanda Stachiewicz, kustosz Biblioteki Polskiej. ■ Walny zjazd Federacji Polek w Kanadzie ogłosił m.in. następujące postanowienia: — potępia akty agresji Związku Sowieckiego oraz jego gwałcenie praw jednostki; — solidaryzuje się z ruchem oporu w Polsce przeciw systemowi komunistycznemu; — zgłasza gotowość obrony praw każdego człowieka w myśl zasad chrześcijańskich i uchwał, zapadłych w Helsinkach; — popiera czynny udział w programach wielokulturowości; — zaleca czerpanie z zasobów kultury duchowej, naukowej i artystycznej z Polski wyłącznie poprzez kontakty osobiste; — poleca współpracę z innymi organizacjami kobiecymi, szczególnie z ugrupowaniami ujarzmionych narodów środkowo-wschodniej Europy. ■ Według oficjalnych danych wydział konsularny ambasady kanadyjskiej w Warszawie otrzymał w 1979 roku 583 aplikacje na wize pobytowe, przeprowadził 386 rozmów z petentami i udzielił 487 wiz. Tylko jednej osobie odmówiono wydania wize. Po wizie turystyczne wpłynęło 11.724 aplikacji, a udzielono 8.554 wiz. Odmówiono 701 osobom. Tylko 24 osoby, przybyłe do Kanady z wizytą, otrzymały nakaz opuszczenia kraju po wygaśnięciu wize, z tego 6 osób deportowano.

NOTY

POLSKIE WYDANIE L'OSSERVATORE ROMANO NADAL NIEDOPUSZCZANE DO KRAJU

Pod koniec lipca ukazał się kolejny, piąty numer polskiego wydania *Osservatore Romano*. Podobnie jak poprzednie dwa numery nie otrzymał on debitu na rozpowszechnianie w kraju. Numer jest do nabycia jedynie w Rzymie, mogą go też otrzymać prenumeratorzy zamieszkali poza krajem. Pomimo podjętych już dość dawno starań Stolicy Apostolskiej, obecny numer nie ma prawa wstępu do kraju, chociaż w przeciwnieństwie do dwóch

pierwszych numerów jest całkowicie „wyprany” z wszystkiego co nie dotyczy bezpośrednio magisterium papieskiego lub co mogłoby ewentualnie wywołać irytację władców PRL. Brak w nim choćby jednego komentarza redakcyjnego czy artykułu publicystycznego, brak kroniki z życia Kościoła w Polsce. Podobno rząd warszawski powołał specjalną komisję dla rozstrzygnięcia sprawy debitu i zbadania treści dotychczas wydanych numerów. „Będą ją badać pod setką mikroskopów” — wyraził się pewien znakomity znawca realiów reżymowych. Uporczywa odmowa (faktyczna, ponieważ formalnie władze PRL nie wypowiedziały się do tej pory) zezwolenia na dopuszczenie i dystrybucję polskiego wydania wyjaśniana jest, na drodze szezonych celowo pogłosek, rzekomymi naciskami Moskwy. Zdaniem miarodajnych źródeł watykańskich władze sowieckie nie mają z tą sprawą nic wspólnego. Pełna odpowiedzialność obciąża zatem wyłącznie kierownictwo PZPR. Pragnąc spowodować bardziej przychylny stosunek Warszawy do postulatów Watykanu, dziennik *L'Osservatore Romano* zamieścił na pierwszej stronie w wydaniu z dnia 24 lipca notę informacyjną o obchodach święta narodowego PRL (czego nie spostrzegła tutejsza prasa), pominął natomiast istotne informacje o strajkach robotniczych i niepokojach społecznych, o czym od kilku tygodni nie przestaje informować prasa włoska i międzynarodowa. Ugodowa taktyka watykańskiego Sekretariatu Stanu nie dała dotąd żadnych rezultatów.

WIZYTA DELEGACJI NIEMIECKIEJ KONFERENCJI BISKUPÓW W POLSCE

30 czerwca ogłoszono równocześnie w Bonn i Warszawie komunikat o pielgrzymce do Polski delegacji Niemieckiej Konferencji Biskupów. Będzie to rewizyta za pielgrzymkę jaką przed dwoma laty delegacja Episkopatu Polski odbyła w Republice Federalnej Niemiec. Wizyta niemieckich biskupów potrwa od 11 do 15 września br. Odwiedzą oni sanktuarium na Jasnej Górze, gdzie odbędą wspólną konferencję z biskupami polskimi. Następnie udadzą się do grobu św. Jadwigi w Trzebnicy i do Oświęcimia. Wspólne nabożeństwa będą miały miejsce we Wrocławiu, Krakowie i Warszawie. Obecność niemieckiej delegacji biskupów w Oświęcimiu oraz w śląskiej Trzebnicy i we Wrocławiu ma na celu zademonstrowanie uznania polskości Ziemi Zachodnich, trwałości polskiej organizacji kościelnej na tych obszarach i zarazem odciepienie się od antypolskich wystąpień niektórych przywódców chadeckich i działaczy tzw. ziomkostw, a zwłaszcza od ministra Meiera (w rządzie regionalnym Bawarii), przewodniczącego Centralnego Komitetu Katolików. W tych warunkach wizyta biskupów niemieckich nie pomoże akcjom wyborczym CDU, jest raczej na rękę rządzącej koalicji socjaldemokratyczno-liberalnej. W skład delegacji Niemieckiej Konferencji Biskupów wchodzi: abp Kolonii kard. Hoeffner, abp Monachium kard. Ratzinger, bp Moguncji kard. Volk, abp Freiburga Saier, bp Essen Hengsbach, bp Fuldy Schick, bp Rottenburga-Stuttgartu Moser i ks. prałat Homeyer, sekretarz episkopatu.

Humor krajowy

W związku z kryzysem energetycznym w Polsce radio Warszawa podaje często komunikaty o stopniu zasilenia: 10, 15, 20... Pytanie: — co będzie gdy radio ogłosi stopień zasilenia 30? — Zgasną wszystkie żarówki i trzeba będzie zapalić świece. — A co będzie przy stopniu zasilenia 40? — Zgasną świece i będą płonąć komitety...

Papież Jan Paweł II w czasie swojej wizyty w Polsce rozmawiając z Edwardem Gierkiem zapytał go czy jest zadowolony, że Papieżem został Polak.

- Naród jest bardzo zadowolony...
- A pan? Czy pana cieszy, że ja, Karol Wojtyła zostałem papieżem?
- Szczerze mówiąc wolałbym kogo innego na tym stanowisku.
- Kogo?
- Babiucha — odpowiedział Gierek.

— Właściwie powinno nam być dobrze — mówi jeden Polak do drugiego. W Waszyngtonie mamy naszych ludzi — Brzezińskiego i Muskiego a naszym człowiekiem w Watykanie jest Karol Wojtyła!

— No tak, właściwie mam rację, ale powiedz mi kto jest naszym człowiekiem w Warszawie?

- Co by to było gdyby walec drogowy przejechał Breżniewa?
- Plakat propagandowy!
- A Papieża?
- Święty obrazek!
- A Gierka?
- Lepiej...

Amerikanin rozmawiając z Rosjaninem opowiada mu wypadek jaki zdarzył się w New Yorku: człowiek wyleciał z okna na 60 piętrze i spadając zaczepił się szelkami o balkon na 30 piętrze. Szelki wytrzymały i facet ocalał.

- U nas miał miejsce podobny wypadek — powiedział Rosjanin — turysta spadł w górach do 800-metrowej przepaści.
- I co? — zapytał Amerykanin.
- Miazga. Ale gumki całe!

Trzy drogi do komunizmu: Droga Lenina, droga wędlna, droga benzyna...

- Z kim graniczy Związek Sowiecki?
- Z kim chce...
- A z kim chciałby graniczyć?
- Ze wszystkimi, ale Rosjanie zawsze zaczynają od A...

Podobno Sowiety chciały zamienić Sacharowa na szacha, szacha na amerykańskich zakładników, a zakładników na amerykańskie zboże, niestety jednak szach za wcześniej zmarł...

Marks stworzył teorię dwóch wojen: sprawiedliwej i niesprawiedliwej. Breżniew uzupełnił ją trzecią: wojną na zaproszenie...

Opowiadano, że zaraz po zajęciu Afganistanu przez wojska sowieckie w jednym z oficjalnych pism warszawskich ukazało się następujące ogłoszenie: „Skóry afgańskie tania do kupienia. Zgłoszenia telefoniczne...” i tu podano telefon ambasady sowieckiej w Warszawie. Mówią, że jeden z redaktorów wspomnianego pisma wyleciał za to z pracy. *Si non e vero e ben trovato!*

- Spotkało się na wodce trzech kolegów — kapitanów statków handlowych:
- Dokąd teraz pływasz? — pyta pierwszy drugiego.
 - Do Maroka.
 - A co tam wozisz?
 - Maszyny.
 - A z czym wracasz?
 - Z bawełną. — A ty dokąd pływasz?
 - Ja do Argentyny — odpowiada pierwszy.
 - Co tam wozisz?
 - Tekstylią.
 - A co przywozisz?
 - Mięso.
 - A ty dokąd pływasz? — pytają dwaj pierwsi trzeciego.
 - Ja do Leningradu.
 - A co tam wozisz?
 - Węgiel.
 - A co przywozisz?
 - Wracam koleją...

- Czy na następnej Olimpiadzie w Moskwie będą Chińczycy?
- Wyłącznie.

Odpowiedzi radia Erywań

- Czy to prawda, że w Związku Sowieckim pszenica rośnie jak słupy telegraficzne?
- Czasami rzadziej...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Paryż, 9 lipca 1980.

Drogi Panie Redaktorze,

Skoro niedostępne mi są łamy prasy krajowej, niech mi Pan zezwoli powiedzieć Kisielowi w *Kulturze*, co myślę o jego „krótkim spostrzeżeniu” ogłoszonym w *Tygodniku Powszechnym* z 22 czerwca:

„Antysemityzm nie wynika z rasizmu, lecz z niechęci do jednego narodu”.

Ironia? Chyba nie: przecież polski antysemityzm rzadko wynika z „rasizmu”: o wiele częściej z kombinacji głupoty, ignorancji, brutalności i chamstwa.

A jeśli nie ironia, zrównanie antysemityzmu z niechęcią do — powiedzmy — Amerykanów, Japończyków czy Francuzów, to nie tylko kpiny w żywe oczy, a wprost zły uczynek. Proszę Kisiele, by odczytał ten aforyzm w świetle dwu innych, które zamieścił w tym samym zestawie:

- 1) Straszliwości wojny minęły niezauważone przez tych, co ich nie doznali. Czymże więc były: próbą dla tych, którzy zginęli?
- 2) Człowiek zawsze sprawiedliwi się przed sobą samym.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni,

K. A. JELEŃSKI

Waszyngton, sierpień 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Zdzisław Bau w sprawozdaniu ze zjazdu Polskiego Instytutu Naukowego w Waszyngtonie (*Kultura* nr 7/8, 1980) przypisuje mi inicjatywę i koncepcję „wręczenia płaszcza koronacyjnego Zygmunta Augusta poprzez prof. Z. Brzezińskiego małżonce Prezydenta p. Rosalynn Carter, która z kolei przekazałaby go na Wawel”. W wersji p. Baua projekt został odrzucony przez Instytut, ponieważ rytuał, rzekomo przeze mnie wykonany, wymagałby obecności ambasadora PRL.

Aby z tego plotkarskiego bigosu wydobyć żdźbło prawdy, należy zacząć od tego, że inicjatywa w tej sprawie wyszła od prof. Feliksa Grossa, wiceprezesa i dyrektora Instytutu. Zwrócił się on do mnie telefonicznie z prośbą o poufne wysondowanie opinii profesora Z. Brzezińskiego, czy Instytut mógłby w uroczystej formie doręczyć płaszcz Prezydentowi w Białym Domu w celu przekazania go na Wawel. Podróż królewskiego płaszcza, zrabowanego przez Rosjan, który po czterech wiekach wędrówki z Krakowa do Warszawy, z Warszawy do Petersburga i z Petersburga do Nowego Jorku

powraca do Krakowa jako dar Prezydenta Stanów Zjednoczonych przemówiła do wyobraźni profesora Brzezińskiego. Doradca Prezydenta zaproponował by Instytut skierował doń oficjalny list. Nie było mowy o obecności ambasadora PRL. Płaszcz koronacyjny według przekazanej przeze mnie propozycji miał być przesłany ambasadorowi USA w Warszawie, który złożyłby go uroczysto w ręce kustosa na Wawelu.

Projekt nie doczekał się dalszego ciągu. A szkoda. Uroczystość w Białym Domu miałyby większe szanse zdobycia rozgłosu w skali ogólnokrajowej. Skończyło się na kilku wzmiankach prasowych i migawce telewizyjnej. Świetna *stora* królewskiego płaszcza przeszła prawie niezauważona.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Jan NOWAK

Sztokholm, 23 lipca 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Powodem zabrania przeze mnie głosu jest konieczność sprostowania niezgodnych z prawdą informacji, które znalazły się w ostatnich numerach *Kultury*.

Po pierwsze: *Wiadomości Polskie* wychodzące w Sztokholmie — nie są organem K.P.N., co usiłuje sugerować A. Koraszewski w swoim liście do redakcji (*Kultura* Nr 7-8).

Po drugie: ani ja — jako pełnomocnik K.P.N. — nie mam żadnego wpływu na treść i formę tekstów publikowanych w *Wiadomościach Polskich*, ani tym bardziej wpływu takiego nie posiadają przywódcy Konfederacji w kraju. Bez względu na intencje autorów treść ich wypowiedzi jest wyrazem ich osobistego stanowiska.

Po trzecie: jedynie treść oryginalnych dokumentów K.P.N. (zamieszczane również i przez *Wiadomości Polskie*) stanowić może podstawę do rzeczowej analizy celów i form działalności Konfederacji Polski Niepodległej.

Z przykrością powracam natomiast do sprawy rzekomej „nagonki” na A. Koraszewskiego. W sprawie tej już po raz drugi (listy do redakcji w *Kulturze* nr. 6, 7-8) zabierają głos „obroncy”. Piszę „rzekomej”, ponieważ cały ten przykry incydent był nieuniknionym skutkiem autentycznej — tym razem — nagonki, prowadzonej od ponad 2-ch lat przeciw mnie samemu. Uwieńczeniem tej kampanii było rozesłanie ordynarnego paszkwila. Treść jego (zamieszczona w całości w kwietniowym numerze *Wiadomości Polskich*) oraz jego poziom spowodowały, że i odpowiedź nosiła podobne cechy.

Ubolewam nad tym, że w ogóle sprawy musiały przybrać tak pożałowania godny obrót i wolałbym o tym jak najrybociej zapomnieć. Trudno jednak przejść do porządku nad tym wszystkim, gdy widać wyraźną tendencję do stawiania sprawy na głowie. Z treści listów wynika, że ich autorzy pragną za wszelką cenę uczynić z ofiary... napastnika. Tak jakby postanowiono udowodnić, że należało w mileniu znosić zniewagi i godzić się na zniesławienie.

Nie zamierzam już więcej powracać do tej sprawy.

Z poważaniem,

T. STRZYŻEWSKI

Kopie: 1 × RWE; 1 × a'a.

Londyn w lipcu 1980.

Drogi Panie Redaktorze,

Ponieważ zwykła poczta z Europy dochodzi do Kalifornii co najmniej po paru miesiącach, z majowym numerem *Kultury* mogłem się zapoznać dopiero po przylocie — w *dziewięć* godzin — z San Francisco do Londynu.

Raz jeszcze muszę wyrazić swe uznanie dla Zbigniewa Byrskiego. Jego rozważania o „asymetrii” — „złowrogiej dla przyszłości Ameryki i świata” — są niestety słuszne i podzielam jego wątpliwości czy młodzież amerykańska, zawsze gotowa „lekkomyślnie zaryzykować życie... dla sławy, pieniędzy, a nawet z głupiej awanturności... uczyni to w obronie swego kraju i po to, by odeprzeć i ukarać najeźdźcę”. W przeddzień wyjazdu z Kalifornii byłem świadkiem manifestacji przed jednym z urzędów pocztowych, gdzie miała być przeprowadzana (nieuchwalona jeszcze ostatecznie przez Kongres) rejestracja ewentualnych przyszłych poborowych. Wśród licznych protestujących haseł zwrócił moją uwagę transparent z napisem: „Wojna to dobry business, inwestujcie weń wasze dzieci!”.

Oby Byrski miał rację, sądząc, że spowodowany przez amerykańską „elitę umysłową” rozkład moralny Ameryki nie ogarnął jeszcze „milczącej większości”, gdzie wciąż się „tlą iskry” mogące rozniecić płomień „patriotycznego buntu”, który zapoczątkuje ratunek „naszego gasnącego świata”. I oby „nie przyszło to za późno”.

Wiktor SUKIENNICKI

Evanston, Ill., 29 lipca 1980.

Do Redakcji *Kultury*.

Na marginesie reportażu Zdzisława Baua „Fundacja Kościuszkowska — Polonia nowojorska: ludzie i wydarzenia” w nrze 6/393 *Kultury* pragnę dorzucić kilka uwag o sprawach niewspomnianych, a może i nieznanach autorowi.

Podwaliny pod Fundację Kościuszkowską zakładał Stefan Mierzwa mniej więcej od 1924 roku, przy wydatnej pomocy konsulatu generalnego R.P. w Nowym Jorku i naturalnie rządu R.P.

Pierwszy raz spotkałem się ze Stefanem Mierzwą w konsulacie generalnym R.P. w New Yorku jadąc z Meksyku do Polski w roku 1931, a potem spotykałem się stale z nim w latach 1936-37, gdy byłem przydzielony jako konsul do tej placówki, prowadzonej przez konsula gen. Sylwestra Gruszkę. Fundacja Kościuszkowska była w tym czasie bezpłatnym lokatorem konsulatu gen. R.P. przy 149-51 East 67-th Street.

Sprawami Fundacji Kościuszkowskiej zajmowali się i pomagali prof. Stefanowi Mierzwie kierownicy placówki konsularnej R.P. w Nowym Jorku Stefan L. Grotowski 1920 do 1. 5. 1925 — Sylwester Gruszka do 1. 3. 1928 — Eugeniusz Jordan Rozwadowski do 1. 10. 1929 — Dr Mieczysław Marchlewski do 1. 2. 1935 oraz po raz drugi Sylwester Gruszka od 1. 7. 1935 do 1940 roku.

Prezes Fundacji Kościuszkowskiej współpracował z *Swiatopolem* (Światowym Związkiem Polaków z Zagranicy), ale był niezależny od niego, a nowojorski konsul gen. R.P. był pośrednikiem pomiędzy *Swiatopolem* a Fundacją Kościuszkowską i *vice versa*.

Stefan Mierzwa pilnował skrzętnie tej niezależności, a wzajemne stosunki z konsulem gen. układały się bez żadnych trudności. Często zdarzało się,

że tam gdzie nie mógł sięgnąć Stefan Mierzwa, sięgali konsulowie gen. E. Rozwadowski, dr Marchlewski oraz S. Gruszka.

W tym czasie prof. Stefan Mierzwa zaczął organizować w New Yorku „Bale Kościuszkowskie”, które przyciągały nie tylko śmietankę polonijną z New Yorku, New Jersey i innych dalszych stanów, ale i wybitnych przedstawicieli amerykańskiego świata. Zawsze w tych balach uczestniczyli ambasadorowie R.P. z Waszyngtonu ze swoim sztabem.

Pozwoliłem sobie podać tych parę szczegółów, aby zanotować że ówczesna Fundacja Kościuszkowska pod kierownictwem Stefana Mierzwy była częścią polskiego i polonijnego życia — była związana z kulturalną i społeczną Polską oraz prowadziła wymianę kulturalną, oświatową i naukową pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Polską bez żadnych fanfar i politycznych powiązań.

Gdyby był żył jeszcze dłużej Stefan Mierzwa, nie doszłoby było do różnych nieprzyjemnych wystąpień jego następcy, których ślady wstydliwie przechowuję w moich archiwach.

Dr Juliusz SZYGOWSKI

New Haven, Conn., 11 sierpnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule o Fundacji Kościuszkowskiej (*Kultura* nr 6/393, czerwiec 1980) p. Zbigniew Bau wymienia nazwisko Samuela M. Vauclain'a, którego donacja, jak pisze, stanowiła przeszło połowę kapitału zakładowego Fundacji. P. Bau dodaje, że Vauclain „czuł się w obowiązku pomagać Polonii, ponieważ fabryka, na której czele stał — Baldwin Works — sprzedała kilka czy kilkanaście lokomotyw Polsce” (str. 82). Ponieważ nie sądzę, aby czytelników *Kultury* zadowoliło to dość nonszalanckie wyjaśnienie motywacji Vauclain'a, należy powiedzieć trochę więcej o stosunku tego amerykańskiego przemysłowca do Polski.

Istotnie Vauclain był prezydentem Baldwin Locomotive Works, które w 1919 roku dostarczyły Polsce na kredyt sto sześćdziesiąt lokomotyw i ponad cztery tysiące wagonów. Transakcja ta miała wyraźnie polityczny podtekst, gdyż miała miejsce w czasie wojny polsko-bolszewickiej. W swej autobiografii Vauclain będzie pisał z dumą o tym, jak dostarczony przezeń tabor kolejowy przyczynił się do zatrzymania zagrażającego Europie zalewu bolszewickiego.

Vauclain kontynuował swe zainteresowania Polską która, jego zdaniem, zajmowała kluczową pozycję w handlu wschodnioeuropejskim i stanowiła punkt wyjścia do penetracji rynku rosyjskiego. Tak więc zarówno względy gospodarcze jak i ideologiczne (anty-komunizm) skłaniały go do popierania Polski i do zachęcania w tym kierunku innych amerykańskich *businessmen'ów*. Nikogo nie mogło więc zdziwić, iż Vauclain został pierwszym prezesem Polsko-Amerykańskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, którą zresztą w dużej mierze finansował. Odegrał on również pewną rolę w staraniach Polski o tzw. pożyczkę dillonowską. W tych warunkach jego przemożny udział w powstaniu Fundacji Kościuszkowskiej był naturalną konsekwencją jego poprzedniej działalności, a jego motywacja staje się zrozumiała.

Czytelnikom zainteresowanym postacią Vauclain'a chciałbym zwrócić uwagę na jego autobiografię wydaną w 1930 roku oraz na książkę, którą napisał pt. *Poland, her Problems and her Future*, a która ukazała się w 1920 roku.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę,

Piotr WANDYCZ

6 sierpnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Odnosnie listu opublikowanego w numerze *Kultury* lipiec-sierpień i podpisane „Stały czytelnik włoski”, pragnę sprecyzować sprawę dotyczącą tłumaczenia poetyckiego dramatu „Przed sklepem jubilera”, które opublikowało wydawnictwo Logos.

Niestety, tego tłumaczenia nie zatwierdziła żadna kompetentna instytucja mianowana przez Autora i w konsekwencji zaraz po ukazaniu się, zostało przez to samo wydawnictwo wycofane ze sprzedaży. Jak z tego wynika, pierwszym i zatwierdzonym przez Autora tłumaczeniem pozostaje wydanie, które opublikowała Libreria Editrice Vaticana, pod tytułem: „La Bottega dell'Orefice” (tłumaczenie Aleksandry Kurczab i Jerzego Pomianowskiego, przy współpracy Sirio Angeli). Pierwsze wydanie tego tłumaczenia ukazało się w grudniu 1978, a piąte w marcu 1980 roku.

Dziękując Panu Redaktorowi za okazane zainteresowanie, łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Brenno **BUCCIARELLI**
Direttore

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J.M., Woj. Wrocławskie. — Z Pana wierszy nie skorzystamy.

J.T. Wallas, Johannsburg. — Nie zamieścimy. Na ten temat pisze w bieżącym numerze p. Wł. Ledóchowski.

SPROSTOWANIE

W numerze 5/392 *Kultury*, w „Wydarzeniach miesiąca” błędnie podano imię i datę śmierci Przyłuskiego — powinno być 11.4.80 oraz Bronisław Przyłuski, a nie Stanisław Jan.

RES PUBLICA

kwartalnik wydawany poza cenzurą w Polsce

W numerze 2: *WIDZIANE Z WARSZAWY*; Oswajanie kryzysu; Zastygły obraz przeszłości; Dlaczego endecja?; Cień Piłsudskiego; Krajobraz z inkwizytorem; *STANOWISKA* — Polska, Niemcy i inni; *ZYGZAKIEM PRZEZ PRASĘ*; *TEMATY* — Czytanie Miłosa: *Zdobycie władzy*; Dzieje pewnej książki; Dwie strony barykady; Przed stu laty; Federacja i konfederacja; *NOTY O KSIĄŻKACH*.

CENA pojedynczego egzemplarza — £ 1.75; \$ US 4,00; FF/Skr 17,00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

ANEKS, 61 Dorset Rd., London W5 4HX, England

załączając czeki lub przekazy pieniężne wystawione na ANEKS.

WPLATY NA K.P.N. (Konfederacja Polski Niepodległej)

Bezimiennie z RFN — DM.17,00	F. 39,00
H.M.Arterowie, Sydney za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> , Sydney — \$A 20,00	F. 94,20
Tadeusz Brzostek, Paryż	F. 200,00
<i>Wiadomości Polskie</i> , Sydney — kwotę \$A 100,00 zebraną przez Koło Polek w Canberze po odczycie red. J. Dunin-Karwickego pt. „Prasa i Ruch Wolnościowy w Polsce: \$A 20,00 od W. Kota, Christies Beach, S.A. i \$A 10,00 od K. Gromka, Ardeer, Vic. — razem: \$A 130,00	F. 585,00

WPLATY NA T.K.N.

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — piąta, szósta i siódma raty rocznego stypendium, ufundowanego dla osoby wybranej przez TKN — DM.300,00	F. 690,00
Andrzej Koraszewski, Lund (Szwecja) — K.S.100,00	F. 100,00

◆

Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: <i>Oddział Boston</i> : W. Ostrowski — \$10,00; F. Dziadul, A. Golda, S. Nurkowska, A. Żołądkowski i A. Paliwoda po \$5,00 — razem: \$35,00. W redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: Światowa Federacja Polsko-Węgierska — \$50,00, turysta z Polski i Janek z ziemi Wileńskiej po \$5,00 i W. Ostrowski ze sprzedaży <i>Listów do Polaków</i> — \$28,50 — razem: \$88,50. — <i>Ogółem</i> : \$123,50, z czego:	
na Konfederację Polski Niepodległej — \$45,00	F. 182,25
na ROPCiO (A. Czuma) — \$30,00	F. 121,50
na Studenckie Komitety Solidarności — \$30,00	F. 121,50
na NOW-ą — \$18,50	F. 74,95

◆

Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: <i>Oddział Boston</i> : J. Datowski, E. z Polski, W. Ostrowski po \$10,00; A. Paliwoda, A. Żołądkowski, J. Żołądkowski, A. Golda, P. Dziadul, J. Janowski, K. Gotowicka po \$5,00; T. Dembkowska — \$3,00; D. z Polski i S. Ilnicki po \$2,00; uczeń 9-tej klasy z Polski — \$1,00 — razem: \$73,00. W redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: L. Lambo — \$10,00, K. de Hackbell i U. Wróblowie po \$5,00 — razem: \$20,00; Zwiedzający Wystawę Katyńską w Holmdel — \$12,25. <i>Ogółem</i> : \$105,25, z czego:	
na Konfederację Polski Niepodległej — \$88,00	F. 356,40
na ROPCiO (A. Czuma) — \$17,25	F. 69,85

◆

Wacław Szukiewicz, Ft. Lauderdale, Fla (USA) — \$400,00, z czego:	
na KSS „KOR” — \$100,00	F. 410,00
na Niezależną Oficynę Wydawniczą — \$200,00	F. 820,00
na ROPCiO — \$100,00	F. 410,00

Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji w PRL — dla uczczenia pamięci płk. O. Dunin-Borkowskiego na Radę Sygnatariuszy Praw Człowieka	F. 370,00
Stały Czytelnik ze Szwajcarii, Winterthur — dobrowolne opodatkowanie się sumą F. 300 miesięcznie na rzecz Funduszu Samopomocy Społecznej Biura Interwencyjnego (na apel KOR'u z grudnia 1979) za lipiec i sierpień 1980	F. 600,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Dr. Gustawa L. Plewińskiego przyjaciele z Westchester (USA) na fundusz Niezależnej Oficyny Wydawniczej — \$ 30,00	F. 121,50
Danuta i Stanisław Buchcic, Hamilton, Ont. (Kanada) — na KUL — \$c. 10,00	F. 35,00
Bezimiennie z Pizy (Włochy) — dla redakcji <i>Aspektu</i>	F. 100,00
Dar dla K. Świtonii złożony w polskiej Parafii w Los Angeles, Cal. (USA) — \$ 60,00	F. 243,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po F. 100,00 na KSS „KOR”, ROPCiO (A. Czuma), PPN i TKN	F. 40,00
Dr J. M., Kolonia (RFN), na Niez. Oficynę Wyd. — DM 50,00	F. 115,00

Na liście wpłat na „Fundusz Kultury” w Nr. 7/8 z br. przy wpłacie K. L. z Lidingo (Szwecja) — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce — wynoszącej K.S. 500,00 — omyłkowo napisano, że równa się ona F. 50,00 zamiast F. 500,00 — za co ofiarodawcę przepraszamy.

ODEZWA PREZYDENTA R.P. NA DZIEŃ 1 WRZEŚNIA 1980 R.

Ze szczerym przejęciem i najwyższym uznaniem śledzimy wytrwałą i ofiarną działalność demokratycznej opozycji w kraju. W dążeniu do przywrócenia Polsce niepodległości prowadzi ona codzienną walkę o prawa obywatelskie, o sprawiedliwość społeczną, o wolność słowa, o niezależność kultury narodowej i prawdę naszej historii.

Świadomej woli walczących nie załamują ani liczne aresztowania i procesy sądowe, ani ustawiczne rewizje i konfiskaty, ani brutalne metody policyjne i represje administracyjne.

Mimo tych przesładowań opozycja — w ciągu ubiegłych czterech lat — umocniła swoje stanowisko i zmusiła władze komunistyczne do liczenia się z opinią publiczną w kraju i za granicą.

Patriotycznym i moralnym obowiązkiem wszystkich Polaków na obczyźnie jest współdziałanie w tej trudnej walce, prowadzonej w Ojczyźnie. W walce, której ważnym i skutecznym orężem jest wolne słowo — drukowane i mówione. Jest ono groźne dla narzuconej władzy i dlatego tak gwałtownie przez nią tępiłone.

Krajowy front walki apeluje do nas o pomoc finansową i techniczną, umożliwiającą dalszą i szerszą działalność niezależnej akcji wydawniczej i wolnej prasy. Gorąco popieram ten apel.

W pierwszą rocznicę Zjazdu Jedności z Walczącym Krajem wzywam wszystkich Rodaków oraz wszystkie organizacje polskie do składania ofiar na — powołany do życia na tym zjeździe — „Fundusz Wolności Słowa”.

Niech nasze datki na ten cel będą również formą upamiętnienia bohaterów walk żołnierza polskiego w kampanii wrześniowej 1939 roku.

(—) Edward RACZYŃSKI

Komitet Funduszu Wolności Słowa uprzejmie komunikuje, że czeki i przekazy należy wystawiać (po polsku) na: „SKARB NARODOWY — WOLNOŚĆ SŁOWA” i przysyłać na adres: Główna Komisja Skarbu Narodowego, 42, Emperor's Gate, London SW7. England.

A P E L FUNDUSZU SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ KSS „KOR”

Warszawa, 8 sierpnia 1980 r.

Jawna i zorganizowana akcja pomocy robotnikom represjonowanym za strajki 1976 roku doprowadziła do powstania Biura Interwencyjnego KSS „KOR”, którego celem jest obrona osób i grup poszkodowanych na skutek łamania praworządności przez władze państwowe. Udzielanie tej pomocy nie jest uzależnione od statusu społecznego poszkodowanych, ich zawodu czy też poglądów politycznych. Działalność Biura Interwencyjnego stanowi oparcie dla tych, którzy podejmując walkę o podstawowe, przysługujące społeczeństwu prawa, narażają się na represje ze strony władz.

Biuro Interwencyjne, by móc sprostać temu zadaniu, musi posiadać pewne i trwałe zabezpieczenie finansowe dla tej działalności. Zapewnić ją mogą regularne wpłaty ofiarodawców w kraju i zza granicy na rzecz Funduszu Samoobrony Społecznej KSS „KOR”. Główną pozycję w wydatkach Funduszu Samoobrony Społecznej stanowi właśnie budżet Biura Interwencyjnego; ponadto FSS wspiera liczne inicjatywy wydawnicze i pomaga finansowo wielu niezależnym działaniom społecznym.

Pieniądze zebrane dotychczas przez Fundusz Samoobrony Społecznej i polskie instytucje na wychodźstwie wyczerpują się, podczas gdy rośnie zakres działalności wspieranej finansowo przez Fundusz Samoobrony Społecznej.

Trwający w kraju obecnie ruch strajkowy stawia przed KSS „KOR” nowe zadania: zwielokrotnienie wysiłków w celu zdobywania i rozpowszechniania informacji, poszukiwania służących tej sprawie kontaktów, a przede wszystkim osiągnięcie stanu gotowości na wypadek niewykluczonych represji wobec strajkujących.

Dziękujemy rodakom w kraju i za granicą za umożliwianie nam dotychczasowej działalności i apelujemy o dalszą pomoc. Tylko zwiększenie środków, którymi możemy dysponować, pozwoli nam nie tylko kontynuować, lecz i rozszerzać zakres niezależnej działalności.

RADA FUNDUSZU SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ KSS „KOR”

Jan KIELANOWSKI, Edward LIPiŃSKI, Jan Józef LIPSKI,
Halina MIKOŁAJSKA, Piotr NAIMSKI, Henryk WUJEC,
ks. Jan ZIEJA — przewodniczący Rady.

DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW „KULTURY”

W związku ze stałymi podwyżkami kosztów drukarni, papieru, poczty jak również wszystkich wydatków związanych z naszym wydawnictwem zmuszeni jesteśmy — po dwóch latach — podwyższyć prenumeratę „KULTURY” na rok 1981 do F. 210,00 (półrocznie — F. 115,00). Ta podwyżka — o wiele niższa od tych jakie stosują inne pisma wychodzące we Francji — nie pokrywa wzrostu cen, która wynosi przeciętnie 20% rocznie ani strat jakie ponieśliśmy na skutek spadku wartości dolarów amerykańskich, australijskich i kanadyjskich, ale zdajemy sobie sprawę, że wielu naszych Czytelników znajduje się w trudnych warunkach.

Na wewnętrznej okładce podajemy ceny prenumerat w innych walutach.

Usilnie prosimy naszych Prenumeratorów aby odnawiając obecnie abonamenty na rok przyszły regulowali je według nowych cen.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 3^e trimestre 1980.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 4,50	\$A 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 215-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h. 60,00	Fl. h. 110,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakzowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 20,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 115,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY : St Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Almn Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145 Tél 871 48-47 Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA , Bookstore, 2866 Milwaukee Ave., Chicago, Il 60618, tel. 312) 489-2554; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd. London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 210; półroczna — F. 115.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 318 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Tom drugi
1973 - 1979

Str. 360.

Cena F. 75,00.



TOM 319 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Zawiera m.in. opracowania: T. Klempskiego — *Polaków z historią kłopoty*; A. Alberta — *Wschodnie granice Polski*; St. Swianiewicza — *Refleksje geopolityczne*; J. Łojka: *Konstytucja i federacja*; K. Sójki-Wilmańskiego — *Gdyby alianci dotrzyмали obietnic*; Z. S. Siemaszki — *Sergiusz Pritycki*; bogate działy DOKUMENTÓW, WSPOMNIENI, POLEMIK i RECENZJI oraz OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 320 — SERIA „DOKUMENTY”

JAK Z TEGO WYJŚĆ?

Druga część „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach do jej naprawy” opracowanego przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

Str. 80.

Cena F. 25,00



TOM 321 — JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

Powieść o początkach polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Str. 280.

Cena F. 80,00.

Cena 17 F